



# Steve Perry

## OBCY: AZYL

Tłumaczył  
Waldemar Pietraszek

Wydawnictwo "ORION"  
Kielce 1994

Tytuł oryginału  
ALIENS  
NIGHTMARE ASYLUM

All rights reserved.  
Copyrights © 1993 by Twentieth Century Film Corporation.  
Aliens TM © Twentieth Century Film Corporation.  
Cover art copyrights © 1993 by Dave Dorman.

Redaktor techniczny  
Artur Kmiecik

Wszystkie prawa zastrzeżone  
For the Polish edition  
Copyrights © by Wydawnictwo „ORION” Kielce

ISBN 83-86305-01-0

*Dianie oczywiście;  
I Johnowi Lockowi, który pewnie  
Napisałby to troszkę inaczej...*

*Składam podziękowania: Mike'owi Richarsonowi za jego  
Pracę i uwagi; Jannie Silverstein za uwagi i zielony ołówek;  
Verze Katz i Samowi Adamsowi za ich bezinteresowną  
pomoc. Ludzie, bez was nie dokonałbym tego.*

*„Takie jest Prawo Dżungli –  
prawdziwe i stare jak Niebo;  
Wilk, który się go trzyma przeżyje,  
Kto go złamie, musi umrzeć.”*  
Rudyard Kipling



1.

Na zewnątrz, w śmiertelnej pustce, nie było dźwięków. Lecz w środku statku kierowanego przez roboty zawibrowały silniki grawitacyjne. Rozległ się niski odgłos jakby ogromnego instrumentu muzycznego. Przenikał przez tkanki, kości aż do głębin duszy. Powoli otworzyły się pokrywy komór i uwolniły swych mieszkańców. Mechanizm, który ich usypiał, teraz, przywołał ich z powrotem do życia.

Billie siedziała w kuchni i wpatrywała się w coś, co miało być kawą. Kolor był prawidłowy, ale to było wszystko. Smaku nie było prawie wcale - gorąca woda. Z jakąś dziwną zawiesiną. Patrzyła jak płyn stygnie, częściowo jeszcze przebywając w letargu po długim śnie. Jej własne ruchy były mocno niepewne. Czuła się jak w czasie grypy - nie możesz tego wyleczyć i musisz przeczekać. Kawa wibrowała. Na jej powierzchni tworzyły się małe pierścienie, które biegły od środka i rozbijały się o ścianki kubka.

Za plecami Billie rozległ się głos Wilksa:

- Smakuje jak gówno, co?

- Nie można tego zmienić - smętnie zauważyła dziewczyna. Nawet nie odwróciła się, by spojrzeć na Wilksa. Ten siadł obok niej i przyglądał się jej badawczo przez kilka sekund. Potem znowu przemówił.

- Dobrze się czujesz?

- Ja? Tak, w porządku. Dlaczego miałabym się źle czuć. Siedzę na bezałogowym statku, który leci Bóg wie dokąd, opuściłam Ziemię, którą opanowały potwory, przebywam w towarzystwie połowy androida i komandosa, który prawdopodobnie nie jest do końca normalny.

- Ejże, co to znaczy „nie do końca”? - zachnął się Wilks. Billie zerknęła na niego. Nie mogła powstrzymać bolesnego grymasu, który skrzywił jej twarz.

- Jezus, Wilks.

- Hej, dzieciaku, weź się w garść. Sprawy nie stoją aż tak źle. Mamy siebie. Ty, ja i Bueller.

Na chwilę zapadło ciężkie milczenie. Po minucie komandos odezwał się ponownie.

- Idę przejrzeć komunikaty. Chcesz iść ze mną?

Billie podniosła się ze skrzyni, która zastępowała jej krzesło. Popatrzyła na Wilksa. Blizny na jego twarzy były czymś, czego dotychczas prawie nie zauważała. Teraz jednak, w skąpym oświetleniu, wydało jej się, że twarz komandosa, nacechowana jest wszelkimi znamionami wściekłego okrucieństwa. Jakby jakiś demon bawił się czarodziejskim lustrem:

- Nie - powiedziała w końcu.

- Twoja sprawa - odwrócił się.

Pociągnęła łyk obrzydliwego płynu. Zmarszczyła nos z niesmakiem.

- Poczekaj. Zmieniłam zamiar. Idę z tobą.

Wyglądało na to, że nie będzie zbyt wiele zajęć na tym, statku. Odkąd zostali obudzeni, minął tydzień i nic nie wskazywało na to, że mają hamować. Urządzenia pokładowe były prymitywne, ale i tak potrafiłyby wykryć obecność ludzkich osiedli, gdyby takie znajdowały się w pobliżu. Napęd grawitacyjny był o wiele wydajniejszy niż stare silniki reakcyjne, lecz nawet, jeżeli w pobliżu znajdował się jakiś system planetarny, to, Wilks nie potrafił go wykryć. Były lepsze sposoby na umieranie niż głodowa śmierć na statku pędzącym donikąd.

Billie powinna pójść i dowiedzieć się, czy Mitch nie chciałby iść z nimi. Mitch. Ciągłe ją to dręczyło. Tak, kochała go, ale czy kochała tę puszkę z robakami, którą się okazał być? No, może nie dokładnie z robakami, ale to, co androidy miały zainstalowane wewnątrz swych ciał, mocno przypominało długie dżdżownice. Kochała go i jednocześnie nienawidziła. Jak to



możliwe, że tak krańcowo różne uczucia można żywić do tej samej osoby? Może konowały w szpitalu, którzy poświęcili jej przypadkowi tyle lat, mieli rację? Może jest obłąkana?

Statek był ogromny, a większość jego przestrzeni przeznaczono na magazyny. Tak naprawdę to jeszcze nie zdołali obejść wszystkich zakamarków. Billie przypuszczała, że zostaną tu jeszcze długo. Miała co do tego mocne podejrzenia, ale nie obchodziło ją to. Nie była jeszcze wystarczająco znudzona. Po co sobie zawracać głowę? Kto dba o jakieś gówno? Kabina sterownicza była maleńka, ledwo wystarczała na dwie osoby. Projektanci zostawili miejsce dla technika, na wypadek jakiejś naprawy. Od początku swego istnienia statek sterowany był przez komputer i kilka robotów. Ekran monitora przekazującego komunikaty był pusty, z wyjątkiem biegnących z góry na dół kolumn danych zapisanych w języku maszynowym.

- Czas na pokazy - odezwał się Wilks. Nie uśmiechał się jednak.

Człowiek wyglądający jak Albert Einstein w wieku około sześćdziesięciu lat powiedział:

- Mamy sygnał? Mamy połączenie. W porządku. Słuchajcie wszyscy, jeżeli gdzieś tam jesteście. Tu Herman Koch z Charlotte. Nie marny żywności, prawie nie mamy też wody. Jesteśmy opanowani przez te przekłete potwory, które zabijają albo porywają wszystkich wokoło! Została nas tylko dwudziestka!

Mężczyzna zniknął i nagle pojawiło się inne miejsce. Na zewnątrz panował jasny, słoneczny dzień. Wokół kwitły wiosenne kwiaty, jasnozielone liście okrywały drzewa. Jednak coś niesamowicie okropnego niszczyło tę sielankową scenerię:

Jeden z obcych taszczył w swych łapach kobietę. Niósł ją jak człowiek dźwigający małego psiaka. Potwór był wysoki na około trzy metry. Światło migotało na jego czarnym zewnętrznym szkielecie. Głowę miał w kształcie jakiegoś dziwnie zmutowanego banana, a cała postać przypominała groteskową krzyżówkę insekta z jaszczurką. Z pleców sterczały mu kościste wyrostki, jak zewnętrzne żebra - po trzy pary z każdej strony. Szedł wyprostowany na dwóch nogach, co wydawało się prawie niemożliwe przy jego budowie. Z tyłu wił się długi, umięśniony ogon.

Pocisk odbił się od głowy potwora, nie czyniąc mu więcej krzywdy niż uderzenie gumowej kulki o ulicę z plastekretu. Obcy odwrócił się i popatrzył w stronę niewidocznych strzelców.

- Celuj w kobietę! - ktoś krzyknął. - Zastrzel Janę! Zanim bestia zdołała uciec ze swą zdobyczą, zabrzmiały jeszcze trzy strzały. Pierwszy chybił, drugi trafił w pierś potwora i rozpląszczył się na naturalnej zbroi. Trzecia kula trafiła kobietę tuż nad lewym okiem.

- Dzięki Bogu! - rozległ się głos niewidocznej osoby. Obcy wyczuł, że wydarzyło się coś niedobrego. Podniósł kobietę i trzymał ją w wyciągniętych przed siebie łapach. Kręcił głową na wszystkie strony, jakby badał swą ofiarę. Potem popatrzył na strzelców. Cisnął na ziemię martwą lub umierającą kobietę, jakby była niepotrzebnym już śmieciem. Zaczął biec w kierunku zabójców jego zdobyczy. Wydawał przy tym głośny syk...

Teraz była to szkolna klasa. Rzędy ciemnych ekranów komputerowych terminali. Jedyne światło padało od strony rozbitego okna. Na podłodze leżało częściowo zjedzone ludzkie ciało. Reszta przypominała krwawą miazgę. Rozkładające się tkanki przyciągnęły mrówki i innych małych padlinożerców. Resztki były zbyt małe, by określić płeć ofiary. Nad nimi, na ścianie, półmetrowe litery głosiły: DARWIN ESTIS KORECTO.

Darwin miał rację.

Czy to leżąca na podłodze osoba napisała te słowa jako ostatnie przesłanie? Lub może ktoś był tu później, zobaczył, co się wydarzyło, i poszukał wyjaśnienia, zanim nie przyszły stworzenia stojące teraz na szczycie łańcucha pokarmowego? Słowa jak te, miały swą wymowę, ale w dżungli miecz, zęby i pazury były potężniejsze niż pióro. Zawsze...

Młody mężczyzna, może dwudziestopięcioletni, siedział w kościele we frontowej ławce. Religia nie była popularna w ciągu ostatnich dwudziestu lat, ale ciągle były jeszcze miejsca



do modlitwy. Delikatny blask spod krzyża zawieszono nad ołtarzem padał na młodego człowieka. Ten siedział w pierwszym rzędzie ławek, w pustym kościele. Oczy miał przymknięte i modlił się głośno.

- ...i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego mówił - Bo Twoje jest królestwo, potęga i chwała na wieki. Amen.

Prawie bez chwili wytchnienia młodzieniec ponownie zaczął monotonnym głosem:

-Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Mroczny cień padł nagle na ścianę przy końcu rzędu ławek.

- ...Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja... Cień rósł.

- ..jako w niebie, tak i na Ziemi...

Rozległo się głośne szuranie po posadzce. Lecz mężczyzna nie poruszył się, jakby nie słyszał.

- ...Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...

Obcy stanął nad modlącym się człowiekiem. Przejrzysta ślina ściekała z rozwartych szczęk. Wargi odsłoniły ostre zęby. Paszcza otworzyła się powoli i ukazała drugi komplet mniejszych zębów, które przypominały cienkie, ostre gwoździe.

- ...i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego... Wewnętrzne zęby zawieszono były jakby na oślizłej, postrzępionej tyczce. Wystrzeliły nagle z paszczy z oszałamiającą szybkością i siłą. Wyrwały dziurę w szczycie głowy mężczyzny, jakby jego czaszka nie była grubsza i twardsza niż mokry papier. Mózg i krew trysnęły w górę. Oczy modlącego się otworzyły się w ostatnim zdumieniu, a usta zdołały jeszcze wyszeptać:

- Boże!

Potwór wyciągnął szponiaste łapy i wyrwał swą ofiarę z ławki. Pazury rozerwały tkanki i dotarły do serca, które nie wiedziało, że już jest martwe.

Obcy i jego zdobycz zniknęli z ekranu, na którym pozostało tylko trochę krwi i strzępki szarej substancji na ławce. Wnętrze kościoła stało puste i ciche.

Bóg, jak się wydawało, nie zbawił nas ode złego.

Wilks odchylił się do tyłu w fotelu i patrzył ponuro na pusty kościół.

- Automatyczna kamera - odezwał się. - Prawdopodobnie zainstalowana z powodu złodziei. Ciekawe, że jej sygnał dotarł tak daleko.

Z oczu stojącej obok Billie ciekły łzy. - Wilks! - jęknęła.

- Zdziwiałe, jak daleko ludzie potrafią przesyłać wiadomości. Rzeczywiście potrzebują pomocy. A może jest to już tylko nagrobek? No wiesz, sygnały mogą krążyć w przestrzeni przez wieczność. Są nieśmiertelne. Może pomyśleli, że ktoś o milion lat świetlnych od Ziemi, przechwyci je i zwróci przez chwilę uwagę. Rozumiesz, chrupiąc prażoną kukurydzę przyglądasz się zagładzie ludzkości.

Billie wstała.

- Zamierzam zobaczyć się z Mitchem - powiedziała. . - Ucałuj go ode mnie - rzucił Wilks.

Billie zeszywniała. Spostrzegł jej reakcję i pomyślał o przeprosinach, ale nic nie powiedział. Pieprzyć to. Nieważne. Dalej przeszukiwał komunikaty, oczekując czegoś innego, ale wszystko wyglądało podobnie. Śmierć. Zniszczenia. Ciała porzucone na ulicach. Zwierzęta żywiące się trupami. Zgraja psów walczących o ludzkie ramię. Nie było dźwięku. Obraz pochodził pewnie z kamery nagrywającej uliczny ruch, ale łatwo było się domyśleć, że warczą i szczekają na siebie. Ramię było napuchnięte i sinobiałe. Pewnie leżało długo na słońcu. Ktokolwiek był jego właścicielem, nie musi się już o nic martwić. Z pewnością już



nie dba o to, że psy się o nie biją. Teraz było tylko padliną. Wyłączył w końcu obrazy z Ziemi. To już tylko historia, Wszystko, na co patrzył, już się wydarzyło, skończyło się. Ponownie zaczął bawić się przeglądaniem. Szukał informacji, dokąd zmierza ich statek. Sytuacja była nie za ciekawa - transportowiec został zaprojektowany tak, że nie mógł przewozić pasażerów. W końcu udało mu się uruchomić kilka programów i dowiedzieć się z ekranu paru rzeczy. Statek został wysłany z powodu obcych na Ziemi. Był to stary trup połatany drutem i modlitwą o utrzymanie się przez jakiś czas w całości. Po tym, jak Wilks zobaczył tego faceta w kościele, nie czuł szacunku do modlitw. Nie znaczyło to wcale, że odczuwał go kiedykolwiek.

Statek wiedział, dokąd leci, ale to niewiele pomogło komandosowi. Musiała to być planeta lub stacja kosmiczna gdzieś tam w przestrzeni. Około dwustu milionów kilometrów przed nimi znajdowało się jakieś słońce klasy G, ale nie potrafił dostrzec żadnych jego satelitów. Musiały tam być bo w przeciwnym razie komory hipersnu nie uwolniłyby ich. „Mogło być jakieś uszkodzenie, dupku - zabrzączał cichy głos w jego głowie. - Możecie wszyscy umrzeć.”

„Pieprzyć to - odpowiedział Wilks głosowi. - Mam interesy do załatwienia przed śmiercią.”

„Myślisz, że Wszechświat zwróci uwagę na twoje interesy?”

„Odpieprz się, kolego. Ty i ja jedziemy na tym samym wózku.”

Odpowiedział mu szydery śmiech.

## 2.

Mitch spoczywał na wózku, który zmajstrowali dla niego, i wyglądało to; jakby normalnie siedział. Biorąc pod uwagę, że poniżej talii nie pozostało nic, prawdziwe siedzenie nie było możliwe. Kończył się pośrodku. Niemal dokładnie pół człowieka, - pół androida zaklejastrowanego medyczną pianką. Sam naprawił uszkodzenia układu krążenia. Utworzył nowe połączenia i jego krwiobieg znów był zamkniętym systemem. Druga jego połowa została na planecie obcych oderwana przez rozwścieczonego potwora broniącego swego gniazda. Ten jeden obcy został zabity, a pozostałe prawdopodobnie wyparowały w atomowych eksplozjach, które przygotował im Wilks jako pożegnalny podarunek. Człowiek rozerwany jak Mitch zmarłby na tej diabelskiej planecie od szoku i utraty krwi. Androidy były lepiej skonstruowane.

Siedział w kabinie stworzonej dla napraw komputera. Była mniejsza niż pokój, w którym siedział Wilks. Usłyszał Billie, gdy wchodziła, i miał nadzieję, że to nie ona.

- Mitch? Potrząsnął głową.

- Nie mogę wejść do systemu komputera - powiedział. Kod dostępu do obszaru nawigacyjnego jest sześćdziesięciocyfrowy i na dodatek jeszcze zakodowany przy użyciu kolejnych czterdziestu cyfr. Żeby się tam wdrzeć, trzeba wieczności. Ale, ale. Gdzie są inne statki? Opuszczaliśmy Ziemię wraz z całą armadą. Powinni tu gdzieś być, a nie ma ich. Jesteśmy sami. W tym nie ma żadnego sensu.

Stała obok jego wózka. Z trudem powstrzymała się od pogłądzenia go po czuprynie.

- Wszystko w porządku...

- Nie, nie wszystko w porządku! Nie wiemy, gdzie jesteśmy, dokąd lecimy, czy w ogóle przeżyjemy! Muszę, taka jest moja rola jako... - Odjechał w tył.

Ponownie potrząsnął głową.

Billie chciało się krzyknąć. To, co zrobiła w ostatnim tygodniu znaczyło więcej niż całe życie. Zakochała się w androidzie. Co gorsze, on zakochał się w niej i miał z tym więcej problemów niż ona. Kiedy wchodził do komór hipersnu, zaakceptowała to, co się wydarzyło. Wierzyła, że jakoś to będzie. Lecz kiedy się obudzili, coś się zmieniło. Coś w nim. I coś w



niej samej. Nie uważała, że jest jedną z tych osób, które obnoszą swą nienawiść jak włócznię i dźgają każdego, kto się z nimi nie zgadza. Zawsze była tolerancyjna. Człowiek jest człowiekiem, nieważne, czy urodziła go kobieta, czy wyszedł ze sztucznej macicy, czy też zrobiono go w fabryce androidów. Nieważne było, skąd pochodzisz, ale dokąd zmierzasz. Poświęcanie czasu na spoglądanie wstecz nie miało dla niej sensu. Ciągłe to powtarzała.

A androidy były ludźmi.

Oczywiście, ale czy chciałyby, żeby jej siostra poślubiła kogoś? Albo żeby ktoś taki został jej mężem? Jezus!

Nie powiedział jej, kim jest, i to było jego zbrodnią. Dowiedziała się tego, gdy już zostali kochankami i gdy już zapadł jej głęboko w serce. To bolało. Nigdy nie spodziewała się, że może ją spotkać coś takiego. Zdziwiająca, ale tak było. A. teraz? Chociaż z drugiej strony nadal znaczył dla niej bardzo dużo. W sprzyjających warunkach Mitch mógłby znowu być cały. Mógł być jak nowy. Mieć perfekcyjnie zaprojektowane mięśnie, delikatną skórę i wszystko inne na swoim miejscu... Dostyc! Coś jeszcze tkwiło w tym wszystkim. Sama nie była pewna co. Mężczyzna - sztuczny czy nie - był czymś nowym w jej życiu. Mężczyzna, którego pokochała zmienił ją. Coś zmieniło się w jej wnętrzu. Chciała to zrozumieć, chciała dać mu wszystko, czego będzie od niej potrzebował, ale nagle stał się dla niej kimś innym - zimnym, przestraszonym człowiekiem, który nie pozwala jej się zbliżyć. Kimś, kto nie chce słuchać o jej uczuciu, o gniewie i potrzebach. Kimś, kto ukrył się za murem i zakrył rękami uszy. Ciągłe jednak próbowała.

- Mitch, posłuchaj. Ja... - wyciągnęła rękę i tym razem dotknęła jego włosów. Były tak naturalne jak jej własne, takie, jakby wyrosły ze skóry człowieka. Tylko pod mikroskopem można było zauważyć różnicę.

- Nic nie mów, Billie.

Poczuła, jakby od tych słów nadleciał mroźny podmuch. Tak zimny, że aż zaparło jej dech w piersi. Jak mógł to zrobić? Nie chce z nią nawet rozmawiać?

- Billie, proszę... Spróbuj zrozumieć. Nie... nie chciałem cię zranić. To... ja nie... nie mogłem. Przykro mi...

- Jestem zmęczona - powiedziała Billie. - Zamierzam trochę odpocząć.

Wyszła tak szybko, jak tylko pozwalała na to sztuczna grawitacja. Problem polegał na tym, że nikt nie uważał za konieczne włączania ciężenia w statku kierowanym przez roboty. Jednak Wilks uruchomił ten system, jak wiele innych, gdy tylko weszli na pokład. Teraz mogło się zdarzyć, że statek rozleci się od silniejszego, kichnięcia.

Magazynek, którego używała jako sypialni, był niewielkim pomieszczeniem o rozmiarach dwa na trzy metry. Było tu goręcej niż gdziekolwiek na statku, gdyż w sąsiedztwie znajdowały się urządzenia zasilające system grzewczy transportowca. Rozebrała się prawie do naga, pozostając jedynie w majteczkach i staniku. Położyła się. Pot ściekał po jej nagim ciele i po chwili resztką ubrania, którą zostawiła na sobie, była kompletnie przemoczona. Czowała, że cała się lepi. Drzemała, gdy w drzwiach pojawił się Wilks. Nie zdążyła zaciągnąć zasłony. Jego nagłe wtargnięcie wręcz ją zamurowało.

- Rób trochę hałasu, kiedy wchodzisz, Wilks. Przestraszyłeś mnie.

Wszedł do komórki. Jego stopy prawie dotknęły leżącej na podłodze dziewczyny. Usiadła i podwinęła nogi pod siebie. Widział ją nagą i nie obchodziło ją to. Lecz sposób, w jaki się jej przyglądał był denerwujący

- Wszystkiego się boisz, Billie - odezwał się. Zamrugnęła oczami.

- O czym ty mówisz?

Podszedł bliżej. Wyciągnął ręce i chwycił ją za ramiona. - Kiedy byłeś dzieckiem, bałaś się śmierci, później bałaś się życia.

- Jezus, Wilks! Wynoś się...

Zanim zdążyła zareagować, jego dłonie zacisnęły się na jej piersiach.



- I zawsze bałaś się mnie - dokończył.

Szarpnęła się ze złością. Potem chwyciła jego rękę i odepchnęła od siebie.

- Do diabła! Co ty sobie wyobrażasz!

Złapał ją za nadgarstki i pochylił się nad nią. Jego twarz znalazła się teraz o kilka zaledwie centymetrów od jej ust. Poczowała zapach jego potu i... piżma.

-Naprawdę wolisz tę rzecz z pokoju komputerów? Jedyny, który jest odpowiednio wyekwipowany, co?

Poczowała coś twardego na brzuchu. Chryste, czyżby chciał ją zgwałcić?

-Wilks! Przestań! Dlaczego to robisz?

Odsunął się nieco do tyłu, jego twarz na moment zamarła, oczy były przymknięte. Potem powieki uchyliły się i dwa strumienie wewnętrznego światła wytrysnęły jej prosto w twarz. Komandos wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Dlaczego? Bo chcę, żebyś popatrzyła na siebie. Na to, czego się obawiasz. Na miłość. Na namiętność. Na ludzi. Billie popatrzyła w dół i dostrzegła, że jej brzuch uciska nie to, o czym myślała. To jego brzuch... -Aaaaghhh!

Wraz z tym krzykiem wytrysnęła fontanna krwi i szczątków wnętrzości. Po chwili pojawił się dorosły okaz obcego. Niemożliwe! To było fizycznie niemożliwe! Potwór uśmiechnął się do niej, ukazując ostre zęby drapieżcy. Kapiała z nich ślina i krew. Ruszył ku niej...

- Wilks!

Billie usiadła. Była sama w swej pakamerze. Cała była złana potem, a włosy zlepily jej się od wilgoci. Do ciała, to był sen. Tylko sen! Jednak nie był to wyłącznie koszmar. Wiedziała o tym, to była wizja... komunikat. Wszystko widziała zbyt wyraźnie i odczuwała zbyt głęboko. Byli tutaj. Na statku. Dziewczyna chwyciła swe ubranie i wybiegła.

Wilks ciągle walczył z programem, który uruchamiał zewnętrzne kamery. Miał nadzieję, że zdoła powiększyć obraz, kiedy zobaczył Billie. Włożyła swój kombinezon do połowy. Cała ociekała potem. Na statku nie było zbyt wiele wody i wszyscy prawdopodobnie już cuchnęli. Nawet Bueller, który miał tylko imitację ludzkich gruczołów potowych.

- Wilks, oni są tutaj. Na statku. Złapała go za koszulę.

- Spokojnie, spokojnie - zawołał. - Widziałeś jakiegoś? - Śniła o nich - odezwał się Bueller.

Billie odwróciła się i popatrzyła na niego, jakby zdradził jakąś ich wspólną tajemnicę.

- To nie był zwyczajny koszmar, Wilks. Czułam ich. Pamiętasz tego słoniowatego podróżnika, który nas uratował? Czułam wtedy, że nas nienawidzi.

- Tak, kolekcjoner gatunków.

- Coś w tym rodzaju. I teraz było tak samo. Ciągle je czuję. To tak, jakby świetlny promień wpadał do mojego mózgu. Nie potrafię tego dotknąć, ale to jest we mnie!

Wilks pokręcił głową. Ten dzieciak został zbyt mocno okaleczony. Wszyscy zostali w jakimś stopniu zranieni: Stres atakował ich ze wszystkich stron. Ale będzie próbował na wszelkie sposoby wydostać ich z tego latającego grobu.

-Słuchaj, Billie, to nie ma sensu...

- Gdzie jest karabin? Jeżeli nie chcesz mi pomóc ich znaleźć, zrobię to sama!

Wilks spojrział na Buellera. Android odwrócił wzrok. Sprzecanie się ze zdesperowaną kobietą nie było nigdy jego najmocniejszą stroną. Wilks wiedział o tym. Chryste, kobiety czasami zachowują się, jakby należały do innego gatunku. Nie rozumiał ich.

- Więc?

- Dobra. Chcesz bawić się w komandosa? To się pobawimy. Ale to ja wezmę karabin. Mamy tylko jeden i to niepełny magazynek. Wstał i podszedł do szatki, gdzie trzymali karabin. Wyjął go, a potem wyciągnął jeszcze pistolet, który nosił, zanim nie ułożyli się do hipersnu. Powinien zabrać więcej amunicji, a może nawet kilka karabinów M-41 E. Dobry



komandos zawsze gromadzi tyle broni, ile tylko zdoła, ale tym razem nie starczyło czasu. Kiedy śpieszysz się na statek, który ma uratować cię przed wybuchem jądrowym albo spotkaniem z głodnym potworem, nie rozglądasz się za amunicją.

Miał jeszcze kilka granatów do wyrzutnika, ale były one bezużyteczne na statku pędzącym przez kosmiczną pustkę. Dziura w powłoce oznaczała wtargnięcie próżni do wnętrza. Zostałyby po nich tylko małe śliczne kryształki. Tylko szalencie chciałby tak skończyć. Nawet pociski przeciwpancerne o kalibrze 10 mm były problemem, chociaż dziury, jakie mogły zrobić, były niewielkie. Wstrzelenie specjalnego kleju w strumień uciekającego powietrza powinno zalepić takie uszkodzenie powłoki. Sprawdził baterie, a potem stan magazynka na ciekłokrystalicznym wyświetlaczu. Pozostało pięć ładunków. Cholernie mało.

„Chwileczkę. Wygląda na to, że nie będą potrzebne. Dzieciak jest po prostu wystraszony. Obejdziemy statek i przekonają się, że jesteśmy tu sami.”  
Odwrócił się do Billie.

- Chcesz wziąć pistolet? Nie przebije pancerza, ale gdyby tak obcy otworzył paszczę, to może...

- Daj mi go - przerwała mu.

Podał jej broń - standardową wersję wojskowego pistoletu automatycznego typu Smith. Zabrał go generałowi na Ziemi, gdy tamten zastrzelił Blake. Generał wystrzelił trzy pociski, potem Wilks jeszcze pięć. Razem osiem. Ten model nie miał doładowywacza. Była to tania wojskowa broń z magazynkiem na piętnaście naboń. Zostało, więc siedem, może osiem, jeżeli generał zwykł trzymać nabój w komorze.

-Masz siedem strzałów - powiedział do Billie. Sprawdziła broń.

-Potrzebuję tylko dwóch - powiedziała. Spojrzała na Buellera i poprawiła się: - Trzech.

-No, idziemy znaleźć te potwory - powiedział Wilks. Bueller, idziesz pobawić się z nami?

-Naprawdę myślisz, że istnieje jakieś niebezpieczeństwo?

Wilks zerknął w stronę dziewczyny, potem z powrotem na Buellera.

-Szczerze? Nie.

- Więc zostanę tutaj i będę dalej pracował z komputerem. Sierżant widział, jak gniew wręcz kipi wewnątrz Billie. Gdyby jednak powiedział, że wierzy w obecność obcych na statku, to Mitch musiałby pójść z nimi, gdyż jest androidem. Próbowałby chronić dwójkę prawdziwych ludzi.

-Ruszajmy Billie. Zacisnęła zęby i rzuciła stłumionym głosem:

-W porządku. Idziemy.

„Do diabła! - myślał Wilks. - trzeba było to zrobić. Jak dotąd jest dokładnie tak, jak przewidywałem. Zero:’ Obszukali prawie cały ogromny statek. Był wystarczająco duży, by przegapić małego psa czy kupę insektów. Czasem można przemycić coś na statek pomimo pól zabezpieczających. Niektórzy mają na pokładzie swych małych ulubieńców.

- No i właśnie, Billie. Koniec. Nikogo nie ma.

- Co z magazynami na rufie? Wilks oparł karabin o ścianę i podrapał się w ramię.

- Nie wejdzimy tam. Zamek kodowy. Skoro my tam nie wejdzimy, nic stamtąd nie wyjdzie.

- Ejże, Wilks. Widziałam, co one potrafią. Ty też przy tym byłeś.

- Możemy zerknąć na drzwi. Skoro to cię uszczęśliwi.

- To nie może mnie uszczęśliwić. Po prostu muszę sprawdzić. - Wzruszył ramionami. Mógłby w tym momencie dać jej klapsa. To prawda, nie miała lekkiego życia. Oboje rodzice zginęli, zabici przez obcych. Może nawet spotkało ich najgorsze i zostali zamienieni na pokarm dla poczwerek. Lata, które dziewczyna spędziła w szpitalu psychiatrycznym na Ziemi, też pozostawiły ślady. I całe to gówno ciągle w niej siedziało.





Korytarz prowadzący do rufowych magazynów był wąski i słabo oświetlony. Wilks dostrzegł jednak, że właz prowadzący do wnętrza był zamknięty, a czerwone światelko zamka informowało, że wszystko działa. Jak wszystkie inne wewnętrzne drzwi właz był hermetyczny i zabezpieczony na wypadek nagłej dekompresji - standardowa duralowa płyta, sześć lub siedmiocentymetrowej grubości. Nawet obcy miałby kłopoty z przedarciem się przez nią.

- Puk, puk - odezwał się Wilks. - Czy jest ktoś w domu? Zatrzymali się na chwilę przed wejściem do magazynu.

- Przykro mi, Billie, ale polowanie skończone. - Co to za zapach? - spytała nagle. Wilks pociągnął nosem. Coś się paliło. Śmierdziało jakby... jak topiąca się izolacja przewodu. Krótkie spięcie? Łatwo mogło powstać, biorąc pod uwagę sposób, w jaki zbudowano ten statek.

- Zapach jest tutaj silniejszy - odezwała się Billie i wskazała w stronę, z której przed chwilą przyszli. - Lepiej sprawdzić... Leniwa smuga dymu pełzła wzdłuż korytarza jak gruby wąż sunący nad podłogą.

- Lepiej łap za gaśnicę - poradził Wilks. Billie zdjęła jedną z nich ze ściany.

Nagle doszedł ich dźwięk metalicznego zgrzytu, a potem ryk alarmu. Piana z sufitowych przeciwpożarowych spryskiwaczy pojawiła się tuż przed nimi. Szybko zbliżała się w ich kierunku.

- Cholera! - wykrzyknął komandos.

Bueller zobaczył na monitorze błysk alarmu i napis: POŻAR. Na pokładzie nie było komunikatorów. Nie mógł porozumieć się z Wilksem i Billie. Przy pomocy rąk wyczołgał się ze swego wózka i zaczął „iść” tak szybko, jak tylko potrafił. Zadziwiające, do czego jest zdolny człowiek, kiedy śpieszy się na umówione spotkanie i jednocześnie wie, że już jest spóźniony.

Piana przestała płynąć, a w sekundę później umilkł dźwięk alarmu. Wilks odetchnął. Oznaczało to, że ogień został ugaszony. Może był to fałszywy alarm, bo w korytarzu nie czuć było podwyższonej temperatury.

-Zostań tutaj. Sprawdzę to.

- Odepierz się. Będę osłaniać twoją dupę. Musiał się uśmiechnąć.

- Dobra. Uważaj, podłoga jest śliska.

Szli obok siebie w stronę rufy. Już po kilku metrach odnaleźli źródło dymu. Nadtopiony kabel, który jeszcze trochę dymił, chociaż był prawie całkowicie pokryty pianą.

- Wilks.

Odwrócił się i zobaczył to, co chciała mu pokazać Billie. W ścianie pomiędzy korytarzem a magazynem ziała dziura. Miała stopione, postrzępione brzegi i była wystarczająco duża by mógł przez nią przejść człowiek. Otwór był wypalony kwasem.

- O, kurwa - jęknął Wilks.

- No właśnie - Billie skinęła głową.

### 3.

Billie rzuciła na ziemię gaśnicę i wyciągnęła z kieszeni pistolet. Zacisnęła rękojeść w obu dłoniach, które nagle stały się mokre i spocone. Strach zamienił jej wnętrze w lodowatą bryłę. Chciała uciec i ukryć się gdzieś, ale nie było gdzie.

- Miałaś rację - odezwał się Wilks. - To ja się myliłem. Miętko jak kot podszedł do dziury i zbadał ją, starając się nie dotykać brzegów.

- Ostrożnie - powiedział do dziewczyny.



Przeszli przez otwór w ścianie. Pomieszczenie było ciemne, a lekka poświata padająca z korytarza była jedynym źródłem światła. Nie, były jeszcze maleńkie punkciki świecących diod...

Sierżant odnalazł tablicę kontrolną i popatrzył na cyfry, które wyświetlała.

Jezusie!

Billie pokiwała tylko głową. Usta miała zbyt wyschnięte, żeby przemówić.

Na podłodze leżał obcy. Podłoga wokół niego była częściowo przeżarta jego krwią - kwasem tak mocnym, że trudno w to było uwierzyć. Jedną z teorii, którą usłyszała Billie z nagranych komunikatów, głosiła, że właśnie z powodu swej krwi mięso potworów ma tak nieprzyjemny smak. To brzmiało naprawdę okropnie. Jakie stworzenie mogło zjadać takie monstra?

Obok obcego stały urządzenia, które zdawały się być głównym ładunkiem w tym magazynie: cztery komory do hipersnu. Każda kryła jeszcze niedawno jednego człowieka.

Z tych resztek, które pozostały, nie złożyłoby się nawet pojedynczej osoby. Pokrywy komór były potrzaskane i zbrzgzane krwią, bez wątpienia ludzką krwią, która już dawno zaschła.

Billie chciało się wymiotować. Z trudem zdołała zapanować nad sobą.

Wilks badał pulpit sterowniczy jednej z komór. Po chwili odwrócił się do dziewczyny, która bez przerwy rozglądała się wokoło, oczekując nagłego ataku bestii.

Ta czwórka tu podróżowała - powiedział. - Byli głęboko zamrożeni, ale żywi. Prawdopodobnie wiedziano, że są zainfekowani, i ktoś pomyślał, że w ten sposób można powstrzymać wzrost poczwarek. Wygląda na to, że się pomylił.

Dlaczego? Dlaczego ktoś to zrobił? Komandos pokręcił głową.

Nie mam pojęcia - rozejrzył się uważnie dookoła. - Polityku. Może jakiś zysk. Później będziemy prowadzić takie akademickie dyskusje. Prawdopodobnie była tu czwórka obcych, jeden został zabity, a jego krew użyta do wytopienia dziury, żeby pozostali mogli stąd wyjść. Ta trójka najwyraźniej skończyła śniadanie i teraz poszła szukać obiadu.

Wilks wskazał lufą karabinu na prawie całkowicie zjedzone zwłoki.

- Mitch!

- Nie bój się o Buellera. One nie znoszą nawet zapachu androidów. Przekonaliśmy się o tym na ich planecie.

- Ale gdy go znajdą, zabiją go.

Pewnie tak. I nas także. Musiały stąd wyjść krótko przed tym, jak nadeszliśmy. Kwas uruchomił system przeciwpożarowy. Idziemy. Musimy wrócić do przedniej części statku i zabarykadować się tam.

Coś zaskrobało za ich plecami.

- Wilks...

- Słyszałem.

Odwrócił się i podniósł karabin. Uruchomił laser celownika. Maleńka czerwona plamka zatańczyła w odległym kącie. Coś syknęło.

- Bible...

Obcy pojawił się w kręgu mdłego światła. Był wysoki na trzy metry i błyszcząco czarny. Jeżeli monstrum miało oczy, to były one ukryte. Jakichkolwiek jednak używało zmysłów, wiedziało, że są tutaj ludzie. Zewnętrzne szczęki potwora rozwarły się i gęsta maź zaczęła sączyć się z ostrych jak igły zębów o grubości palca. Spiczasto zakończony ogon poruszał się na boki jak u kota na chwilę przed skokiem.

- Wilks!

- Mam go.



Komandos podniósł powoli karabin do ramienia. Billie zobaczyła, jak czerwona plamka laserowego promienia przesuwana się z piersi bestii w górę. Czerwona zorza zamigotała na wyszczerzonych zębach.

Obcy jeszcze szerzej otworzył paszczę. Czerwone światełko zniknęło.

- Żegnaj, skurwysynu - powiedział Wilks.

Wystrzał karabinu w pustej przestrzeni magazynu zabrzmiał jak grzmot. Dźwięk odbił się od twardych ścian i na chwilę ogłuszył dziewczynę. Bestia upadła. Można było dojrzeć, że czubek jej głowy, jakieś dziesięć centymetrów powyżej górnej szczęki, jest otwarty jak puszcza. Małe kawałki pancerza posypały się na boki. Cienki strumień żółtawego płynu sączył się na podłogę.

- Trafiałeś go! - wykrzyknęła.

Właz zaczął dymić, gdy dotarła do niego krew potwora. Coraz więcej żrącego płynu wydostawało się z rozłupanej czaszki obcego.

-Wychodzimy, Billie, prędko! To jest ciśnieniowy właz, który prowadzi do komory pomiędzy magazynem a powłoką zewnętrzną! Gdy to gówno przeżre się przez zewnętrzną...

Nie musiał mówić więcej. Billie skoczyła ku dziurze w ścianie i wypadła na zewnątrz. Wilks dosłownie deptał jej po piętach.

- Szybciej, szybciej!

Alarm przeciwpożarowy ponownie wypełnił ostrym dźwiękiem korytarz. Piana zaczęła lecieć z sufitu tuż za ich plecami. Biegli, ślizgając się na resztkach pozostałych z poprzedniego alarmu.

Ruszajmy się. Musimy dotrzeć do tamtego wjazdu! Billie wyprzedzała Wilksa o jakieś dwa metry, kiedy włączył się następny alarm. Było to ostrzeżenie przed dekompresją. Pięć metrów przed nimi zaczęły zamykać się awaryjne drzwi sięgające od sufitu do podłogi. Czerwone światło migało w szaleńczym tempie. Jeżeli coś nie zatka dziury w powłoce statku, całe powietrze po tej stronie drzwi zostanie wysane przez próżnię. Nikt, kto tu zostanie nie zdoła przeżyć. Uduś się.

Billie dopadła zamykających się drzwi i położyła się na podłodze. Czołgała się pod drzwiami, czując, jak kaleczy sobie dłonie i kolana. Ale przeszła! Odotoczyła się na bok. Zrozumiała, że Wilks nie zdoła zrobić tego co ona.

Jednak spróbował. Rozciągnął się na podłodze i wcisnął pod drzwi, które opadały nieubłaganie. Dziewczyna ujrzała, że wciskają się w jego ciało.

- Aaach! - zawył z bólu.

- Cholera! - ryknęła i podbiegła na czworakach do drzwi. Musiała coś pod nie wetknąć. Wsadzić coś pod tę przeklętą płytę! Może gaśnicę, cokolwiek! Nie było czasu się zastanawiać. Za sekundę Wilks będzie miał złamany kręgosłup...

Broń. Ciągle miała pistolet. Wyciągnęła go i spróbowała wcisnąć pod drzwi. Prawie pasował.

- Wypuść powietrze! - krzyknęła.

Wilks nie widział, co ona robi, ale zrobił to, co mu kazała. Wpychała broń z całych sił i w końcu lufa weszła pod dolną krawędź płyty. Kiedy Wilks wypuścił powietrze, dało jej to pół centymetra. Tył rękodojści oparł się o podłogę i nagle twardy metal broni zaczął trzeszczeć. Zaraz pęknie!

Billie złapała Wilksa za nadgarstki i pociągnęła. - Dalej, Wilks, pchaj.

Cienki materiał jego spodni rozdarł się. Brzeg płyty zdzierał ciało z pośladków, kaleczył mięśnie, ale komandos powoli się przesuwał.

Pistolet wydał dźwięk jak gwóźdź wbijany w mokre drewno. W tym momencie Wilks przesuwał pod drzwiami uda. Billie zaparła się piętami o podłogę, odchyliła do tyłu, a sierżant czołgał się w jej stronę i przepychał swe ciało w szaleńczym pośpiechu. Jego stopy



wyśliznęły się ze zmniejszającej się szpary dokładnie w momencie, gdy pistolet pękł jak drut z krystalicznej stali, a on sam padł wprost na Billie. Coś ostrego uderzyło dziewczynę tuż pod okiem. Wilks ciągle leżał na niej, kiedy drzwi zamknęły się całkowicie.

Billie czuła, jak napięte mięśnie pleców leżącego na niej mężczyzny odprężają się pod dotknięciem jej dłoni. Leżeli tak przez następne kilka sekund. Potem Wilks wziął głęboki oddech i stoczył się z dziewczyny. Położył się na plecach obok niej.

- Dziękuję - odezwał się po chwili. Billie próbowała uspokoić oddech.

- Nie ma sprawy. Zwykle nie posuwam się tak daleko na pierwszej randce.

Wilks pokręcił głową. Na ustach pojawił mu się ni to uśmiech, ni to bolesny grymas. Kiedy rozległ się alarm, Bueller był w połowie drogi na rufę. Nie poruszał się zbyt szybko przy pomocy rąk, ale dźwięk syren wyzwolił w nim dodatkowe siły. Billie i Wilks byli w niebezpieczeństwie! Musi ich uratować. Szczególnie Billie.

Wilks dostrzegł Mitcha wleżącego się w ich kierunku. Bueller był wręcz karykaturą człowieka uciętego w pasie. Z tego szczególnego kąta widzenia wyglądał, jakby wynurzał się z podłogi.

- Billie! Wilks!

- Wszystko w porządku - odezwał się Wilks. - Po prostu kolejny dzień wakacji na statku kosmicznym.

Wyciągnął rękę.

Bueller przechylił się na jedną stronę. Cały swój ciężar opierał teraz na palcach lewej dłoni. Prawą rękę wyciągnął w górę i dwójka mężczyzn złączyła się w mocnym uścisku. Po chwili sierżant wywindował Mitcha na plecy.

- Billie...?

- Mieliśmy towarzystwo - powiedziała dziewczyna. - Może następnym razem będziecie mnie słuchać.

Po powrocie do pokoju komputerów Wilks uruchomił wewnętrzne kamery i zaczął przeszukiwać statek. Sprzęt nie był zbyt wyrafinowany, po prostu tanie urządzenia produkowane w Kambodży. Ziemskie przepisy wymagały instalowania kamer na wszystkich statkach, nawet tych kierowanych przez roboty, i w tym momencie Wilks był zadowolony z tych zarządzeń. Kamery nie posiadały wykrywaczy ruchu ani czujników podczerwieni, ale zawsze lepsze to niż nic.

To Bueller siedział przymocowany do fotela operatora. Jego reakcje były szybsze i lepiej znał system komputerowy.

- Sądzymy, że pozostała jeszcze dwójka obcych - powiedziała Billie. Opierała się o tył fotela, na którym siedział Wilks, i wpatrywała w monitory. Sierżant uparcie przeszukiwał wszystkie pomieszczenia statku.

Niczego nie zobaczyli w głównym korytarzu. - Jak dostali się na pokład?

- Ktoś załadował czwórkę ludzi do komór hipersnu. Wszyscy byli nosicielami poczwerek - odpowiedział Wilks. - Środkowe ładownie również były czyste.

- Dlaczego to zrobiono?

- Niezłe pytanie. Zabij mnie, jeżeli wiem. - O, do diabła - zawołał nagle.

- Dobrze się czujesz? - spytała Billie.

- Skurcz mięśni na karku. Nie zamierzam w ciągu najbliższych dni brać udziału w żadnych biegach - popatrzył na Buellera. - Gdyby Billie mi nie pomogła, stałbym się twoim bliźniaczym bratem. Właz przeciąłby mnie na pół.

Nadal nie było widać żadnych potworów.

Wilks przywołał na ekran kolejny obraz. Tym razem była to kuchnia. Nikogo.

- No właśnie - rozżościł się Wilks. - Te oszczędne skurwysyny zainstalowały tylko tyle kamer, ile wymagają przepisy. Poza nimi jesteśmy ślepi.



Nikt nie odzywał się przez kilka sekund.

- Mogę wam zapewnić dodatkowe oczy - nagle odezwał się Bueller.

Sierżant odwrócił się raptownie. Ból wkręcił mu się w kręgosłup i przeniknął aż do stóp. Wilks zagryzł wargi.

- O czym ty gadasz? Nigdzie nie pójdziesz.

- Nie, w mojej sytuacji nie byłoby to możliwe. Ale jest tu kilka samobieżnych robotów na baterie. Jeżeli przymocujemy kamerę na jednym z nich, możemy przeprowadzić dodatkowe poszukiwania.

Wilks zdobył się na uśmiech.

- Wspaniale, Bueller. A ja myślałem, że macie mózgi w dupach. No, to zabierajmy się do roboty.

Przygotowanie urządzenia zajęło Mitchowi kilka godzin, ale kiedy skończył, mieli do dyspozycji ruchomą kamerę. Billie nie bardzo wiedziała, co robią, gdy odnajdą obcych, ale wyobrażała sobie, że lepiej wiedzieć, gdzie tamci są. Ciągle jeszcze mieli cztery naboje w karabinie.

Robot razem z kamerą był tak duży jak średniej wielkości pies. Całość poruszała się na sześciu silikonowych kółkach i potrafiła wejść wszędzie tam, gdzie mógł wejść człowiek.

- Dobra, smyku - powiedział Wilks - biegnij i odszukaj nam te brzydkie potwory.

Minęły prawie dwie godziny, zanim wytropili obcych. Byli na suficie w korytarzu, w środkowej części statku. Gdyby Wilks nie wiedział, że potrafią to zrobić, nie zauważyłby ich. Jednak był jednym z tych, którzy widzieli, jak bestie chodzą po ścianach we wnętrzu swych kopców. Potwory nie poruszały się i dla niewprawnego oka mogły uchodzić za dziwną rzeźbę stworzoną przez nowoczesnego artystę.

- Są tam - odezwał się sierżant.

Billie pochyliła się do przodu, by lepiej widzieć.

- Co teraz? - spytała.

- Oczekuję propozycji.

- Mogę wziąć karabin - zaczął Mitch. - Jeżeli tylko zdołam zbliżyć się do... .

- Nie - przerwała Billie. - Potrafisz tak zrobić, żeby robot hałasował?

Wilks i Mitch popatrzyli uważnie na nią.

- Zwabimy ich do luku - tłumaczyła dziewczyna - a gdy się tam znajdą...

- Tak - Wilks zrozumiał, co miała na myśli. - Możemy wyrzucić je w próżnię. Może się uda.

- Macie lepszy pomysł?

Mitch i Wilks spojrzeli po sobie. Pokręcili głowami. - Więc zrobmy to.

Bueller był dobry w kierowaniu robotem. Przesunął go przez wewnętrzny właz do luku wyjściowego i zaczął uderzać robotem o ścianę. Nie słyszeli dźwięku, ale musiało być to całkiem niezłe dudnienie.

- Przesuń go w pobliże zewnętrznego włazu - zaproponowała Billie.

Bueller zrobił tak, jak powiedziała. Skierował kamerę w stronę otwartej kłapy wiodącej do wnętrza statku. Po niecałej minucie dwójka obcych pojawiła się w polu widzenia.

- Zachęć je do ataku - powiedział Wilks.

Robot zaczął poruszać się w przód i w tył tuż przed klapą wiodącą w pustkę kosmosu.

- Prawdopodobnie wiedzą, że to jest niejadalne. - Są wewnątrz - zauważyła Billie.

- Zamknij ten pieprzony właz - powiedział Wilks.



Mitch przerwał zabawę z robotem i przycisnął guzik zamykający wewnętrzny właz. Zanim obcy zdążyli zareagować, ponownie uruchomił robota i pchnął go wprost na dwójkę potworów. Mała maszyna wbiła się w nogę jednego z nich.

Obraz zatańczył dziko, gdy obcy kopnął robota.

- Chwytajcie się czegokolwiek. Wyłączam grawitację!

Wilks poczuł znajomy ucisk w żołądku. Mózg powiedział ciału, że spada w dół i może się roztrzaskać.

- Wysadzaj zewnętrzną klapę!

Bueller nacisnął guzik. Statek zakołysał się. - Mamy tam jakąś kamerę? - zapytała Billie.

Dłoń Mitcha kontynuowała swój taniec po klawiaturze, palce przebiegały klawisze jak szalone. Pojawił się obraz.

- To kamera na zewnątrz statku - oznajmił. - Przekręcą... Tam, tam jest jeden!

Zatrzymał obraz. Jeden z obcych odlatywał w przestrzeń. Odlatywał ze swego sanktuarium i będzie podróżował w pustce przez miliony, może miliardy kilometrów. Tak to sobie wyobrażał Wilks.

- Gdzie jest drugi?

- Nie widzę go - odpowiedział Bueller - ale mam podgląd do wnętrza luku.

Nacisnął kilka klawiszy. Luk był pusty.

- Wspaniale! - powiedział Wilks. - *Hasta la vista*, skurwysyny! - odwrócił się do Billie. - Jeszcze jeden punkt dla dobrych chłopców, dzieciaku.

W zerowej grawitacji włosy dziewczyny pływały w powietrzu we wszystkich kierunkach. Zamknęła oczy i kiwnęła głową.

Bueller włączył grawitację i włosy opadły... Nagle coś zaczęło walić w powłokę statku.

#### 4.

Dudnienie wywołujące wibrację statku zmieniło się w odgłos skrobania. Jakby pazury giganta drapały o metal.

- Brzmi to, jakby jakiś kot chciał wejść do środka - powiedział Wilks. - Dopadnę go.

Spróbował wstać. Niewidzialny mistrz karate wbił stalową pięść w krzyż komandosa. Skurcz i przenikliwy ból zmusiły go do pozostania w bezruchu. Każda zmiana położenia była niewskazana. Po chwili opadł ciężko na fotel. Ten ruch również wiele go kosztował.

- A może i nie - wydusił przez zaciśnięte zęby. - Tamten pewnie zapomniał się wysikać i teraz chce wrócić.

- Ja pójdę - odezwał się Bueller.

- Chwileczkę - wtrąciła się Billie. - Dlaczego ktokolwiek ma coś robić? Obcy jest na zewnątrz. Nie ma powietrza, zamrażnie i zginie!

Wilks pokręcił głową. Zabolalo go.

- To nie jest człowiek, Billie. Nie wiemy, w jaki sposób magazynuje tlen i energię. Jednak może przeżyć w tamtych warunkach przez długi czas. Każde z nas byłoby już tylko wspomnieniem.

- Więc co? Zostawmy go. Niech tam zdycha powoli. Bueller podniósł głowę.

- Billie, to nie jest statek wojskowy. Nie ma opancerzenia. Na zewnątrz znajdują się elementy, które mogą zostać uszkodzone. Przewody grzewcze albo hydrauliczne są zabezpieczone przeciwko tarcia atmosfery i pyłu kosmicznego, a nie przeciw temu co, robi ta bestia.

- O czym ty mówisz?

- Wsadzi palec w nieodpowiednie miejsce, walnie w coś ważnego, albo rozerwie jakąś instalację i zniszczy statek - dodał Wilks.



- Nie wierzę.

- Zaufaj moim słowom, dziecko. Człowiek w próżniowym ubraniu z półkilogramowym młotkiem w ręce mógłby to zrobić. I nawet by się nie spocił, wysyłając nas do wieczności.

Billie z zaambarasowaniem pokręciła głową.

- Cudownie. Po prostu wspañiale.

- Mamy parę skafandrów próżniowych – odezwał się Buller. – Z pępowiną. Zobaczę, czy uda mi się któryś założyć.

Billie patrzyła na niego uważnie, gdy mówił. Potem wzięła głęboki wdech.

Wilks wiedział na co się zanosi.

- Nie - powiedziała dziewczyna. – Ja pójdę.

- Billie... – zaczął Mitch.

- Skafander jest wyposażony w buty magnetyczne – mówiła patrząc Bullerowi prosto w oczy. – Nie myślę się, prawda?

- No tak, ale...

- Więc jak zamierzasz poruszać się i jednocześnie nieść karabin, Mitch? Będiesz trzymał go w zębach, a buty założysz na ręce? Wilks nie zdoła wyjść na zewnątrz, ty w żaden sposób nie zdołasz tego zrobić. Pozostaję ja.

Wilks i Buller wymienili spojrzenia.

- Sam siebie nienawidzę – powiedział komandos – ale ona ma rację.

Billie rozebrała się do krótkiej koszulki i majtek. Luk wyjściowy był wychłodzony, skafander zaś zakurzony i cuchnący. Weszła do dolnej jego części i podciągnęła nogawki. Mroźne dotknięcie skafandra wywołało dreszcze. Czuła się, jakby coś usiłowało zamienić ją w sople lodu. Wilks tłumaczył jej z tuzin razy, jak ma ubierać ten strój, jak sprawdzić szczelność i upewnić się, że wszystko jest w porządku. Gdyby mógł się poruszać, z pewnością sam by wszystko sprawdził. Z drugiej strony, gdyby mógł chodzić, to właśnie on wyszedłby na zewnątrz.

Skafander miał komunikator i głos Wilksa rozległ się natychmiast, gdy tylko założyła hełm.

- Słuchaj, dzieciaku. Nie będziemy ci mogli zbyt wiele pomóc tam, na zewnątrz. Wewnętrzne kamery zamarzyłyby, a to gówno z tamtej strony nie nadaje się do niczego. Może uda się uruchomić sensory dalekiego zasięgu i skierować je na ciebie, ale nawet wtedy musisz polegać na sobie.

- Chcesz zobaczyć, jak mnie zjada ten potwór?

- Billie... – w komunikatorze odezwał się głos Mitcha.

- To tylko żart, Mitch. Nie obawiaj się. Znajdę tę bestię i zastrzelę ją. Mam jeszcze cztery ładunki. Powinny wystarczyć.

Chciałaby czuć się tak odważną, jak usiłowała im wmówić. Przewaga była po jej stronie. Wiedziała, co ma robić, miała karabin, który potrafił zniszczyć potwora. Była też inteligentniejsza, sprytniejsza niż on. Obcy byli jak wielkie mrówki czy pszczoły. Okrutne, śmiertelnie niebezpieczne, ale głupie. Wszyscy to potwierdzali. Niemordowane – tak, sprytne – nie. Sztuczna grawitacja istniała tylko wewnątrz statku. Po tamtej stronie luku jej nie było. Trzeba być bardzo ostrożnym, żeby nie odlecieć w pustkę kosmosu. Billie będzie mogła chodzić po powierzchni statku, używając swych magnetycznych butów; obcy musi trzymać się czegoś. No i nie spodziewa się jej.

- W porządku, jestem ubrana. Powietrze jest dostarczane prawidłowo, ciepło i inne zabezpieczenia działają, jeśli wierzyć zielonym światełkom obok mojego policzka. Zamierzam zamknąć wewnętrzny właz i usunąć powietrze z luku.

- Jesteś pewna, że chcesz wyjść? – spytał Wilks.

- Tak, Mamusiu.



- Billie. Uważaj na siebie – to był głos Mitcha.

W jego głosie usłyszała miłość. Zastanowiło ją to. Pokiwała głową, chociaż wiedziała, że jej nie widzi.

- Nie obawiaj się. Mam zamiar być naprawdę ostrożna.

Pompy zaczęły pracować. Ciężki skafander nadął się od wewnętrznego ciśnienia, gdy tylko luk został opróżniony z powietrza. Na Boga! Billie czuła się, jak gdyby siedziała we wnętrzu grubego balonu. Mogła poruszać rękami i nogami, ale nie było to łatwe. Karabin miał specjalny uchwyt, dzięki któremu mogła swobodnie naciskać spust mimo grubych rękawic. Upewniła się że przełącznik ognia jest ustawiony na pojedyncze strzały. Wyświetlacz stanu magazynka pokazywał cyfrę 4, która jarzyła się czerwonym, jaskrawym światłem. Cztery strzały powinny wystarczyć.

Inne czerwone światło zwróciło jej uwagę. Oznaczało, że ciśnienie wewnątrz luku jest praktycznie równe zeru. Billie przełknęła ślinę. Gardło miała wyschnięte na wiór.

- Jestem gotowa do otwarcia zewnętrznej kłapy – powiedziała.

- Przyjąłem. Ruszaj.

Włąz się otworzył. Gwiazdy były jaskrawymi punkcikami na śmiertelnie czarnej kurtynie przestrzeni. Lokalne słońce świeciło po przeciwnej stronie statku. Billie ruszyła ku wyjściu. Wychyliła się na zewnątrz i rozejrzała się na wszystkie strony. Światła zewnętrzne świeciły się i w ich nikłym blasku natychmiast zobaczyła, że najbliższe otoczenie wyjścia jest puste. Powietrze, które uciekło ze statku, zamarzło i unosiło się teraz cieniutką mgiełką niedaleko od włazu.

- Nikogo w polu widzenia. Wychodzę...

- Nie zapomnij, że przełączniki butów masz na prawym biodrze. Podnieś jedną nogę i włącz magnesy najpierw po tej samej stronie.

- Pamiętam.

Billie wysunęła na zewnątrz prawą nogę, zdjęła ochraniacz z guzika na biodrze i nacisnęła go. But bezdźwięcznie przylgnał do powierzchni statku.

- Magnesy są silniejsze pod śródstopiem, a słabsze na piętach i palcach – usłyszała głos Wilksa. – Idź normalnie, tak jak chodzisz, a buty cię utrzymają. Będiesz się czuła, jakbyś szła po zwykłym, twardym podłożu. Stale trzymaj jeden but na powłoce statku.

- Wilkis, już to mówiłeś i to całkiem niedawno. Mój mózg jeszcze żyje.

Billie wysunęła na zewnątrz drugą nogę i nacisnęła przycisk lewego buta. Poczwała nagle chybotanie ciała, gdy stawała „pionowo”.

- Poczujesz się prawdopodobnie jakbyś miała upaść – znów włączył się Wilks. – To nic, nie martw się. Szybko się przystosujesz.

Billie rozejrzała się. Boże, jakie to wielkie! Pomimo strachu, jaki ciągle czuła, zdała sobie sprawę z piękna scenerii, w której się znalazła. Był to rodzaj przenikliwego poczucia doskonałości Wszechświata. Ogrzewanie skafandra włączyło się i czuła się całkiem dobrze we wnętrzu ciężkiego ubioru. Jednak zimno pustki kosmicznej było tak wielkie, że prawie słyszała jego dźwięk. Niezwykle się czuła stojąc tak pośrodku nicości, o miliony kilometrów od czegokolwiek. Zdała sobie sprawę, jak naprawdę jest mała w porównaniu do bezkresu kosmosu.

- To jest naprawdę niezwykle.

- Myślę, że tak – usłyszała Wilksa. – Nigdy nie zapomnisz swojego pierwszego wyjścia w przestrzeń.

- Jeżeli tylko je przeżyję – stwierdziła.

Chodzenie, tak jak powiedział sierżant, nie sprawiało jej trudności. Mała niewygoda, do której można było się szybko przyzwyczaić. Na czubku hełmu miała małą lampę i teraz właśnie ją włączyła. Znowu poczuła się, jakby była jedyną osobą w otaczającej ją nieskończoności.





„Zbudź się, Billie – powiedziała do siebie. – Nie zapominaj po co tutaj jesteś.”

- Przechodzę obok wielkiej tarczy – powiedziała na głos.
- Główna antena – odezwał się Wilks. – Widzisz coś?
- Nic. Idę w kierunku rufy. Pozostanę na brzegu, żeby widzieć, co dzieje się pode mną.
- Przyjąłem.

Billie ruszyła dalej. Karabin trzymała gotowy do strzału, palec na spuście. Nie powinno się tego robić, ale nie chciała ryzykować mając ręce w tych cholernych rękawicach, w których w ogóle nie miała czucia. Słyszała, że naukowcy pracowali nad skafandrem, który potrafiłby przewodzić impulsy w czasie rzędu nanosekund. Miały być też cienkie jak papier i mocniejsze niż pajęczy jedwab. Inwazja Obcych z pewnością przerwała te badania.

Minęła paraboliczną antenę i obejrzała ją od tyłu, żeby upewnić się, że nic nie skryło się w jej cieniu. Pępowina, która łączyła ją ze statkiem, płynęła za nią bez dźwięku. Sprawdziła tyły anteny i zaczęła się odwracać, gdy nagle kątem oka dostrzegła jakiś ruch.

Obróciła się w miejscu. Jej lewy but oderwał się od powłoki statku.

Obcy szybował ku niej jak prehistoryczny gad latający. Wyciągnął ramiona, a szponiaste łapy usiłowały ją schwytać.

„Musiał rozpląszyć się na talerzu anteny” – pomyślała. Wiedziała, że powinna była popatrzeć w górę. Fatalny błąd...

Wrzasnęła głośno pierwotnym krzykiem rozpacz i uniosła karabin. Skupiła uwagę na celu, myśląc jednocześnie, że jej okrzyk wywołał reakcję Wilksa, który coś mówił do niej przez komunikator. Po sekundzie zniknął nawet jego głos. Teraz cała uwaga dziewczyny zogniskowała się na czarnej śmierci, która bezgłośnie zbliżała się do niej. Odległe słońce rzucało refleksy światła na pancerz potwora, którego cień dosięgnął już Billie. Nic dla niej nie istniało w tym momencie oprócz bestii i jej najeżonej zębami paszczy. Nie było czasu na dokładne celowanie. Musiała po prostu wystrzelić...!

Odrzut karabinu oderwał od metalu drugi but dziewczyny. Nie potrafiła stwierdzić, czy trafiła obcego. Drugi strzał odrzucił ją w tył, a nogi zasłoniły jej widok na potwora. Pępowina utrzymała ją przy statku, ale zamiast powstrzymać jej ruch rzuciła ją z powrotem w kierunku powłoki.

Obcy przeleciał obok niej może o metr. Jeden z jej strzałów musiał trafić, bo strumień płynu wydobywał się z czubka czaszki monstrem. Ciecz szybko zamarzała, tworząc fantastyczne kryształki. Kula najwyraźniej tylko lekko zraniła obcego, ale wewnętrzne ciśnienie wypychało krew z ogromną siłą. W jej kierunku...

Billie naciskała spust raz za razem. Nie słyszała strzałów, ale poczuła przez rękawice elektroniczny sygnał oznaczający, że magazynek jest pusty. Wszystko odbywało się w przeraźliwie śmiertelnej ciszy.

Obydwa strzały chybiły, ale odrzuciły ją z drogi nadlatującego monstrem. Tym razem bestia przeleciała znacznie bliżej. Niespełna o pół metra. Nie było jej łatwo zawrócić. Skręciła się cała, ogon zatrzepotał, a wewnętrzne szczęki wysunęły się i kłapnęły jakby ze złości. Potwór obracał się powoli i ciągle leciał w stronę czarnej pustki.

Billie zdołała podciągnąć się na pępowinie i utrzymywała się twarzą w kierunku obcego. Kiedy zmniejszył się do wielkości mrówki, prawdziwej mrówki, spostrzegła, że światełko komunikatora błyska bez przerwy.

- Billie, do diabła, odezwij się!
- W porządku. U mnie wszystko jak najlepiej.
- Co się stało?
- Znalazłam naszego kotka. Nie dawał się przegonić. Widocznie polubił nasze towarzystwo.
- Na Buddę i Jezusa razem!
- Właśnie do nich leci.



- Z tobą wszystko dobrze?
- Tak.
- Wracaj do środka.
- Idę.

Pociągnęła za pępowinę i stanęła na nogi. Buty przyłgnęły do powłoki statku. Nareszcie.

Gdy szła w kierunku włazu, spostrzegła, że coś połyskuje w słońcu. Kąt widzenia był chyba właściwy i dlatego mogła to zauważyć.

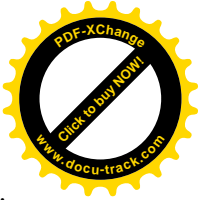
- Hej, Wilks?
- Billie?
- Coś fruwa obok statku.
- Obcy?
- Nie, on odleciał już daleko. Wygląda to jak smuga. Biegnie prosto ku tyłowi statku, ale pod kątem.
- Zamarznięta para – powiedział Wilks. – Z powietrza, które wypchnęło potwory. Albo ślad twojego wyjścia.
- Myślę, że to coś innego. Widywałam już ślady zamrożonego powietrza. To wygląda raczej jak ślad odrzutowca na niebie. Jest cieniutkie i wygląda jakby zataczało pętlę. Nie widzę dokładnie z tego miejsca.
- Jakaś anomalia. Zapomnij o tym. Wchodź do środka.
- Skoro już tu jestem to muszę to sprawdzić.
- Powiedziałem, daj sobie z tym spokój.
- Tak, wiem. Mówisz wiele rzeczy, Wilks.
- Billie, może to obcy się wysikał. Albo puścił bąka. To nieważne.
- Może. A może obcy siknął tak mocno, żeby zawrócić do statku.
- Przestań. One nie są takie sprytne.
- A słyszałeś o jakimś stworzeniu, które może żyć w próżni bez skafandra? Albo o takim, które stuka w powłokę statku nie mając zapasu powietrza ani zabezpieczenia przeciwko temperaturze zera bezwzględnego? Może nie są zbyt błyskotliwe, ale mają twarde życie, Wilks.

Komunikator milczał.

- Pójdę zobaczyć. Pewnie to nic takiego.
  - Ile strzałów ci zostało? – włączył się Bueller.
  - Hmm, faktycznie to żaden.
  - Cholera, Billie...
  - Bez znaczenia – powiedziała. – Nie ma tu już nic do zastrzelenia.
- Nie miała już nawet karabinu. Nie pamiętała też, jak go straciła.
- Co zrobisz, jeżeli okaże się, że to następny obcy? – spytał Wilks. – Pójdiesz na skargę do jego mamy?
  - Tylko popatrzę. Jeden potwór naraz wystarczy.

Buller zaczął gramolić się ze swego fotela.

- Dokąd się wybierasz?
- Na zewnątrz.
- Porzuć te marzenia kolego. Nic takiego się nie wydarzy.
- Sierzancie, jeżeli tam jest jeszcze jedna bestia, to Billie nie ma żadnych szans. Jest nieuzbrojona.
- A ty? Ostatnim razem, jak starłeś się z obcym, straciłeś dupę, Bueller. A byłeś świetnie wyszkolonym komandosem i miałeś broń.
- Wilks...



- Cywilizacji może zapadać się w nicość, ale ty ciągle jesteś komandosem pod moimi rozkazami. Mam rację, Bueller?

- Dobrze wiesz, że masz.

- Więc zostań tam, gdzie jesteś. Nie wiemy, co się tam na zewnątrz dzieje, a Billie nie jest na razie w prawdziwym niebezpieczeństwie.

Bueller zdusił w sobie wściekłość. Wilks widział, jak walczy z sobą i własną niesubordynacją. Zaprogramowane posłuszeństwo zwyciężyło.

- W porządku – powiedział Mitch głuchym głosem.

- Dobry chłopiec. Zobaczymy, co możemy zrobić, gdyby Billie potrzebowała pomocy.

Billie poszła w kierunku rufy statku. Dotarła aż do urządzeń cumowniczych. Silniki grawitacyjne nie potrzebowały ich; wytwarzały fale, przenikające cały statek, o ile to dobrze rozumiała. Ale zarządzenia były wyraźne i statek posiadał również rakiety sterujące. W czasie pracy głównego napędu silniki raketowe nie pracowały. Tak jej powiedział Wilks.

Główny silnik hamujący był rurą o średnicy około trzech metrów. Jego dalszy kraniec skrył się w całkowitej ciemności. Jedynym sposobem na jego zbadanie było przechylenie się przez krawędź i włączenie światła na hełmie. Oznaczało to, że jeżeli w środku siedzi cokolwiek, dojrzy ją natychmiast.

Powiedziała Wilksowi i Mitchowi, co zamierza zrobić.

Dyszała głośno. Wizjer hełmu wykonany ze specjalnego plastiku pokryły kropelki wody o perfekcyjnie sferycznym kształcie. W nieobecności grawitacji wyraźny był efekt działania napięcia powierzchniowego.

- Dobra. Idę.

Billie przylgnęła płasko do powłoki statku. Dotykała powierzchni tylko czubkami butów. Pochyliła się i wyjrzała nad brzegiem dyszy silnika. Jej krawędź powlekał gładki ceramiczny materiał. Trudno było utrzymać go w dłoniach. Wreszcie udało jej się wślizgnąć do środka.

Niczego nie dostrzegła. Przynajmniej z tego kąta widzenia. Wychyliła się dalej, żeby zobaczyć całe wnętrze rury.

Mała plama światła wyłowiła z mroku mniejszą dyszę, która służyła do kontrolowania kierunku strumienia głównego. Nic. Odetchnęła swobodniej.

Nagle zobaczyła obcego. Przykucnął za małą dyszą, gotowy do skoku. Jakby wiedział, że dziewczyna przyjdzie do niego.

- Do cholery! Jest w dyszy silnika!

Billie drapała się jak szalona po ścianie. Dłonie w rękawicach ześlizgiwały się z gładkiego brzegu. Prawy but odczepił się od statku.

- Obróć się! – wrzasnęła na siebie. – Skieruj te pieprzone buty w dół!

Monstrum podniosło głowę i zdawało się uśmiechać do niej. Zamierzało skoczyć. Jeżeli nie wyjdzie stąd, łatwo zostanie schwytana.

- Billie, uciekaj z dyszy! – krzyknął Mitch. – Odpał silnik!

- Próbuję!

Czas zwolnił swój bieg. Sekundy zamieniły się w dni, miesiące, eony. Billie skręcała się, usiłując skierować w dół buty, ale ciągle jej się nie udawało. Bez pomocy nie poradzi sobie.

- Billie!

Obcy skoczył. Zdawał się być zbudowany wyłącznie z zębów i szponów.

- Billie!.

Nagle dziewczyna zrozumiała, że w desperacji próbowała robić rzecz zupełnie niepotrzebną. Na zewnątrz nie było przecież grawitacji. Nie musiała wracać na powłokę statku. Wystarczyło usunąć się z drogi lecącej bestii. Jej myślenie było dwuwymiarowe, a przecież tutaj i ona miała skrzydła. Mogła odlecieć.



- Jestem poza dyszą!

Zahuczał ogień. Żółtopomarańczowy blask uderzył w wizjer hełmu i polaryzatory natychmiast przyciemniły plastik.

Wydało jej się, że słyszy wrzask obcego, gdy odlatywał od statku spowity w płonący gaz, który spalał go żywcem. Cieszyła się na widok tej pieczeni. Stwierdziła nagle, że uśmiecha się z dziką, wilczą satysfakcją.

- Usmaż się, ty sukinsynu – mruknęła pod nosem.
- Billie?

- Fajny strzał, Match. Następny punkt dla dobrych chłopców. A teraz już naprawdę wracam.

## 5.

Dwa dni po tym, jak Billie posłała ostatniego obcego w pustkę kosmosu, Bueller przechwycił sygnały radiowe. Były na wojskowej długości fal i na dodatek kodowane, więc nie wiedział, co zawiera transmisja. Jednak z mocy sygnałów wywnioskował, że ich źródło musi być blisko. Niestety, statek nie miał aparatury nadawczej. Miał tylko odbiornik.

Wilksowi nie zajęło zbyt wiele czasu ustalenie skąd zostały wysłane dobiegające ich sygnały.

- Hej – odezwał się. – Popatrzcie tutaj.

Billie przechyliła się nad jego ramieniem i patrzyła jak sierżant pracuje z komputerem.

- Mamy tu planetoidę. Jest niewiele większa niż Księżyc, ale okrąża lokalne słońce po własnej orbicie. Była po przeciwnej stronie swojej gwiazdy niż my, gdy wyszliśmy z komór, więc nic dziwnego, że jej nie widzieliśmy.

Po ekranie monitora przesuwaly się kolejne liczby. Wilks coś nacisnął i pojawił się z grubsza sferyczny kształt spowity w siatkę linii.

- Baza Komandosów Kolonialnych? – zdziwił się Bueller.

- Tak. Można się było domyśleć. Połącz kilka hermetycznych budynków, napompuj je powietrzem, wstaw kilka generatorów grawitacji i otrzymasz komfortowy dom. Zakładając, że wychowałeś się w slumsach. Wojsko ma setki takich baz w galaktyce, albo przynajmniej miało.

- To tam lecimy? – spytała Billie.

- Nie widzę w okolicy innego celu wycieczki, dziecko. Jeżeli ten cholerny czujnik nie kłamie, to będziemy na miejscu za kilka dni.

Cała trójka wpatrzyła się w monitor komputera. Billie zaciekawilo, czy Wilks i Mitch myślą o tej samej rzeczy co ona. Czy jest to przystań dla uciekinierów takich jak oni, czy też prosto z patelni wpadną w płomień?

Wyglądało na to, że szybko się o tym przekonają.

Napęd grawitacyjny był czymś, co Wilks zawsze podziwiał. Podróżowali z szybkością nawet w części nieosiągalną przez dawne silniki. Kiedy zbliżyli się do planetoidy – była niemal dokładnie wielkości ziemskiego księżyca – bezustanny pomruk generatorów umilkł. Statek obrócił się i zaczął hamować w odległości stu pięćdziesięciu milionów kilometrów od celu. Pojawiła się niewielka vibracja pochodząca z silników raketowych, ale w porównaniu z poprzednim stanem statek był właściwie nieruchomy.

- Możemy zużyć całą pozostałą wodę na umycie się – powiedział Wilks. – Chcemy przecież wyglądać porządnie na przyjęciu, prawda?

- Pewnie. Szczególnie, że nie spodziewają się gości – stwierdziła ironicznie Billie.

Wzruszył ramionami.



Pomimo pozornego spokoju sierżant był zdenerwowany. Znaleźli się daleko od miejsc, które mogli nazywać domem. Zaś gościnność mieszkańców bazy mogła okazać się dyskusyjna.

Statek opadał ku małej planecie. Grawitacja wzrosła, gdy tylko dostał się w zasięg działania generatorów grawitacyjnych wojskowej bazy. Bueller wyłączył wewnętrzną grawitację i od razu zrobiło się przyjemniej.

Łądowanie było fatalne – statek osiadł wprost na ogonie, na ogniu silników hamujących. Cały statek drżał, gdy kompresory właczały powietrze do doku cumowniczego. Gdyby było go wystarczająco dużo, słyszeliby pracujące maszyny.

Plecy Wilksa w dalszym ciągu były obolałe, ale przynajmniej mógł już chodzić. Bueller siedział w wózku, który znalazła Billie. Wreszcie rufowy luk wykazał wystarczającą do oddychania ilość powietrza i trójka pasażerów zesłała po rampie rozładunkowej, która opuściła się na zewnątrz. Hydrauliczne teleskopy zasyczały i pochylnia zatrzymała się. Poza statkiem było zimno, ale powietrze okazało się znacznie świeższe niż to, którym przywykli oddychać.

Oddziałek komandosów w pełnym oporządzeniu stał obok statku. Karabiny trzymali w pogotowiu. Na widok wychodzących, czterech najbliższych żołnierzy przystawiło broń do ramienia. Za ich plecami, w elektrycznym pojeździe siedział oficer. Grube cygaro zwisało mu z ust. Nosił sfatygowany mundur polowy, a złote naszywki i czapka informowały, że jest młodszym generałem, brygadierem.

- Spokojnie! – wrzasnął generał.

Wyszedł z małego samochodu. Był średniego wzrostu, lecz potężnie zbudowany. Miał ciało mistrza w podnoszeniu ciężarów. Oprócz czapki nosił na głowie komunikator ze słuchawkami i małym mikrofonem. Na biodrze dyndał mu starodawny pistolet kalibru 10 mm. Broń była wykonana z nierdzewnej stali, a rękojeść miała wyłożoną autentycznym santoprenem. Rękawy munduru miał podwinięte. Na przedramionach można było dostrzec tatuaże: na lewym krzyczącego orła rozrywającego łańcuchy, na prawym godło Komandosów Kolonialnych i flagę skrzyżowaną ze sztyletem. Tęczowy hologram świecący na lewej piersi mówił, że oficer nazywa się T. Spears.

Generał podszedł bliżej i zatrzymał się o krok przed trójką przybyszów.

- Nie spodziewałem się tu zobaczyć całego ambulatorium – burknął.

Wilks zamrugał oczami. Nikt nie wiedział, że są na pokładzie. Skoro ten człowiek spodziewał się zobaczyć kogoś innego niż oni, to oznaczało, że wiedział o tamtej czwórce.

- Jeżeli mówi pan, generale, o czterech ludziach w komorach, to nie my.

Spears uniósł jedną krzaczastą brew.

- Co powiedziałaś, komandosie? Wyjaśnij to.

- Po prostu, lecieliśmy razem z nimi.

- W porządku – generał kiwnął głową i powiedział do żołnierzy stojących z tyłu: - Maxwell, Dowling, sprawdźcie ładunek.

- Skoro mowa o tej czwórce w komorach hipersnu, to tracicie czas – powiedziała Billie.

- Byli zainfekowani przez obcych.

Billei była bystra. Wilks także zrozumiał, o co chodziło oficerowi.

- Byli?

- Bestie wyjadły sobie drogę na zewnątrz. Ludzie nie żyją.

Sierżant zrozumiał, że generał ma w dupie ludzi.

- Co z obcymi? – spytał Spears.

Zanim Wilks zdążył zareagować, Billie powiedziała:

- Zabiliśmy ich.

Generał zacisnął zęby. Jeszcze chwila i przegryzłby cygaro.



- Co takiego? Zabiliście moje ziemskie okazy.

Teraz Billie zamrugła zakłopotana

- Pańskie ziemskie okazy?

- Sytuacja była jasna – odezwał się Bueller. – Albo oni, albo my.

Generał spojrzął na Mitcha.

- Słuchaj no, sztuczniaku. Mam bazę pełną ludzi i nie potrzeba mi więcej. Chcę mieć wyklute na ziemi potwory! Chcę, żeby moi naukowcy zbadali wszelkie możliwe mutacje! Jest wojna. Może nawet o niej nie słyszeliście. Ale mówię wam, że właśnie pogrzebaliście misję o najwyższym priorytecie. Mógłbym was za to rozstrzelać.

Wilks przyjrzał się uważniej generałowi.

Ten wyciągnął cygaro spomiędzy warg i strząsnął popiół.

- Wsadzić tę trójkę do izolatek i prześwietlić – rozkazał. – Może sami są nosicielami i próbują to ukryć. Dobrze byłoby uratować cokolwiek.

Włączył komunikator

- Powell! Natychmiast do mnie. Mamy problem.

Lufa karabinu stuknęła Wilksa w plecy. Sierżant poczuł przeraźliwy ból i uderzył żołnierza, który to zrobił. Potem zdołał zapanować nad sobą. Nie było sensu zadzierać z tymi chłopakami. Ruszył do przodu. Może później zdołają się dowiedzieć, o co tu, do diabła, chodzi.

Jeden z żołnierzy popychał wózek z Buellerem, drugi trzymał pod bronią Wilksa i Billie. Dziewczyna nie rozumiała zupełnie, co się dzieje. Weszli w długi korytarz, a kiedy dotarli do jego końca, znaleźli się w progu wielkiej sali.

Billie jęknęła.

Przy przeciwległej ścianie stał rząd błyszczących cylindrów. Sześć rur długich wysokich na cztery metry i o średnicy około dwóch i pół metra. W środku znajdował się białoniebieski, półprzezroczysty płyn. W każdym z pojemników siedział dorosły obcy.

Billie stwierdziła nagle, że wbija paznokcie w ramię Wilksa.

- o, Jezu – wykrztusił sierżant.

Komandos z karabinem wskazał lufą na zbiorniki i powiedział:

- Nie obawiaj się, sierżancie. Te dzieciątka są uśpione. To fluoro polimer. Żyją, ale nigdzie stąd nie odejdą.

Billie spostrzegła mniejsze cylindry poukładane na długim stole. Każdy z nich zawierał podobną do kraba poczwarkę. Kilku techników w sterylnych, osmotycznych ubraniach stało lub siedziało obok. Dziewczyna, która spędziła pół życia w szpitalu, natychmiast rozpoznała mikroskopy, lasery chirurgiczne, autoklawy i inny sprzęt medyczny.

Poczuła, że za chwilę zwymiotuje. Prowadzono tu badania nad obcymi. Po co? Żeby dowiedzieć się, jak je zabijać?

Tak właśnie musiało być. Po cóż innego mieliby to robić?

## 6.

Wózek widłowy toczył się bezgłośnie po podłodze na swych grubych oponach z włókna szklanego. Potężny elektryczny silnik zabuczał głośno, gdy kierowca zamknął specjalne uchwyty wokół jednego z kontenerów i podniósł zbiornik z obcym w środku. Bardzo ostrożnie – operator wiedział doskonale, czym groziło zniszczenie pojemnika – ruszył w swą drogę do komory królowej.

Spears przyglądał się i kiwał z zadowoleniem głową. Kierowca był dobrym fachowcem. Starannie unikał najechania na przewody podłączone do pozostałych zbiorników. Generał



miał w bazie więcej niż setkę obcych. Każdy z nich znajdował się pod działaniem specjalnie dobranych środków chemicznych. Naukowcy twierdzili, że podawane im chemikalia czyniły je bardziej podatnymi na sugestię.

Uśmiechnął się do siebie, przeżuwając koniec cygara. Było to prawdziwe tytoniowe cygare, nielegalne jak cholera. Nie miało to dla niego najmniejszego znaczenia. Prawo pozostało poza jego planetą. Tytoń nie był tak dobry jak ten wyhodowany w promieniach ziemskiego słońca, ale tutaj mógł mieć wyłącznie taki. No i miał jeszcze sześć bezcennych cygar Jamaican Lonsdale. Prawdziwych maduros, czarnych i aromatycznych, zapieczetowanych w szklanych rurkach z gazem szlachetnym. Za każde z nich mógłby łatwo dostać z dziesięć tysięcy kredytek, gdyby tylko chciał sprzedać.

Chrząknął. Gdybyż pieniądze znaczyły cokolwiek. Dla niego były niczym. Potrzebował ich jedynie na zaopatrzenie bazy w sprzęt, żywność i wszystko inne. Tu, w Trzeciej Bazie, nikt nie używał pieniędzy. Żołnierze dostawali to, czego im było potrzeba i musiało im to wystarczyć. Jego drogocenne cygara pochodziły z Kuby i stanowiły dar od bogacza, którego dupę kiedyś generał uratował. Dostał wtedy osiem sztuk. Pierwsze wypalił w dniu, kiedy dostał swe generalskie gwiazdki jednocześnie dowództwo Trzeciej Bazy. Drugie, kiedy jego medycy przywieźli tu królową obcych i umieścili ją w sztucznym, kontrolowanym mrowisku. Planował wypalić trzecie po pierwszej zwycięskiej bitwie przeciwko dzikim obcym na Ziemi.

Thomas S.M. Spears miał swoje plany, wielkie plany i miały się one wypełnić poprzez odbicie kolebki ludzkości przy użyciu najbardziej śmiertelnych żołnierzy, jakimi kiedykolwiek dowodził człowiek.

Odwrócił się i poszedł w kierunku biura. Idąc, palił bez przerwy cygare. Żołnierz rodzi się do walki, a w jego przypadku było to stwierdzenie prawdziwsze niż zwykle. Znalazł się wśród pierwszych przedstawicieli ludzkiego gatunku, którzy przyszedli na świat za pomocą sztucznej macicy. Do dziś z dumą używał środkowych inicjałów, które właśnie to oznaczały. Zdarzyło się to w bazie wojskowej, gdzie zjawily się pierwsze dzieci wyhodowane w ten sposób. Wychowywał się w ochronce jak i inne dzieci wtedy urodzone. Było ich dziewięcioro i wszystkie, oprócz jednego, zostały żołnierzami. Ten jeden też by pewnie został, gdyby nie zginął w wypadku jeszcze jako mały chłopiec. Pewnie, mózgowcy wymyślili później androidy, ale on nie był żadnym sztuczniakiem. Był prawdziwym człowiekiem z wszystkimi chromosomami na swoim miejscu. Człowiekiem, który wiedział, czego chce. Co może zrobić i co musi zrobić.

Generał przystanął przy jednym z kontenerów. Położył dłonie na grubej powłoce z pleksiglasu. Powierzchnia sztucznego tworzywa była zimna. Obcy siedzący w środku nie poruszał się, ale oficer wyobrażał sobie, że potwór wyczuwa go i boi się nawet będąc uśpionym.

„Poznaj mnie – myślał Spears. – Jestem twoim panem. Twoje życie jest w moich rękach. Bądź posłuszny i będziesz żył, nie będziesz słuchał i umrzesz”.

Odszedł kilka kroków od zbiornika, odwrócił się i raz jeszcze spojrzął na tę okrutną maszynę do zabijania, jak pływająca uśpiona w środku. To był żołnierz doskonały. Zniszcz wroga albo umrzyj za królową. Skinął głową obcemu i wyszedł.

Na końcu korytarza skręcił i poszedł do małego biura, z którego kierował całą bazą. Cholerne władze cywilne na Ziemi robią to co zwykle. Próbuja ugasić pożar lasu konewką. A jedynym sposobem, żeby zniszczyć wielki ogień jest rozpalenie jeszcze większego. Trzeba zniszczyć paliwo – pokarm dla ognia – odciąć dopływ tlenu, zjeść to, co mógłby zjeść pożar. Oczywiście, można strzelać do obcych z pocisków przeciwpancernych, można rzucać na nich bomby, ale to strata czasu. Czyż nie lepiej zwalczyć bestię przy użyciu innej bestii o równej zaciętości w walce? Nie lepiej wykorzystać coś, co może polować na wroga, bo zna jego sposób myślenia, bo jest takie samo jak on? Tak jak używa się królewskiej kobry do polowania na jadowite węże czy psów myśliwskich do ścigania dzikiej zwierzyny, tak i w



tym przypadku rozwiązanie jest boleśnie oczywiste. Generał sam nie mógł w to z początku uwierzyć. Nie wierzył, dopóki nie zobaczył jak działają obcy. Teraz był ich gorliwym wyznawcą. Wątpliwości zostały wyeliminowane. Samotnie podjął ten wysiłek.

Dotarł do biura, otworzył staromodne drzwi i wszedł do środka.

Major Powell, jego pierwszy oficer, stał obok stołu z terminalem komputerowym. Przyglądał się holograficznemu obrazowi, który unosił się nad podłogą. Spears mógł odczytać słowa obrazu, a nawet obejrzeć obraz od tyłu, gdyby zechciał, ale poczuł tylko zaskoczenie i złość.

- Powell, sądziłem, że wyraźnie poleciłem ci posprzątać ten bajzel.

- Tak jest. Wszystko już uporządkowane. - Do mojej sziatyni - rozkazał generał.

Major skinął głową i podążył za swym zwierzchnikiem do wewnętrznego pokoju.

Urządzenie wnętrza było skromne: biurko, fotel, terminal komputerowy i kilka pamiątkowych zdjęć na plastikowych ścianach. Spears okrążył biurko, ale nie usiadł w fotelu.

- Więc?

- Cóż... lu... po... kontenery na obcych zostały... zniszczone, panie generale. Świadczy to, że najgłębsze możliwe zamrożenie nie zahamowało rozwoju poczwerek. Lu... eee... kontenery... eee... nie żyły. Sposób wyjścia obcych normalny, sądząc po rozpryskach krwi. Ciała były w znacznej części zjedzone. Dorosłe osobniki zabiły bez wątpienia jednego ze swoich i użyły jego krwi do wydostania się z zamkniętej przestrzeni magazynu.

- Niezwykle pomysłowe - powiedział Spears.

Wyjął spomiędzy warg cygaro i przyjrzał się zimnemu słupkowi popiołu, który utrzymał się na czubku. Włożył całe cygaro do popielniczki na biurku.

- Mów dalej.

- Nigdzie nie było śladu po pozostałych. - Sądzymy, że pozostała trójka była żywa. Ślady kwasu w kilku miejscach statku wskazują na walkę pomiędzy tymi gapowiczami i obcymi. Wstępnie przepytalem sierżanta. Z jego raportu wynika, że jeden został zastrzelony na pokładzie, a dwa pozostałe wyrzucone w przestrzeń.

- Cholera!

- Prawdopodobnie ta kobieta wyszła na zewnątrz i zniszczyła pozostałe dwa osobniki, które przeżyły wiele minut w próżni bez wyraźnego uszczerbku.

- Kobieta to zrobiła? Dlaczego nie ten komandos? - Odniósł dość bolesne obrażenia podczas walki.

- Hmm. Życie w próżni. Wiedzieliśmy już o tym. Komora w głowie i jeszcze... jak się to nazywa?

- Regulator pseudohipotamiczny - odpowiedział Powell. - Właśnie. Podgrzewają ten swój kwas i dzięki temu nie zamarzają.

- Ciała dwóch zabitych na statku zostały wyrzucone. - Niedobrze. Mogliśmy uzyskać, chociaż DNA

Spears popatrzył na wygaszone cygaro i pomyślał, czy warto zapalić je ponownie.

- Dwoje ludzi i pół androida przeciwko czterem obcym w bezpośrednim starciu. Nigdy nie pomyślałbym, że to się może tak skończyć. Ich taktyka może być interesująca.

- Ci pasażerowie na gapę mieli wcześniejsze doświadczenia z obcymi.

- Tak?

- Nie mamy żadnych informacji o kobiecie, ale wojskowe archiwa zawierają dossier komandosa i androida. Ten ostatni, swoją drogą, jest z oddziałów bojowych.

- Jeden z naszych? - To pewne.

- Interesujące. Czy któreś z nich jest zainfekowane? - Prześwietlenie nic nie wykazało.





- Niedobrze. Pokaż mi wyciąg z archiwum. Służbowy dostarczy wciągu osiemnastu minut. - To wszystko, Powell.

- Tak jest, panie generale.

Spears usiadł, gdy tylko major zniknął za drzwiami. Odchylił się do tyłu i położył nogi na biurku. Podniósł cygaro i zapalił je ponownie. Zaciągnął się głęboko i po chwili wdmuchał wielką, błękitnoszarą chmurę dymu. Wentylatory wessały szybko obłok w swe przepastne głębie. Generał pomyślał, że może uda się jednak wycisnąć coś wartościowego z tej beznadziejnej sytuacji. Czasem najgorszy podmuch wiatru może przynieść coś pożytecznego. Dobry żołnierz powinien to dostrzec i wykorzystać. Trzeba obejrzeć dokładnie dane na temat sierżanta i androida. A jeżeli nie będą mieli nic ciekawego do zaoferowania, to technicy dostaną parę ciał dla wylęgarni...

- W porządku? - spytał Wilks Billie. - Tak, całkiem nieźle.

- Powinnaś deptać tym chłopakom po odciskach. Oni tylko wykonują rozkazy.

- Tak? Jak te niewiniątka, co zrównały z ziemią Cañberę podczas Wielkiego Buntu w 82.

- Co z tobą, Bueller? . - Żadnych nowych uszkodzeń.

Wilks rozejrzał się. Pokój był większy niż niektóre z cel, jakie zwiedził w swoim życiu. Pięć na pięć metrów, okno zabezpieczone plastikową szybą, podwójne drzwi z prostym zamkiem. W jednym z kątów znajdowała się chemiczna toaleta, obok której wystawał ze ściany zwykły pojedynczy kran. Miłe miejsce. Sprytny facet z kawałkiem drutu mógł łatwo otworzyć tak prymitywny zamek. Inna rzecz, że właściwie nie byłoby gdzie uciekać po sforsowaniu tych drzwi. Musieliby znowu ukraść statek, ale bez podstawowej chociażby wiedzy na temat nawigacji i znajomości rozmieszczenia siedzib ludzkich nie zaatakowanych przez obcych, nie wiedzieliby, dokąd odlecieć.

- Widziałeś monitory, które mijaliśmy? - spytała Billie. - Tak. Ciągłe mają na orbicie satelity szpiegowskie. Wyłącznie do użytku wojska. Ten major, który nas wypytywał? Powiedział mi, że mogą się przydać w czasie wojny. On sam wygląda na porządnego faceta. Jest taki... apologetyczny. Prawdopodobnie spotkamy go jeszcze.

- Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia z wojskowym sposobem myślenia. Co się tutaj dzieje, Wilks?

- Nie wiem, do diabła. Generał wygląda mi na ZK - to jest zawodowego komandosa - znam takich. Je, oddycha i sra nawet na chwałę Korpusu. Prawdopodobnie rządzi bazą jak despota. Pewnie wcale go nie obchodzi, co się dzieje na Ziemi. Ma swoje rozkazy i je wykonuje. Żyje tym. A może myśli, że jest tu czymś w rodzaju bóstwa - wielu generałów tak myśli - uważa, że może zrobić wszystko. Trudno powiedzieć, jak jest tutaj.

- Jak myślisz, co stanie się z nami? Wilks potrząsnął głową.

- Nie wiem. Pewne jest, że prowadzą tutaj jakiś eksperyment z obcymi. Mogę się założyć, że jest to - albo było - coś bardzo dziwnego. Ścisłe tajne. Jesteśmy ziarnkami piasku w dobrze nasmarowanej maszynie tego faceta.

- Zawsze zabierasz mnie do niezwykle przyjemnych miejsc, Wilks.

Roześmiał się.

- Nie można powiedzieć, że to jest takie złe.

- No, nie - Billie zmusiła się do uśmiechu. - Te słowa po prostu przyszły mi do głowy. Dobrze, a co teraz?

- Kolej na ich ruch. My czekamy i patrzymy, co zrobią. I chyba musimy złapać trochę snu.

Z tymi słowami Wilks rzucił się na jedno z łóżek. Bueller zrobił to samo. Po chwili zastanowienia Billie zajęła trzecie posłanie.



Wilks miał za sobą wystarczająco długi trening jako komandos i zasypiał na zawołanie. Cokolwiek ma się stać, to się stanie. Będzie się tym zajmował, gdy przyjdzie na to czas. Teraz w ciągu kilku sekund zapadł w głęboki sen.

Trójka żołnierzy znajdowała się na trzecim poziomie inodoros, stłoczona w przestrzeni przeznaczonej na jednoosobową kabinę toalety. Ściany miały uszy w całej Trzeciej Bazie, ale oni wyobrażali sobie, że ubikacja jest tym jedynym bezpiecznym miejscem. Małe pomieszczenie wykonano z białego, twardego plastiku. Na ścianie widniały litery SUOL-C - system utylizacji odpadków ludzkich- chemiczny.

- Ile mamy czasu? - spytał jeden z komandosów. Był to Renus, Wolfgang R., Szeregowy Pierwszej Kategorii.

- Trzy dni - odpowiedział drugi z żołnierzy. Peterson, Sean J., kapral.

- Do dupy - rzucił trzeci. - Do cywilnej kolonii jest cztery dni, a potrzebujemy pięciu, by dotrzeć do kanionów. - Trzecim mężczyzną był Magruder, Jason S., również SPK. - Więc będziemy głodni, kiedy już dotrzemy na miejsce - Powiedział Peterson. - Słuchajcie, mam już dość tego jedzenia, tych więziennych porcji. Spears ma wszystko w tej pieprzonej bazie. Z luksusowym papierem do dupy włącznie. Poza tym pełzacz ma skafandry próżniowe na wyposażeniu. Ma też dodatkowe zapasy jedzenia.

- Wspaniale, jeżeli lubisz te żytnie trociny- odezwał się Magruder.

- Ejże, czyżbyś wolał zostać tutaj?

- Uważasz, że cywile nas przyjmą i ukryją? - spytał Renus. Peterson wzruszył ramionami.

- Kontaktują się ze Spearsem. Wiedzą, że balansuje na krawędzi. Mogą się obawiać nas przyjąć, ale zrobią to. Jemu powiedzą, że nigdy o nas nie słyszeli.

- Jednak to ryzykowne - Magruder nie był przekonany.

- Tak jak powiedziałem, możesz tutaj zostać. Wcześniej czy później, przekroczysz punkt regulaminu, o którym nawet nie słyszałeś i... wiesz co to oznacza.

Komandos kiwnął głową.

- Wiem. Na papu dla obcych.

- Jak dużo czasu nam zostało? - zadał pytanie Renus.

- Parę... może trzy godziny. Spears i Powell zabawiają się w szalonego doktora z gapowiczami - powiedział Peterson. - Nasz generał lubi oglądać implantację. Myślę, że podnieca się patrząc, jak te bestie wpychają się komuś do gardła. Jeżeli zdołamy dotrzeć do Kanionu Tysiąca i wyłączymy ogrzewanie, nie będzie mógł nas znaleźć na podczerwieni. Osłona pełzacza pozwoli nam zniknąć z pola widzenia.

Trzej mężczyźni popatrzyli po sobie.

- Mamy przynajmniej szansę - zakończył Peterson. Wyszli chyłkiem na korytarz..

Przy Południowym Luku stał na warcie Patin, Robert T., SPK. Oparł się o ścianę. Jego karabin stał obok. Popatrzył przed siebie i zobaczył; że ktoś nadchodzi. Uśmiechnął się, ale nie zmienił niedbałej pozycji. Nudna praca: I bez wątpienia miał ten sam pogląd na pilnowanie luku, co większość komandosów: Nie dostaniesz się z zewnątrz, jeżeli nie znasz kodu, który musi być dodatkowo potwierdzony. Skoro go znasz, jesteś swój. Mógłbyś wyjść na, zewnątrz, ale kto chciałby to zrobić? Planetoida nie była zbyt przyjaznym dla człowieka miejscem, więc, po co?

- Hej, Renus. Przyszedłeś dotrzymać mi towarzystwa?

Renus podszedł bliżej.

- Myślisz, że mógłbyś wygrać trochę forsy ode mnie? Nic z tego. Decker przysłał mnie, żebym cię zmienił. Pompy na Czwartym wskazują czerwony alarm w komorze zwrotnej. Ciekawe, kto jest jedynym wykwalifikowanym pompierem między nami?



- Pieprzysz - rzucił Patin. - Czerwony oznacza automatyczne wyłączenie. Nie było tam nikogo, kto zadzwoniłby po mnie przy żółtym?

- Nie pytaj mnie, Bobby. Ja nic nie wiem.

Patin odlepił się od ściany i przeszedł przez halę w stronę wbudowanej w ścianę płytki.

- Połączę się tylko z nadzorem i będę cały twój, koleś. W dzisiejszych czasach nigdy nie za dużo przezorności. Wartownik nie mógł zobaczyć, że Renus wyciągnął coś, co wyglądało na skarpetkę wypełnioną czymś ciężkim. - Przepraszam, Bobby - powiedział.

- Co...?

Renus spuścił skarpetę na głowę Patina. Rozległ się dźwięk przypominający uderzenie grubej liny w plastikową beczkę pełną płynnego mydła. Cienki strumyk szarości wytrysnął ze skarpety. Ołowiany śrut rozprysnął się dookoła, uderzając w lampy na suficie i obsypując nieprzytomnego już wartownika.

- Idziemy! - krzyknął Renus.

Peterson i Magruder podbiegli do niego. Każdy z nich trzymał w ręce karabin. Renus zabrał broń Patina. Ponieważ znali wewnętrzny kod zamka, włączył szybko otworem.

Kod zewnętrznego wjazdu stanowił problem. Kiedy Peterson zaczął próbować swych sił z komputerem, Magruder wyciągał próżniowe skafandry. Razem z Renusem zaczęli się szybko ubierać.

- Nic z tego - oznajmił Peterson. - Nie mogę złamać zabezpieczenia. Musimy stopić zamek. Właśnie uruchomiłem alarm.

Magruder, który miał już na głowie hełm, skinął głową i podszedł do drzwi. Wziął plazmowy przecinak skradziony z magazynu. - Ustawił go na pełną moc.

- Uwaga na oczy - ostrzegł kolegów.

Błysnął oślepiający strumień plazmy, zamieniając mroczne wnętrza luk w słoneczne południe na rozpalonej pustyni. Peterson zasłaniał oczy dopóki nie założył skafandra i hełmu z filtrem polaryzacyjnym.

Z zamkiem uwinęli się szybko. Zabezpieczenia miały chronić przed wejściem z zewnątrz. Od środka nie były żadną przeszkodą. Plazmowy płomień zjadał je prawie z taką szybkością, z jaką Magruder przesuwiał przecinak. Durastal stała się najpierw pomarańczowa, potem stopiła się i zaczęła kapać grubymi kroplami na podłogę.

- Jeszcze tylko kawałek!

- Wychodzimy! Szybko! Szybko!

Właz zaczął się otwierać, lecz nagle zatrzymał się. Częściowo stopiony metal zakrzepł w strumieniu uciekającego powietrza i unieruchomił klapę. Jednak szpara, która zdążyła się utworzyć, była wystarczająco szeroka, by mógł przez nią przecisnąć się człowiek. Trójka mężczyzn wygramoliła się w lodowatą ciemność i pobiegła w stronę zaparkowanych opodal pojazdów. Generatory grawitacyjne rozciągały swe pole na kilkaset metrów poza bazę, więc nie musieli obawiać się ulecenia w przestrzeń.

Dezertery załadowali się do pierwszego pelzacza, który napotkali. Po chwili wielokołowa maszyna potoczyła się w mrok i zniknęła.

***Spears odchylił się w tył w swoim fotelu i przyglądał się migoczącemu przed nim obrazowi holograficznemu. - Powtórzyć obraz z kamery 77, z godziny 6.30. Powietrze nad jego biurkiem zamigotało i pojawiła się trójka komandosów, siedzących w ubikacji..***

- Powiększyć obraz do jednej ósmej. Kontynuować. Ponownie przyglądał się, jak trzech mężczyzn zawiązuje spisek. Kiedy wyszli z kabiny, inna ukryta kamera przejęła śledzenie, nie tracąc ich z oczu nawet na sekundę.



Scenę z wartownikiem generał zaplanował sam. Postawiony tam żołnierz nigdy nie cieszył się jego sympatią. Gdyby ten sukinsyn wykonywał swoje obowiązki jak należy, nigdy nie wypuściłby tej trójki. Jest jednak właściwe miejsce dla takich gnojków jak ten wartownik. W wylegarni.

Spears z zainteresowaniem przyglądał się, jak uciekinierzy topią zamek zewnętrznego wjazdu. Działali jak zgrana grupa. Jak doskonale znający się zespół. Niedobrze, że swoje zdolności wykorzystują w ten sposób.

- Generale?

Spears spojrzął w stronę drzwi. - Wejść.

Wszedł Powell. Generał ruszył dłonią i projekcja zniknęła.

- Słucham.

- Wyciąg z archiwum jest już w komputerze. - Numer wejścia?

Powell powiedział.

Generał wystukał kilka znaków na klawiaturze. - Jak się nazywa ten komandos?

- Wilks.

- Nazwisko zostało wpisane.

Powietrze zadrgało i zbudziły się do życia zarówno obrazy jak i informacje. Z szybkością wytrawnego profesjonalisty Spears przeglądał dane.

- No, no. To pewne, że nasz komandos jest tym samym Wilksem?

- Identyfikacja została potwierdzona przy użyciu magnetycznego wszczepu. To on.

- Ten sierżant ma więcej doświadczenia z dzikimi obcymi niż ktokolwiek z wyjątkiem tej cywilnej baby, jak jej tam?

- Ripley, panie generale.

- Właśnie. Nikt nie wie, gdzie ona jest, ale za to mamy w naszej bazie sierżanta Wilksa: Co za szczęśliwy traf? Los się do nas uśmiechnął, co, Powell?

- Tak jest. Jeżeli przejrzy pan dane androida, szybko zauważy pan kolejną zbieżność.

- Powiedz mi o tym.

- Był żołnierzem Grupy Specjalnej przygotowanej do akcji na rodzinnej planecie obcych. Dowodził nimi pułkownik Stephens. Działo się to przed opanowaniem Ziemi przez obcych.

- Stephens. Pamiętam go z Kwatery Głównej. Papierkowicz. Nie potrafił znaleźć nawet swojego kutasa.

Pierwotna misja zdobycia przedstawiciela gatunku spełza na niczym. Dane o podróży są mocno niekompletne. Do czasu zanim ci, co przeżyli akcję, wrócili na Ziemię, ta była już podbita.

- A kobieta?

- Żadnych danych. Nie jest i nie była w Armii. Nie możemy prześledzić jej historii - Powell wzruszył ramionami. Wie pan doskonale, jak ci cywile nie dbali o przechowywanie danych. Nawet w czasie pokoju.

Spears skinął w zamyśleniu głową.

- Więc nasz sierżant i ten sztucznik mają za sobą walki z dzikimi obcymi. Są zbyt cenni, żeby przeznaczyć ich na przekąskę dla naszych pupilów. Przynajmniej do czasu, kiedy już wszystko z nich wyciągniemy.

- Tak właśnie myślałem, panie generale. - Utnijmy sobie z nimi małą pogawędkę. - Tak jest.

Billie poczuła zimny uchwyt na nogach. Metalowe obrączki zacisnęły się na jej kostkach i rozszerzyły siłą kolana. Spojrzała w dół i zobaczyła, że cała jest naga.



Coś wilgotnego i śliskiego upadło na jej goły brzuch. Czysty, płaski i z gładką skórą. Popatrzyła w górę, żeby wiedzieć, skąd ta wilgoć. Nic nie dostrzegła. Wokół niej rozciągał się obszar czegoś w rodzaju mgły. Kończył się zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy. Zasłona była szara i nieprzejrzysta.

"Pragnę cię" - dobiegł ją cichy głos.

Nie, to nie był głos. Słowa nie zostały wypowiedziane. Po prostu pojawiły się w jej myślach. To były słowa kochanka, lecz nie miały nic wspólnego z człowiekiem.

Mgła nagle odpłynęła na bok i przed jej twarzą błysnęły zęby. Białe, grube igły w masywnych czarnych szczękach, które sterczały z długiej, niemożliwie długiej głowy.

Billie jęknęła. Przepęłniał ją strach. Każda komórka ciała zawierała ziarenko przerażenia.

"Przechył się do tyłu."

- Niezdolna do sprzeciwienia się rozkazowi Billie wygięła w łuk szyję i zobaczyła tuż za sobą wielkie, krągłe jajo 0 rozmiarach kosza na śmieci. Wierzchołek jaja otworzył się, w dół pobiegła pajęczna siateczka pęknięć. Wyglądało to jak obsceniczny w swym wyglądzie kwiat, który rozkwita na przyspieszonym filmie.

Podobne do odnóży kraba kończyny wysunęły się ze środka, długie kościste palce z ostrymi pazurami badały zewnętrzny świat. Szukały czegoś.

Billie domyśliła się, że to jej poszukują.

- Otworzyła usta do krzyku i w tym momencie strumień śliny z paszczy stojącej nad nią bestii pociekł jej na policzek. Wpłynął pomiędzy wargi i do oczu. Billie próbowała przełknąć, ale było tego zbyt dużo.

"Pragnę cię - monstrum przekazywało jej swe myśli. - Nie obawiaj się. Będzie nam dobrze:"

- Nieceee!

Billie zbudziła się, krzycząc przeciągle.

- Spokojnie, Uspokój się- mówił do niej Wilks.

Siedział obok i trzymał ją za ramiona. Na podłodze obok, balansując na jednej ręce spoczywał Mitch. Drugą dłoń oparł o nogę dziewczyny.

Billie wypuściła ze świstem powietrze. Potrząsnęła głową. Nie było potrzeby niczego mówić. Wilks i tak wiedział. On także miał koszmary.

Popatrzyła na Buellera. Czy androidy mają sny?

- Hej, wy tam - rozległo się od drzwi. - Wstawać. Dwójka uzbrojonych komandosów stała wejściu do ich celi. - Generał chce was widzieć - poinformował jeden z nich. - Powiedz mu, że nasz terminarz na dziś jest już pełny odpowiedział Wilks.

Żołnierz wyszczerzył zęby.

- Nie do mnie taka gadka, komandosie - powiedział - sam mu to powiedz. Ruszajcie.

Machnął karabinem.

Wilks popatrzył na Billie i Mitcha i wzruszył ramionami. - Skoro tak nalega.

Cała trójka opuściła pokój. Billie pchała wózek, na którym jechał Mitch.

## 8.

Stół był z czarnego szkła, o ile Wilks dobrze zauważył. Zbyt kosztowny jak na oficerską mesę gdzieś w odległej bazie na nieznanym planetoidzie. Oczywiście, mógł być wykonany z miejscowego minerału, a nie przywieziony na statku z Ziemi. Jednak nawet w takim przypadku nie był czymś, czego można się było spodziewać na tym końcu świata. Krzesła wydawały się być bardzo proste, lecz ktoś dołożył wielu starań i umiejętności, żeby je wyścielić i ozdobić snycerskim ornamentem.



Po lewej stronie sierżanta siedziała Billie, po prawej Bueller. Ich trójka zajmowała jeden koniec stelu. Wzdłuż dłuższych jego boków mogłoby zasiąść dwunastu ludzi, ale wszystkie krzesła były puste. Po drugiej stronie siedział samotnie Spears. Taca z czymś, co wyglądało jak pieczone mięso, stała przed nim, a w powietrzu unosił się aromatyczny zapach. Długi nóż i widelec o dwóch ostrzach wbite były w pieczeń.

- To nie jest, oczywiście, prawdziwe mięso - przerwał ciszę generał.

Wyciągnął z mięsa sztucze i przesunął ostrze noża wzdłuż brzegu widelca.

- Mocno upakowane proteiny i soja. Nasz kucharz potrafi to jeszcze odpowiednio spreparować. Całkiem niezłe.

Spears siadł do stołu bez czapki. Głowę miał łysą jak jajo. Nie miał na niej ani jednego włosa z wyjątkiem brwi i bokobrodów. Przynajmniej tyle dostrzegł Wilks.

Generał wbił widelec w pieczeń i zaczął ją kroić na plastry.

Za jego plecami pojawił się ubrany w kuchenną biel służący. Gdy tylko generał skończył oddzielać pierwszą porcję, mężczyzna podstawił talerz. Ruch był perfekcyjnie wyliczony. Gdyby spóźnił się o pół sekundy, mięso upadłoby na szklany blat stołu. Spears nawet nie spojrzał, czy talerz jest podstawiony.

Zaczął odcinać kolejny płat. Drugi służący pojawił się w drzwiach i zdążył akurat na czas, by chwycić spadającą porcję na talerz.

Trzeci plaster i trzeci służący.

Wydawało się, że wszyscy tworzą doskonale wyćwiczony zespół, jak oddział żołnierzy podnoszący na komendę karabiny. Spears wiedział o tym.

Kiedy talerze dotarły do Wilksa, Billie i Buellera wraz ze szklaneczkami czerwonego płynu - czyżby wino? - generał ukroił wreszcie kawałek dla siebie.

Czwarty służący był o ułamek sekundy zbyt powolny. Zdołał chwycić na talerz jedynie połowę plastru pieczeni. Przez chwilę wyglądało na to, że porcja zsunie się z talerza i plaśnie o stół, ale mężczyzna w białym kitlu zdołał gwałtownym ruchem powstrzymać katastrofę. Pieczeń pozostawiła brudny ślad na brzegu białego plastiku, ale została na talerzu.

Generałowi drgnęły mięśnie zuchwy, potem ułożył twarz w nieszczery uśmiech.

- Spoczniej, żołnierze.

Czwórka służących zniknęła za drzwiami, zanim skończył mówić.

Wilks nie chciałby znaleźć się w skórze ostatniego z nich tego, który o mały włos nie upuścił porcji generała i spowodował, że oficer musiał spojrzeć na niego ze złością. W bazie wojskowej uważane to było za niebezpieczną zbrodnię. Generał podniósł szklanę.

- Za Korpus - powiedział.

"Co, u diabła" - pomyślał sierżant.

Podniósł własne szklane naczynie. Kątem oka zauważył, że Billie i Bueller zrobili to samo, lecz bez zbytniego entuzjazmu.

Wino nie było złe. Wilks nieraz pijał dużo gorsze. - Jedzcie - zachęcił generał.

Kucharz musiał być tutaj doskonały. Sierżant musiał to przyznać. Doskonale wypieczona wołowina była najlepszym daniem, jakie jadł kiedykolwiek. Właściwa miękkość, wspaniały smak. Gdyby Spears o tym nie powiedział, pomyślałby, że to prawdziwe mięso. Nie zauważyłby różnicy. Nie znaczyło to, że był świetnym znawcą. Z jego zarobkami nie było możliwe objadanie się prawdziwym mięsem. Ot, tu i ówdzie jakiś królik, rybka albo przy specjalnych okazjach kurczak. To było wszystko. Ostatnim razem podejrzewał, że je prawdziwą wołowinę na przyjęciu ze starymi kumplami parę lat temu. Biorąc pod uwagę dylatację czasu podczas jego ostatnich podróży, było to jeszcze dawniej.

Cokolwiek działo się w głowie Billie, nie przeszkadzało to temu, że dziewczyna wyraźnie delectowała się spożywanym daniem. A Bueller? Kto to mógł wiedzieć? Ten model



androida mógł jeść, nawet taki przecięty na pół osobnik jak Mitch mógł to robić. Zupełnie inną sprawą była kwestia smaku. Nie wiadomo było, czy androidy odczuwają go w ten sam sposób, co ludzie.

- Dobre jedzenie? - spytał generał mając wypełnione usta. Wilks skinął głową.

- Bardzo dobre.

Billie i Bueller także kiwnęli potwierdzająco i coś zamruczeli. Znaleźli się w dziwnym otoczeniu i postanowili uważać przy konwersacji, czegokolwiek by dotyczyła. Ze swej strony Wilks był przekonany, że facet siedzący po drugiej stronie stołu jest szaleńcem, który dorwał się do władzy. Nie było jednak sensu sprzeciwiać się mu, zanim nie dowiedzą się, o co w tym wszystkim chodzi.

- Musicie wybaczyć mi sposób, w jaki was tu powitałem odezwał się Spears. - Jest wojna i ostrożności nigdy za wiele. "O, Jezu - pomyślał Wilks. - Ten dupek czegoś od nas chce. To jasne. Tylko czego będzie oczekiwał?"

- Zwróciło moją uwagę, że posiadacie niebagatelne doświadczenie z dzikimi obcymi, sierżancie Wilks.

Sierżant przeżuwał chwilę w milczeniu. - Tak jest - powiedział w końcu.

Generał wepchnął wielki kawał pieczeni do ust i żuł go w zamyśleniu.

- Brałście udział w walkach w kilku różnych miejscach, prawda?

- To prawda, generale.

Oficer pokiwał głową. Oczy jakby mu nagle zajaśniały. - Dobrze. Wspaniale.

Popatrzył na Buellera.

- A ty komandosie? Swoje rany otrzymałeś w walce, czyż nie?

- Tak jest.

- Ci chłopcy są żołnierzami, komandosami. Wiem o nich wszystko. A ty, młoda damo?

Wilks zauważył, że Billie nie może wydobyć ani słowa.

- Panie generale - wtrącił się - Billie była na Rim, kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy się z obcymi. Tylko ona przeżyła. Generał uniósł swe grube brwi.

- Czy to prawda?

Billie z wysiłkiem skinęła głową.

- Przeżyła samotnie cały miesiąc, ukrywając się - dodał Wilks.

Brwi Spearsa ponownie powędrowały w górę.

- Naprawdę? Niesamowite. Ile lat wtedy miałaś, dziecko? - Dziesięć - wykrztusiła Billie.

Twarz generała skrzywił fałszywy uśmiech.

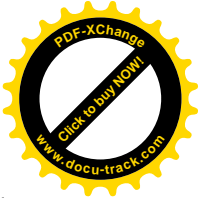
- Cudownie - przełknął następny kęs. - Podziwiam was wszystkich troje. Walczyliście przeciwko najpotężniejszemu przeciwnikowi, przeciwko najdoskonalszym żołnierzom, jakich kiedykolwiek spotkał człowiek. Są doskonali. Nieustraszeni, potężni, niemal nie do powstrzymania. To, że przeżyliście jest czymś niezwykłym. Szczęśliwym trafem, co nie zaprzecza waszemu bohaterstwu.

Odsunął talerz z prawie w połowie zjedzoną porcją. Służący wypadł z drzwi, zabrał talerz i napełnił winem pustą szklankę generała. Potem zniknął tak cicho i szybko, jak się pojawił. Spears odchylił się w tył w fotelu i powoli sączył trunk.

- Jedynym sposobem, by pokonać wroga tak potężnego jak ten, jest użycie równie potężnych sprzymierzeńców. Takich, którzy przeciwstawią dokładnie identyczną zaciekłość i umiejętność walki.

Billie nagle doznała olśnienia.

- Próbuje pan wyhodować tutaj oddziały obcych?



- Pod odpowiednim dowódcą moi żołnierze odzyskają Ziemię dla ludzkości - powiedział Spears. - Pomyślcie o tym. Czyż istnieje lepszy sposób? Dzikie potwory zachowują się jak mrówki. Z oddziałami o równej sile, ale zużyciem odpowiedniej strategii i taktyki nie damy tamtym najmniejszej szansy.

Billie zamierzała coś powiedzieć, lecz Wilks kopnął ją pod stołem. Nie otworzyła ust.

- Wspaniały pomysł, panie generale - pochwalił sierżant.

Generał kiwnął głową wyraźnie, zadowolony.

- Wiedziałem, że to zrozumiecie, sierżancie. Cała wasza trójka walczyła z obcymi. Wiecie, jak niewielkie szanse ma człowiek, a nawet specjalnie szkolony android przeciwko nim. Tu machnął szklanką w kierunku Buellera.

- W czym możemy panu pomóc? - spytał Wilks.

Billie popatrzyła na niego, jakby nagle utracił w jej oczach wszystko. Ponownie kopnął ją pod stołem, nie zmieniając wyrazu twarzy. '

Jeżeli Spears zauważył spojrzenie dziewczyny, to nic nie dał poznać po sobie.

- Wasze doświadczenie jest bezcenne, sierżancie. Mam stworzone w komputerach scenariusze walk oraz nagrania starć z Ziemi. Właściwie sama teoria. Wasza trójka tam była, znacie realia. Potrzebuję waszej rady, waszej wiedzy. Moje od= działy muszą być przygotowane najlepiej jak to tylko możliwe. Wtedy stworzę właściwą strategię.

- Z pewnością, panie generale - Wilks ułożył swą pokrytą bliznami twarz w rodzaj uśmiechu. - Bueller i ja jesteśmy mimo wszystko komandosami. Billie również chce. pomóc. Prawda, Billie?

- Prawda - skinęła głową.

Spears wprost promieniał. Podniósł szklankę z winem. - Wznieśmy, więc toast...

Zanim jednak zdążył cokolwiek więcej powiedzieć, wszedł major. Pojawił się w tych samych drzwiach, których wcześniej używali służący.

Generał zastygł w bezruchu. - Co jest, Powell?

- Przepraszam, generale, że przeszkadzam. Sprawa bezpieczeństwa. Wartownik przy Południowym Luku został pobity, a zamek zewnętrznego wjazdu stopiony. Zniknął jeden z terenowych pałaczy. Generał machnął ręką.

- Ach; to.

- Panie generale?

- To moja baza, majorze. Zrozum to wreszcie - popatrzył na Wilksa. - Musisz wiedzieć o wszystkim, skoro jesteś na szczycie. Kończcie, państwo, spokojnie posiłek. Możecie chodzić po całej Trzeciej Bazie, macie moje zezwolenie. Gdybyście mieli jakieś pytania, major Powell będzie czuł się szczęśliwy mogąc wam pomóc. Muszę niestety teraz iść i zobaczyć, co z tymi malkontentami, którzy niszczą własność armii.

Z tymi słowami Spears wstał, skłonił się po wojskowemu Billie i wyszedł z majorem Powellem.

Wilks patrzył w plecy generała. W tym momencie chciałby mieć w rękach karabin.

W korytarzu Spears odezwał się do majora:

- Pilnuj ich. Androida skieruj do działu napraw i dopilnuj, żeby dali mu, co tylko mogą.

- Tak jest. - Jeszcze ten wartownik z Południowego Luku. Wsadź go do komory z jajami.

Wszystko spieprzył.

Spears poczuł satysfakcję, widząc, jak Powell przełyka z wysiłkiem ślinę, słysząc rozkaz. Wszechświat stał się miejscem, gdzie tylko silny i okrutny może przeżyć. Sentymenty należały do innych czasów. Do przeszłości i do dni po jego zwycięstwie. Do niedalekiej już przyszłości. W międzyczasie trzeba podejmować ciężkie niejednokrotnie decyzje. A on, Spears, nadawał się do tego.





Billie stwierdziła, że cała się trzęsie. Nie była pewna, czy ma dreszcze ze strachu, czy ze złości. Wstała, ale Wilks był obok. Przygarnął ją i zanim zdołała cokolwiek zrobić, wyszeptał:

- Gramy razem, Billie. Uważaj. Mają tu pewnie kamerę i poza tym nagrywają każde słowo.

Rozluźniła się nieco. - Co ty mówisz?

- Jeżeli nie zrobimy, czego od nas oczekują, nakarmią nami potwory. Udawaj, graj.

Dotarło wreszcie do niej, o czym mówił Wilks, i nagła myśl zamieniła ją w sopel lodu. Przez chwilę nie mogła nawet oddychać.

Do jadalni wszedł szeregowiec i zaczął wyjeżdżać z Mitchem. Billie błyskawicznie wróciła do życia.

- Co robisz?

- Rozkaz majora, *psze* pani. Zabieram go do Rebabu. Po co? - Proszę mnie nie pytać. Robię tylko to, co mi kazano. - W porządku, Billie - odezwał się Mitch. - To tak jakbyś posłała swojego latacza do warsztatu.

Billie popatrzyła z wyrzutem na niego. Komandos wyjechał z Buellerem: Szybko zniknęli w korytarzu.

- Odpręż się - powiedział Wilks normalnym głosem. - Generał po prostu chce się przekonać, czy jego oddziały mają właściwą opiekę. Nie widziałem urzędzeń, jakie tu zgromadzili, ale myślę, że potrafią coś zrobić z dolną częścią Mitcha. On sam też potrafi zadbać o siebie.

Billie nie potrafiła skupić myśli. To wszystko przypominało jej jakiś pieprzony, nierealny obłąd.

- Chodźmy, rozejrzymy się trochę. Możemy przecież zapoznać się z nowym domem, nie?

Billie kiwnęła głową. Im więcej będą wiedzieli o tym ponurym miejscu, tym lepiej.

- Tak - powiedziała. - To dobry pomysł.

## 9.

Minęło wiele dni. Wilks i Billie ciągle badali bazę. Przypominała tuzin innych, w których sierżant przebywał w przeszłości i była standardowo wyposażona w sprzęt najniższej jakości, tak tani, jak to tylko możliwe. Jediną rzeczą, która go tutaj uderzyła, byli ludzie, a właściwie ich liczba. Wydawało się, że jest zbyt mała jak na bazę tej wielkości. Zwykle wojsko miało za dużo żołnierzy do pracy. Oficerowie lubili mieć pod swoją komendą jak największe oddziały. Ciepłe ciała znaczyły więcej niż zimna skała. Biorąc pod uwagę wielkość miejsca, w którym przebywali, powinno być tutaj, co najmniej kilkuset ludzi więcej.

Jak na razie Wilks i Billie ciągle męczyci się nad sposobem dotarcia do miejsc nie tak łatwych do znalezienia.

- Co tam jest? - spytał sierżant wartowników stojących przy wielkich podwójnych drzwiach.

Dwójka żołnierzy, mężczyzna i kobieta, miała broń w kaburach przy boku, ale wydawało się, że nie myślą nawet o jej użyciu. Prawie dwumetrowego wzrostu mężczyzna uśmiechnął się do Wilksa i Billie.

- Generał dał nam pozwolenie poruszania się po całej bazie - powiedział sierżant. - Zechcecie otworzyć te drzwi?



Teraz kobieta wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu. - Nie będziecie chcieli tam wejść. Pokaż im, Atkins. Wysoki wartownik dotknął przycisku w ścianie.

Hillie sapnęła.

- O, kurwa pieprzona - powiedział Wilks:

- Do diabła, ona nawet nie musi tego robić - odezwała się kobieta. - Zapładnia siebie sama.

Obraz pulsował na ścianie. Królowa obcych siedziała w centrum ogromnej sali, jej monstualny odwłok wyrastał z tyłu jej ciała jak jakieś nieprzyzwoite, półprzezroczyste jelito. Opleciony zabezpieczeniami umocowanymi do ścian i sufitu był pełen jaj. W czasie, gdy patrzyli na nią, królowa złożyła następne do kolekcji innych zaścielających podłogę. Para robotnic stała obok i natychmiast delikatnie przeniosła nowe jajo na bok, a królowa zaczęła składać następne.

- Ciągłe chcecie, żebyśmy otworzyli drzwi? - Po co tu stoicie na warcie? - zapytał Wilks. - Taki obowiązek - odpowiedziała kobieta.

Wartownik przycisnął guzik i holograficzna projekcja zniknęła. Na jej miejsce pojawiła się nowa.

Przy ścianie naprzeciw jaj stało dziesięcioro ludzi spowitych w mocne sieci. Bawełniany materiał skrywał ich prawie całkowicie, pozostawiając jedynie gołe twarze. Niektórzy z nich byli przytomni, oczy mieli szeroko rozwarte. Nie wiadomo, czy byli już zainfekowani, czy jeszcze czekali na horror, który miał nadejść?

- Wyłączcie to - warknęła dziewczyna.

Kiedy Wilks i Billie odchodzili, wysoki wartownik rzucił za nimi z rozbawieniem:

- Miłego dnia, ludkowie.

Jasne było, że zarówno on, jak i jego koleżanka, nie stoją tam, by przeszkodzić komuś w wejściu do środka.

Stali tam, żeby nikt nie wydostał się na zewnątrz.

Spears przyglądał się sierżantowi i kobiecie, gdy odchodzili od projekcji pokazującej komorę z jajami. Byli słabi. Większość ludzi jest taka. Ale mimo to może ich użyć. To było ważne dla niego

Popatrzył na zegarek.

- No, myszy prawie gotowe. Pora na kota, żeby się obudził.

Dotknął przycisku na klawiaturze.

- Tu Spears. Potrzebuję Pierwszego plutonu z Kompanii A. Mają być gotowi do akcji. Pełne wyposażenie bojowe, połowe racje żywności. Będę przy Luku Południowym za dwieście minut. Lepiej dla was, żebym nie czekał, żołnierze.

Wilks wszedł pod prysznic. Przynajmniej wody w bazie nie brakowało. Pompowana była z jakichś podziemnych grot.

Samotna Billie włóczyła się po mrocznych, wąskich korytarzach. Czowała się, jakby bez przerwy ktoś ją obserwował. Myślała, że oszaleje. Mając za sobą lata w szpitalu psychiatrycznym, gdzie wszyscy sądzili, że ma halucynacje, posiadała pewną wiedzę o szaleństwie. Tak właśnie działo się tutaj. Spears powinien się znaleźć w silikonowym pokoju bez klamek, związany po czubek głowy i skazany na pełną psychiczną renowację. Co to byli za ludzie w komorze królowej? Co zrobili, że taki los ich spotkał? Żadna zbrodnia nie może być tak okropna, żeby skazywać człowieka na taką karę. Spears jest kopnięty i powinien być usunięty. Zamiast tego dowodzi żołnierzami i ma prywatną wylegarnię pełną najbardziej śmiercionośnych potworów, z jakimi zetknął się człowiek. Co za Bóg pozwolił na taki rodzaj oszołomienia? A może to bóstwo samo było kopnięte.

Podeszła do drzwi z napisem "Łączność". Otworzyły się, kiedy się do nich zbliżyła.

Techniczka siedziała przed rzędem monitorów. Obejrzała się, dostrzegła Billie.



- Słyszałam o was - powiedziała. - Wchodź. Wiem, że masz pozwolenie tu przebywać.

Billie zamyślona popatrzyła na kobietę. Dlaczegoż by nie? Drzwi zamknęły się za nią cicho.

Wilks splukał z ciała żel i rozkoszował się spływającą mu po skórze gorącą wodą. Siedzieli tu po uszy w gównie, nie było co do tego wątpliwości. Musi się z tym pogodzić. Spodziewał się, że na planecie obcych będzie wachał kwiatki od spodu. Do licha, żył na kredyt od pierwszego spotkania z tymi potworami na Rim. To już tyle lat. Powinien był wtedy zginąć z całym swoim oddziałem. To, że przeżył, graniczyło z cudem. Lata, które upłynęły od tamtych wydarzeń, były wypełnione nocnymi zmorami i wcale nie były przyjemne. Przez cały czas był przygotowany na Wielki Skok i niech go diabli wezmą, jeżeli dbał o to. Przeciwnie, równo to olewał. Wysadził w powietrze planetę obcych i nie wystarczyło. On sam był, z niewiadomych przyczyn, ciągle żywy. Nie miało to żadnego sensu. Nigdy nie był religijnym człowiekiem, lecz wyglądało na to, że został stworzony do wypełnienia jakiejś wielkiej misji. Gdyby popatrzeć z boku, to nie był przecież szczęściarzem. Poza tym był zmęczony, chciałby rzucić to wszystko, ale nie potrafił. Czuł się tak, jakby był odpowiedzialny za ten błahy problem: za rozprzestrzenianie się obcych, za potwory, które prawie całkowicie zniszczyły ludzką rasę.

To nie było w porządku. Nikt nie może wymagać od jednej biednej głowy komandosa, żeby podołała takiemu zadaniu. Lecz kiedy przybił swe wątpliwości do ściany logiki, poczuł, że istnieje tylko jedna droga: musi uratować ludzkość.

Do cholery! Nawet nie potrafił zbyt dobrze pływać, a co tu mówić o chodzeniu po wodzie...

Stary człowiek miał siwą brodę, a jego lewe ramię spowijały niechlujnie zawinięte bandaż. Ciemną, lepłą się od brudu baseballową czapkę zsunął w tył głowy. Miał ze sobą antyczną strzelbę, która leżała obok. Ten kawałek oksydowanej stali i drewna wyglądał na myśliwską broń sprzed setek lat, z czasów, kiedy ludzie polowali dla sportu, a nie by przeżyć. Mężczyzna siedział ze skrzyżowanymi nogami oparty plecami o stos połamanych mebli i potrzaskanych resztek jakiejś budowli. Przed nim płonęło małe ognisko, a blask jego płomieni tworzył na twarzy starca ruchome malowidło o różnych odcieniach czerwieni.

Sześćioletnia z wyglądu dziewczynka opierała się o bok starego mężczyzny. Twarzyczkę miała brudną, włosy tłuste. - Nadlatują - powiedział starzec.

Wyjął z kieszeni buteleczkę i sychnął w ognisko jakiegoś proszku. Ogień buchnął silniej zielononiebieskim płomieniem. - Mam nadzieję, że te skurwysyny mają włączone osłaniacze.

Nad ich głowami, w ciemnościach nocy pojawiły się ruchome światełka wojskowych myśliwców - czerwone i zielone punkciki na tle smogu, który w większości był dymem. Siedzących przy ognisku doszedł huk silników.

- Zobaczą nas, Wujku? - spytała dziewczynka.

- Mam nadzieję, kochanie. Powinni - pokazał znacząco na niebieski w tym momencie ogień.

Smukła sylwetka rakiety oderwała się od jednego z myśliwców, potem inne przecięły powietrze. Jak meteory przemknęły i zniknęły błyskawicznie, tylko jasne błyski wybuchów i sztuczne gromy świadczyły o ich niedawnym istnieniu.

- Pieprzone półgłówki - mruknął starzec.

Dziecko zakryło rączkami uszy, gdy rozległy się pierwsze eksplozje. Fala uderzeniowa przytłumiła ogień z taką łatwością, jak człowiek zdmuchuje świecę.

W kręgu światła pojawiła się kobieta. Wyglądała na jakieś pięćdziesiąt lat. Jej ubranie było brudne i pobrudzone popiołem. Na ramieniu niosła pneumatyczny karabin.

Podeszła szybkim krokiem do dziewczynki. - Hej, Amy. Co u ciebie?

Dziewczynka podniosła w górę oczy.



- W porządku, mamusiu. Znalazłaś coś do jedzenia?

- Tym razem nie, maleńka. Może Leroy znalazł. Powinien być tu niebawem. O, do diabła!

Te ostatnie słowa odnosiły się do głośnego wybuchu i błysku jasnego światła. Pył i małe kawałki okruchów skalnych przeleciały nad głowami trójki przy ognisku. Ogień ponownie zachwiał się od podmuchu.

- Co oni sobie myślą? - spytała kobieta. - W taki sposób nie trafią z pewnością żadnego potwora.

- Pieprzone półgłówki - powtórzył stary człowiek i rozejrzał się dookoła. - Lepiej chodźmy stąd, Mona. Obcy pewnie zaczną porządki, kiedy tamci stąd odlecą.

- Co z Leroyem? - spytała dziewczynka.

- Nie martw się o niego, dziecko. Spotka się z nami przy zbiorniku. Wie, że nie możemy tu zostać.

Starzec popatrzył poprzez ogień, jakby zwracał się do niewidzialnego obserwatora.

- To by było na dzisiaj tyle. Spotkamy się jutro, o tej samej porze, na tym samym kanale w kolejnym odcinku serialu "Życie na gruzach Ziemi". Pojawimy się o 19.00, chyba że zjedzą nas bestie. Lato się kończy i wcześniej robi się ciemno. Do zobaczenia...

Wyciągnął przed siebie starodawnego pilota na podczerwień i cała trójka zniknęła...

Billie zacisnęła dłoń na plastikowym oparciu fotela. Raptem stwierdziła, że mimowolnie wstrzymała też oddech, gdy obraz zniknął z ekranu monitora. Z trudem doszła po chwili do siebie. Westchnęła głęboko.

- Zjawiają się regularnie - odezwała się techniczka. - Amy, Mona, Wujaszek Burt. Czasem Leroy - ten jest Chińczykiem. Tak nam się przynajmniej wydaje. Dzieciak wygląda na sześć lat. Uważamy, że jej matka dobiega trzydziestki, jak świadczą niektóre ich rozmowy. Stary ma gdzieś koło siedemdziesiątki i prawdopodobnie nie jest z rodziny, chociaż dziecko mówi do niego Wujku.

- Boże! - westchnęła Billie.

- Nie mam pojęcia, dlaczego nadają. Raczej nie po to, żeby ktoś tam poleciał i uratował ich.

Billie pokręciła głową w zadumie.

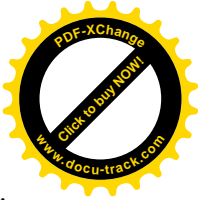
- Może to wszystko, co im pozostało. Ważne, że próbują. Tacy są ludzie.

Techniczka wzruszyła ramionami i przywołała kolejny obraz.

- Albo robili. Lokalizacja tej bazy jest utajniona, ale mogę ci powiedzieć, że to, co przed chwilą widziałyśmy, to historia. Nawet biorąc pod uwagę podróż w uśpieniu po hiperciąciu, jesteśmy bardzo daleko od Ziemi. Mała dziewczynka byłaby teraz całe lata starsza. Jest starsza albo dawno zjedzona. To był taki list w butelce wyłowiony z oceanu próżni.

Billie skurczyła się w sobie. Wiedziała, co musiała czuć ta mała dziewczynka.

Istnieje coś takiego jak dobre samopoczucie po kąpieli. Kiedy ocierasz się o śmierć tak często, jak sierżant Wilks zwykł czynić, drobiazg w postaci szalonego generała nie ma dla ciebie znaczenia. Wilks miał do śmierci stosunek podobny jak mistrzowie śmiertelnej sztuki walki Zen - nie przerażała go. Żyjesz albo umierasz, kiedy nadejdzie twoja kolej. Wiele razy już myślał, że to jego karta jest na wierzchu talii, ale kostucha ciągle ciągnęła od spodu. Pieprzyć to. Gorący prysznic i czyste ubranie były teraz najważniejsze. Nic nie dało się z nimi porównać. Za sekundę ziemia mogła się rozstąpić i połknąć cię albo kometa mogła spaść na tę cholerną bazę, jeden z obcych mógł też zrobić hop z za węgła i wyjść ci twarz, lecz to wszystko wisiało gdzieś w niepewnej, zasnutej mgłą przyszłości. W terażniejszości



natomiast, Wilks czuł się świetnie. Cholernie dobrze. W tej jednej sekundzie wybranej z rzeki czasu.

Statek, którym tu przyleciał, nie wzbudzał w nim szczególnego uwielbienia, lecz włócząc się bezmyślnie po bazie, Wilks stwierdził, że idzie w jego kierunku. Pojazd został już rozładowany; a teraz potrzebował jeszcze paliwa i być może jakichś napraw, by być ponownie gotowym do startu. Umieszczono go w jednym z ogromnych magazynów, w ciemnej, zimnej hali, której oświetlenie i ogrzanie byłoby czystym marnotrawstwem energii.

Kroki sierżanta rozległy się głośnym echem, kiedy szedł przez pusty magazyn w kierunku Amerykanina. Klapa luku towarowego ciągle była otwarta, a światła wewnątrz statku zostały wyłączone. Wilks wszedł po pochylni i nacisnął przycisk włączający oświetlenie. W środku było odrobinę cieplej.. To system grzewczy i silniki ciągle oddawały resztki ciepła. Wszedł głębiej i znalazł pustą skrzynię. Usiadł. Otoczenie było tu niezwykle spokojne, a jedynym dźwiękiem był cichy szum obwodów zasilania. Po kilku sekundach sierżant usłyszał dźwięk, którego oczekiwał: kroki na zewnątrz statku.

Zbliżał się ktoś, kto go śledził.

Wilks napreżył mięśnie i pochylił ramiona w oczekiwaniu.

Był gotowy do ruchu, jeżeli zajdzie jego potrzeba. Kroki zbliżały się.

Billie poszła w stronę działu medycznego. Chciała zobaczyć, co robią z Mitchem. Może jej na to pozwolą.

Po drugiej stronie drzwi, które wyglądały na skrzyżowanie drzwi do poczekalni z lukiem statku kosmicznego, siedział niski tusty mężczyzna w laboratoryjnym kitlu, wyglądający na malowidło. Dziewczyna dotknęła plastikowej ściany. Okazała się bardzo zimna. Dobiegł ją zniekształcony elektroniką głos mężczyzny:

- Ten obszar jest Czysty - powiedział. - Jeżeli chcesz wejść, musisz być najpierw odwszona.

- Odwszona?

- Chemicznie i elektrycznie oczyszczona z wszelkiej zewnętrznej i wewnętrznej flory i fauny - wskazał na poziomy cylinder o rozmiarach trumny. - Nie mogą się tu przedostać żadne bakterie. Potem twoje ubranie zostanie jeszcze spryskane.

Wyciągnął jedną grubą nogę i dotknął materiału spodni.

- Osmotyczne. Pozwalają skórze oddychać, ale wszystko inne nie potraci przez to przejść. Łącznie z potem.

To wyjaśniało, dlaczego w pokoju jest tak zimno. - Trochę to wszystko kłopotliwe - powiedziała.

- Przepisy. Nie może tu się dostać żaden dziki lokator. Nawet mimo używania promieni UV nigdy nie jesteśmy pewni. Jeżeli chcesz tylko zaspokoić swoją nieposkromioną ciekawość, lepiej obejrzyj sobie projekcję holograficzną. Zaoszczędzisz sobie trochę czasu B.

- Czasu B? - zdziwiła się.

- Jak bidet. Gdy wszystkie twoje wewnętrzne bakterie się usmażą, ciekawe rzeczy zaczną się dziać z twoimi kiszkaami.

Po pierwszym odwszeniu będziesz miała po prostu tygodniową sraczkę. Nie będziesz się mogła nigdzie ruszyć, będziesz cały czas siedzieć na klozecie.

-Aha. Szukam tu Sztucznej Osoby, która przybyła do bazy razem z nami.

- A, tego droida? Jest w laboratorium mechanicznym. Dopasowują mu urządzenia do chodzenia. To nie potrwa już zbyt długo. Mogę połączyć cię przez komunikator.

Billie zastanowiła się przez chwilę.

- Nie. W porządku. Porozmawiam z nim później.



- Nie ma sprawy. Będiesz czegoś potrzebować, poproś. Jestem tu po to, żeby ci pomóc. Żadnej pomyłki nie będzie. Billie odwróciła się i odeszła. Myślała o ostatnich słowach tłuściocha.

To był dla niej kolejny długi dzień. Czowała się zmęczona. Wszystko, czego teraz pragnęła, to położyć się i zasnąć. Nie, tylko nie sen. Nie koszmar, w którym obcy wdzierają się w jej uśpiony umysł i wywołują w nim przerażające obrazy.

Myślała kiedyś, że szpital jest okropnym miejscem. Przerażała ją planowana operacja na jej mózgu - chemiczna lobotomia, na którą zdecydowali się lekarze.

Biorąc pod uwagę to, co wydarzyło się od dnia ucieczki ze szpitala, pozbawienie jej części mózgu nie wydawało się już takie złe.

## 10.

Wilks dostrzegł mężczyznę wchodzącego do luku towarowego, ale nie rozpoznał go - światła hangaru były słabe, a lampy statku również nie świeciły jaśniej. Przybysz rozejrzał się wokoło.

- Tutaj - odezwał się sierżant.

Mężczyzna zastygł w bezruchu, potem sięgnął dłonią do biodra, oparł ją na kaburze i ponownie znieruchomiał.

- Tak myślałem, że to możesz być ty - powiedział Wilks. Przed nim stał Powell.

- Co tu...? - zaczął.

Major zamachał gwałtownie ręką, uciszając go w ten sposób. Komandos zamilkł. Przyglądał się, jak oficer wyciąga jakiś elektroniczny przyrząd i wciska guzik. Zielone znaczkę pojawiły się na wyświetlaczu instrumentu.

- W porządku. Czysto.

- Ściany mają uszy? - spytał Wilks.

- A sufit oczy. Tak jest wszędzie w bazie. To miejsce jest wyjątkiem. Za parę dni i ten statek będzie zapluskwiony.

- Spears. - To paranoik. Jest tak szalony, jak pajak na gorącej płycie. - Wyobrażam to sobie.

- Żyje swoim pomysłem odzyskania Ziemi i pragnie zostać bohaterem tysiąclecia. Myśli, że każdy musi mu służyć. Podejrzewa, że ktoś dodaje mu trucizny do jedzenia i każe próbować wszystkie potrawy służącym. Wszędzie węszy spiski przeciw sobie. W normalnych czasach badacze pokretności ludzkiego umysłu pisaliby o nim książki.

- Normalne czasy - sarkastycznie zauważył Wilks - będą musiały chwilę poczekać.

Powell skinął głową. - To prawda.

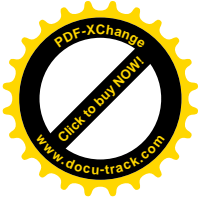
Major westchnął. Wydawało się, że toczy jakąś wewnętrzną walkę.

-Może istnienie człowieka jako gatunku nie ma sensu. Może ludzkości potrzebny jest psychopatyczny morderca, żeby pokonał obcych.

Kolejny raz potrząsnął głową.

- Sam w to nie wierzysz, majorze - powiedział sierżant. - Nie. To byłby krok wstecz, powrót do jaskiń. Jesteśmy... jesteśmy ponad to. Mamy rozwiniętą cywilizację, jesteśmy... żyjemy wśród gwiazd. Nie możemy zawrócić.

- Nie bronię Spearsa, ale sądzę, że rozmowy nie mają większego wpływu na potwory.



- Rozumiem to. Lecz królowe są inteligentne. Można się z nimi porozumiewać. Robimy to tutaj !. Nasza królowa współpracuje, bądź, co bądź. Obcy chcą, w gruncie rzeczy tego, co my - przeżyć.

- Jeżeli oczekujesz na coś w rodzaju Braterstwa Życia, to tracisz swój cenny czas. Widziałem moich przyjaciół zaszlachtowanych przez te bestie. Byłem na Ziemi tuż przed tym, jak ludzie woleli zginąć od wybuchu jądrowego, niż być zjedzonym przez potwory.

- Wiem, wiem. Nie powiedziałem, że powinniśmy wziąć w objęcia obcych i oczekiwać, że będą się do nas uśmiechać. Życie w jednym świecie z nimi jest mało prawdopodobne: Zbyt przypominają gatunek ludzki sprzed milionów lat. Są za bardzo egocentryczni, żeby myśleć o innych gatunkach jako podobnych sobie. Nie, nie sugeruję niczego. Ale jesteśmy przecież inteligentni, cywilizowani. Wojna jest głupotą, zniszczenie, anihilacja innego gatunku, barbarzyństwem.

- Zabawnie słyszeć takie słowa wychodzące z ust Koman Bosa Kolonialnego.

- Nie wszyscy żołnierze są zabójcami. I nie każdy oficer jest automatycznie infantylnym głupkiem.

- Nie oszukasz mnie.

Wyszczerzył zęby. Powell był kimś posiadającym sumienie i niewątpliwie chciał czegoś dokonać. Wilks nie był pewien czego, ale czuł, że szybko się to wyjaśni.

- Nie wysadzili się całkowicie. Wiesz o tym, prawda? . - Co?

- Na Ziemi. Nic takiego się nie stało. Żadnego totalnego atomowego zniszczenia. Nic więcej tylko taktyczne, niewielkie eksplozje, jeśli wierzyć przekazom stamtąd.

- Prawdopodobnie stało się tak tylko, dlatego, że twoi przyjaciele nastawieni obcy zjedli tego, który miał nacisnąć guzik.

Wzruszenie ramion.

- No dobra, o co chodzi, majorze? Dlaczego mi mówisz o tym wszystkim i narażasz własną dupę?

Powell kiwnął głowę i głęboko wciągnął powietrze.

Rośliny nie mogły wyprodukować na tyle grubej warstwy azotowo-tlenowej atmosfery, która pozwalałaby ludziom oddychać swobodnie, jeżeli tylko poruszały się gdzie indziej niż po dnie głębokich kraterów. To prawda, że planetoida była wystarczająco duża by utrzymać niektóre gazy przy powierzchni, ale termin, „ziemiopodobna” był grubo przesadzony. Chyba, że ktoś uważałby ludzi za krety albo pieski periowe.

Stało się jednak inaczej. Cywilną kolonię założono z powodu dużej liczby podziemnych jaskiń, które mogły zostać hermetycznie zamknięte i wypełnione powietrzem. Używano ich jako schronów oraz do produkcji żywności. Natychmiast, gdy mały światek stał się samowystarczalny, pojawiły się możliwości jego wykorzystania: baza wojskowa, kopalnie, więzienie bez możliwości ucieczki. To był koniec podobieństwa do ziemskich warunków. To, co wyprodukowały rośliny, było zabezpieczane pod powierzchnią gruntu.

Skradziony pełzacz zbliżywszy się do fabryki, zwolnił. Potem zatrzymał się. Wewnątrz, w małej kabinie siedziała trójka dezertersów. Od czterech dni się nie myli i skończyła im się żywność.

- Udało się - powiedział Renus.

- Taka Jak na razie - dodał Magruder.

Kierujący w tym momencie pełzaczem Peterson poruszył wargami, ale nie odezwał się.

- Radio ciągle milczy za wyjątkiem sygnałów naprowadzających z Trzeciej Bazy - odezwał się Renus.

- Spears mógł nakazać ciszę radiową. Nie będzie słyhać nawet pierdnięcia.



- Właśnie - tym razem Peterson otworzył usta - ale powinniśmy złapać choćby Dopplera albo coś w tym rodzaju. - To nie jest miejsce, gdzie ludzie przychodzą na piknik, no nie, kurzy mózdzku? Wszystko tu jest pod ziemią.

Peterson popatrzył na Renusa. Wyglądał tak, jakby miał zamiar wstać i walnąć kolegę w szczękę..

- Skończcie to - powiedział Magruder. - Zrobiliśmy to. Udało się i to jest najważniejsze. Spears nawet nie spojrzął w tę stronę. Nie widzieliśmy żadnych patrolowców. Jesteśmy wolni.

- Poczuję się lepiej, gdy już znajdę się w środku. - Peterson był wyraźnie niespokojny.

- Więc na co czekamy? - spytał Renus. - Ruszajmy. Pełzacz powoli ruszył.

W łuku Amerykanina rozległ się głos Powella:

- Faszeruje badane obiekty wszelkimi rodzajami chemikaliów, a naukowcy sprawdzają ich wpływ na obcych. Nikt nie wie, co i jak na nie działa. Wewnętrzny metabolizm potworów jest zaskakujący.

Wilks odruchowo dotknął blizn na swej twarzy. Spozrzegł, co robi, i opuścił rękę.

- Tak. Zauważyłem. Krew w postaci kwasu prawdopodobnie jest ich podstawowym rozpuszczalnikiem.

- Zrobiliśmy kilka podstawowych testów z królową. Nie przejmuje się zbyt losem swoich podwładnych. Zabiliśmy kilka, a ona nie okazała najmniejszego zdenerwowania czy wrogości. Ale kiedy chcieliśmy uszkodzić lub zniszczyć jakieś jajo, była bardzo poruszona.

- Tańcz, jak ci zagramy, albo zgładzimy twoje dziecko?

- Coś w tym rodzaju. Wydaje się, że to działa. A królowa kontroluje resztę. Nie całkiem wiemy, w jaki sposób jakiś rodzaj transmisji telepatycznej albo radiowej na ekstremalnie niskich częstotliwościach. Wsadziliśmy... eee... wprowadziliśmy pojedynczego człowieka do komory pełnej obcych i daliśmy mu jajo oraz miotacz ognia. Królowa patrzyła na to i żaden potwór nie dotknął człowieka.

- Rany.. ale z was zimnokrwiste skurwysyny!

- To nie mój pomysł, Wilks. Całą zabawą kieruje tu Spears. - Czemu ktoś nie wpakuje mu kuli w czaszkę? A może lepiej byłoby wrzucić mu granat do bidetu?

- Ma swoich zaufanych ludzi. I tak, jak powiedziałem, jest cholernie ostrożny.

Wilks pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Ufa ci?

- Nie całkiem.

- Ale mógłbyś go usunąć. Wtedy byś tu dowodził. - Nie jestem zabójcą, mówiłem ci.

- Tak. Mów dalej. Powell zaczął opowiadać.

Billie siedziała w pokoju, który dla niej przygotowano w klitce wielkości ubikacji. Miejsca starczyło jedynie na łóżko, krzesło, prysznic i toaletę. Właśnie skończyła sprzątanie. Nie chciała spać, ale czuła się tak zmęczona, że z pewnością szybko uśnie. Jeden z lekarzy, z którym rozmawiała, dał jej tabletkę i powiedział, że powinna ją zażyć. Miała uwolnić ją od koszmarów. W całej bazie tylko ona je miała.

Patrzyła na swe odbicie w lustrze, dziwiąc się, kim jest ta chuda, z podkrążonymi oczami kobieta.

- Billie? Odwróciła się. Mitch.

Zreperowali go, ale, w jaki sposób. Górna część ciała utrzymywała się na podwójnej ramie metalowych nóg przypiętych do korpusu uprzęży pasków biegnących przez ramiona i wokół talii. Platforma zaczynała się tam, gdzie kończyło ciało, i dalej przechodziła w parę hydraulicznych teleskopów z nierdzewnej stali i twardego plastiku. Zakończone były





owalnymi podstawami w niczym nie przypominającymi ludzkich stóp. Nie postarano się także o proporcje - Bueller był osiemnaście lub dwadzieścia centymetrów niższy niż wtedy, gdy miał swe ciało w całości. Wskutek tego dłonie sięgały metalowych kolan. Pierwszym wrażeniem Billie była myśl, że widzi człowieka, którego dolną część odarto z ciała i pozostał tylko metalowy szkielet.

- Cóż - powiedział Mitch. - Jak myślisz, czy to ja?

Żart wypadł płasko i złamał jej serce. Lecz to było właśnie to, co prawdopodobnie chciał zrobić. Przyjęła wymianę ciosów.

- Myślę, że sprzedali ci wersję demonstracyjną. Powinieneś poczekać do przyszłego roku na nowy model.

Zapadła cisza.

W końcu Bueller przerwał milczenie.

- Nie mają tutaj odpowiednich urządzeń. Zrobili i tak najlepiej, jak tylko mogli.

Znowu upłynęła długa chwila.

- U ciebie wszystko w porządku?

- Skoro o to pytasz, to nie. Mój świat jest w ruinie, moja miłość jest głównie warta, ja sama jestem uwięziona w wojskowej bazie z facetem, który uważa, że potrafi hodować obcych jak domowe bydło. Galaktyka zmierza ku zagładzie. A może ty nic nie zauważyłeś, Mitch?

Odwróciła się:

- Billie. Przykro mi.

- Dlaczego. Nic tu nie zawiniłeś z wyjątkiem tego, co dotyczy miłości. W porównaniu z kosmicznym wymiarem innych wydarzeń nie mato najmniejszego znaczenia. Zapomnij o tym.

- Billie...

- Co, Mitch? - odwróciła się gwałtownie i spojrzała mu w oczy. - Co zamierzasz z tym zrobić? Czy technicy schowali w swoim metalowym urządzeniu jakiegoś małego, miłutkiego kutasika? Napompuj go, a będzie ci sterczał całą noc, co?

Bueller zamrugał oczami. Podniósł rękę jak w obronnym geście, ale szybko ją opuścił. Potrząsnął głową. Potem odwrócił się i wyszedł. Cichy szum jego nowego napędu ścichł i słychać było tylko odgłosy kroków. Szybko umilkły i one.

Billie westchnęła ciężko. O, ludzie. Stapała po cienkiej linie. Chciała go zranić i udało jej się. nauczono go, jak walczyć z uczuciami, i teraz prawdopodobnie czuje się złamany. Walczyła nieuczciwie, skacząc mu do gardła. Jak mogła to zrobić?

"Jak? - dobiegł ją cichy głos z głębi duszy. - Jak mógł kochać się z tobą, pozwolić ci na uczucie do siebie i nie powiedzieć ci, że jest androidem?"

Czy mogły być jakieś wątpliwości, czyj grzech jest większy?

Billie łyknęła na sucho tabletkę, którą dał jej lekarz, i padła na łóżko. Podłożyła małą twardą poduszkę pod głowę. Życie jest tak nieuczciwe.

Cóż to była za oryginalna myśl.

Gdy pełzacz zatrzymał się, trójka komandosów wyszła do wnętrza przedsionka wytwórni powietrza. Zamki były tu kodowane, ale jeden z cywilów zapisał im właściwe cyfry..

- Na Boga, jaki pęczek kluczy - odezwał się Renus.

- Nie wygląda na to, żebyśmy mieli tutaj jakieś towarzystwo, nie? - rzucił pytanie Magruder. Pracowicie wprowadzał kod.

Wewnętrzny zamek otworzył się i weszli do środka. Drzwi natychmiast zamknęły się za nimi. Zdjęli hełmy.



Mogą nie przyjąć zbyt dobrze gości wymachujących karabinami - zauważył Peterson.

- To prawda. Ale będę się czuł pewniej trzymając swój przy sobie.

Machnął karabinem. Uzbrojony komandos wart był tyle, co trzydziestu nieuzbrojonych cywilów.

- Jeżeli dadzą nam jakieś działko, przechodzimy do planu B - do promu kosmicznego.

- Czy on naprawdę może nas zabrać, dokąd będziemy chcieli?

- Przywiózł tu farmerów, nie?

- No tak, ale kto z nas umie tym kierować? Chyba nie ty? Renus był sceptyczny.

- Ktoś, kto nim przyleciał - wtrącił Magruder. - Zaproponujemy mu coś rozsądnego - tu podniósł znacząco karabin. Korytarz był szeroki i ciemny. Sklepienie ginęło w mroku, wysoko nad głowami. Oświetlenie było kiepskie.

- Zaduch - odezwał się Peterson. - I goręcej niż w dupie u diabła.

. - Jakies efekty uboczne działania generatorów gazu - starał się wyjaśnić Magruder.

- Nagle stałeś się ekspertem od tego gówna? - spytał Renus.

W ciemnościach ich kroki odzywały się głośnym echem. - Gdzie jest ktokolwiek? - zdenerwował się Peterson.

- Może mają przyjęcie - powiedział Renus. - Albo orgię. Też mógłbym się trochę teraz zabawić z jakąś malutką cipką. - Małe są najlepsze - mruknął Magruder. - Ej, mógłbyś przestać pierdzić.

- Pieprzę cię.

- Jak to mówią? Z czym do ludzi. Słyszałem, że używasz mikroskopu, kiedy chcesz się wysikać.

Peterson roześmiał się, a Magruder chichotał z własnego dowcipu. Poczuli się nagle lepiej. Są bezpieczni, generał ich nie wypatrzył i nie zatrzymał. Gdyby cywile nie chcieli współpracować, to... pieprzyć ich. Mogą ukraść im transportowiec i ruszyć, dokąd będą chcieli.

- Co to jest na ścianie? - spytał nagle Peterson. - Co? Gdzie?

Renus stuknął karabinem w ramię Magrudera. - W górze, po lewej.

Cała trójka podeszła bliżej.

- Dlaczego tu, do diabła, nie ma światła? Czuję się jak w grobowcu.

Magruder włączył latarkę i skierował na ścianę strumień światła.

Jasność halogenowego reflektora wyłowiła z mroku coś przylepionego do ściany. Wyglądało to jak szarawa pętla wykonana ze skamieniałych wnętrzości.

- Jakaś rzeźba? - spytał Renus. - O, kurwa, kurwa!

Magruder i Renus spojrzeli zdziwieni na Petersona. - Co...?

- Ja... ja widziałem wcześniej to... to gówno! - No i?

- Jak stałem na warcie przy komorze królowej.

- O czym ty mówisz, do cholery? - krzyknął Renus.

- Komora pieprzonej królowej! Takie łajno było tam wszędzie na ścianach!

Magruder skierował światło na dalszą część ściany. Dziwne "rzeźby" ciągnęły się w głąb korytarza. Nieco dalej pokrywały już ścianę od podłogi do sufitu.

- Aaa!

Renus i Magruder skamienieli i skierowali karabiny na swego kolegę.

- Co...?

Peterson ścierał coś z twarzy. Czystą, ciągnącą się ciecz. - Cóż to jest, do diabła?

Peterson spojrział w sufit.



Renus i Magruder poszli za jego wzrokiem.

11.

Cudo nowoczesnej chemii nie pogrążyło Billie we śnie. Dodała lek do specjalnej techniki relaksacyjnej, której nauczyła się w szpitalu, lecz ciągle nie spała. Mitch odszedł i nie wiedziała dokąd. I, co gorsza, nie dbała o to.

Właśnie. Pieprzyć to.

Wstała. Była wyczerpana, ale pozostawiła już za sobą najgorsze chwile. Umyła twarz i spojrzała w małe lustro nad umywalką. Jej twarz ciągle była zmęczona, oczy miała podkrążone, mięśnie ściągnięte grymasem zmęczenia. Kiedy Wilks wy dostał ją ze szpitala - jakże dawno temu to było - miała szare włosy, długie prawie do ramion. Kolor pozostał, ale ścięła je gdzieś w trakcie podróży. Nawet nie pamiętała kiedy. Zapewne w czasie jednego z letargów po hiperśnie. Jeżeli istniał jakiś wszechpotężny Bóg, który zwracał uwagę na to, co robią ludzie, musiał mieć perfidne poczucie humoru.

Osuszyła twarz, kilka razy wciągnęła głęboko powietrze i wyszła z maleńkiego pokoju.

Szła noga za nogą, jakby siedziała na swych własnych ramionach. Zupełnie nie kontrolowała, gdzie i po co idzie. Po pewnym czasie spostrzegła, że nogi zaprowadziły ją ponownie do pokoju łączności. Może patrzenie na innych, którzy zajmowali się potworami, przyniesie jej ulgę. Poczwała, że boi się o małą dziewczynkę, którą widziała ostatnio. Dziewczynkę oddaloną o biliony kilometrów. Jak jej było na imię? Amy?

Musiała nastąpić zmiana, gdyż w pokoju siedział tym razem mężczyzna. Miał jednak te same polecenia co jej poprzedniczka.

-Annie mówiła, że byłaś tutaj wcześniej - odezwał się technik.-Wchodź do środka.

Billie kiwnęła mu głową i usiadła obok jego fotela.

Obrazy migotały na różnych monitorach. Czasem były to testy urządzeń, czasem zakodowane informacje przebiegające po ekranach komputerów tak szybko, że nie można było ich odczytać. Ludzkość wysyłała swe komunikaty zamienione w niewidoczne fale przemierzające galaktykę we wszystkich kierunkach Czy ktoś słyszy? Czy ktoś jest tam, w pustce?

Na ekranie po lewej stronie pojawiła się kobieta. Miała atrakcyjną sylwetkę, ciemne, krótko obcięte włosy, wąskie wargi i lekko wystające kości policzkowe. Mówiła coś szybko, ale obraz nie wydawał żadnego dźwięku. Pot pojawił się na jej czole i zaczął spływać po twarzy.

-Kto to jest?

Technik spojrział na obraz. Uśmiechnął się.

- To Ripley.

- Ripley?

Mężczyzna spojrział na nią jakby była niezbyt ro zgarniętym dzieckiem.

-Ellen Ripley. Ta Ripley. Była na Nostromo i Sulaco. Była tam od samego początku, na LV - 426, co oznacza pierwszy kontakt z obcymi. Żyłas przez ostatnie lata w jaskini, czy co?

- Moznaby tak powiedzieć. Co się z nią stało ?

Technik nacisnął kilka klawiszy.

-Przykro mi, ale nie będzie dźwięku. To naprawdę stare nagranie. Od czasu do czasu przechwytyjemy jakieś. Prędkość światła jest tak mała. Jeżeli chcesz, mogę to podłączyć do komputera czytającego z ruchu warg.

- Co się stało z Ripley? - powtórzyła Billie.

- Nie wiadomo -technik wzruszył ramionami. - Ze wszystkich, którzy lecieli Nostromo, przeżyła tylko ona. Wszystko stało się z powodu jakiegoś debilnego pilota transportowca, który usiadł nie tam gdzie trzeba w nieodpowiednim czasie i został zainfekowany. Ona



wróciła później do tamtej koloni jako doradca załogi złożonej z Komandosów Kolonialnych. Kolonie zniszczyła eksplozja ładunku nuklearnego. Prawdopodobnie wszyscy zginęli. Były pogłoski...

Billie, psychicznie wyczerpana, wpatrywała się w technika. Czekala.

- Miałem kumpla, zwykle pracował w cywilnym Dziale Biotechnologii w jednej z ziemskich spółek. Twierdził, że Ripley udało się opuścić bazę przed wybuchem. Jest uwięziona gdzieś w jakimś odciętym świecie. Wysłano kogoś na poszukiwania i na tym kończy się ta historia. Wiele wydarzyło się po inwazji. Zresztą kto wie?

-Wydaje mi się, że wiesz dużo na ten temat.

- Nie całkiem. Spears...eee. generał Spears bada wszystko, co dotyczy obcych. Jakieś szczątki jego wiadomości przedostają się do nas. Popytaj załogę.

Billie patrzyła na kobietę na ekranie. Poczula coś w rodzaju wspólnoty dusz. Jak zachowała się w obliczu grozy obcych? Czy gdzieś żyje? A może istnieje tylko w postaci atomowego pyłu, po śmierci w nuklearnym piekle podobnym do tego, jakie przygotował Wilks na planecie potworów? Może miała pecha i skończyła jako ludzki żywy inkubator do wylęgu poczwarki obcych?

Obraz zniknął. Billie przechyliła się w tył i pozwoliła, by nowe piksele przelatywały przed jej oczami. Ich działanie było podobne do hipnozy, działały jak światło stroboskopu, a niski dźwięk dodatkowo wprowadzał jej umysł w stan odrętwienia, powodował senność.

Zanim się spostrzegła, zapadła w ciężki sen.

Ślina, która kapnęła na Petersona, świadczyła, że on będzie pierwszym celem. Komandos podniósł karabin i otworzył ogień, wodząc lufą we wszystkie strony. Rozsiewał we wszystkich kierunkach. Rozsiewał we wszystkich kierunkach 10-milimetrowe ołowiane pociski ze stalowymi koszulkami. Przeciwpancerne kule jęczały i wizgotały, rozbijając się o sufit, a odgłos wybuchających ładunków uderzał w uszy wszystkich trzech żołnierzy, niemal ich ogłuszając.

Renus i Magruder podnieśli również broń, ale nie zdążyli wystrzelić. Potwory posypały się ze sklepienia. Póki się nie poruszały, pozostawały niewidoczne, teraz cały korytarz zaroił się nimi.

Pierwsza bestia spadła na Petersona i rozpląszczyła go na podłodze. Broń brzęknęła o ścianę.

Żołnierz krzyczał krzykiem bez słów.

Potwór uniósł głowę jak jakiś monstrualny przeżuwacz. Ze szponów zwisał mu człowiek wyglądający w tym momencie jak lalka.

- Kurwa! Zastrzel go! - wrzasnął Magruder.

- Nie mogę, Peterson jest na linii strzału...!

- Uciekajmy, wiejmy stąd. Prędko!

- Na pomoc! - wrzeszczał Peterson. Wreszcie zdołał wyartykułować słowa.

Obcy trzymający człowieka zbliżył się do ściany i wyciągnął łapy. Inni obcy - dwójka, nie trójka - wyłoniła się z mroku tuż przed komandosami i chwyciła Petersona. Podawały go sobie z łap do łap.

- O, Jezu! - Renus Wystrzelił i najbliższy obcy padł rozpryskując we wszystkie kierunkach żółty płyn jak wodę z pękniętego balonu.

- Aach! - krzyknął żołnierz, gdy kwas spryskał mu kombinezon wypalając natychmiast małe dziury. Odwrócił się i uciekł.

Renus nie widział jego ucieczki, Strzelał bez przerwy z karabinu rozsiewając w całym korytarzu hałas i śmierć. Upadł kolejny potwór, przecięty na pół na wysokości bioder. Jednak Peterson był już zgubiony. Zniknął z pola widzenia.

Coraz więcej bestii skakało z sufitu i otaczało Renusa.

- Gińcie skurwysyny!



Ciągły ogień karabinu M.-41E wyrzucał teoretycznie siedemset pocisków na minutę, czyli nieco więcej niż jedenaście na sekundę. Z bronią nastawioną na ogień automatyczny magazynek zawierający sto pocisków opróżniał się w ciągu około dziewięciu sekund.

Było to dziewięć najdłuższych sekund w życiu Renusa.

W chwilę potem - serce komandosa zdążyło uderzyć trzy razy, jeden z obcych skoczył na niego. Z paszczy potwora wystrzeliła szczerząca zęby wewnętrzna szczeka i zamknęła się na krzyczącym z przerażenia gardle żołnierza. Wrzask ścichł natychmiast do głuchego charkotu. Obcy zachowali Petersona do implantacji, ale Renus był dla nich tylko świeżym mięsem. Ostatnią rzeczą, którą udało mu się zrobić przed śmiercią, było naciśnięcie spustu wyrzutnika granatów 30-milimerowy ładunek uderzył w ścianę pod kątem, odbił się w górę i eksplodował gdzieś pod sufitem. Wybuch zasypał korytarz śmiercionośnymi odłamkami i deszczem ognia.

Magruder uciekał, ponaglany strachem i adrenaliną. Kwas wypalał coraz głębsze dziury i wydzieliał gryzący dym. Fala uderzeniowa prawie go przewróciła, ledwo utrzymał się na nogach.

Przed nim znajdowało się wyjście oznakowane jako Wewnętrzna Ochrona Życia. Komandos dotarł do drzwi i uderzył kilka razy jak oszalały w płytkę zamka, Drzwi stanęły otworem. Wskoczył do środka i przycisnął kolejny guzik. Trzymał go tak długo, aż wejście nie zamknęło się całkowicie.

- O, Jezu, Jezu!

Był bezpieczny, bezpieczny. Przynajmniej chwilowo. Musi teraz jak najszybciej znaleźć drogę na zewnątrz! Rozejrzał się wokół.

Coś zazgrzytało. Twarde pazury na metalowej kracie.

Magruder spojrział w górę. Dojrzał obcego siedzącego mu nad głową na aluminiowej perforowanej płycie sufitu.

- O, do diabła!

Podniósł karabin i wypalił. Pół tuzina pocisków uderzyło w kratę. Jeden z nich musiał trafić potwora, który upadł jak marionetka z przeciętymi sznurkami. Kwas zaczął wylewać się z rany. Przepalał metal, kapał na podłogę poniżej. Szybko zaczął unosić się dym.

Komandos cofnął się przed żrącym deszczem i rozplaszczył na ścianie.

Coś walnęło w drzwi. Cienki metal wybrzuszył się do środka jakby to była folia.

-O, ludzie!

Szpon przeszedł przez ścianę i chwycił Magrunera tuż nad nerką. Ten szarpnął się z bólu i poczuł, jak coś ostrego wrywa mu kawał ciała na plecach. Wrzasnął z bólu. Dziura na lędźwiach żołnierza wypełniła się natychmiast krwią. Zrobił krok do przodu i wdepnął w kałużę kwasu rozlanego na podłodze. Natychmiast zaczęły dymić buty i poczuł, jak ogień ogarnia mu stopy.

Rzucił broń, ściągnął buty parząc sobie ręce. Potem rzucił się do drzwi po przeciwnej stronie tych, przez które usiłował się wdrzeć obcy. Oparł się o nie, a te otworzyły się pod jego ciężarem. Upadł.

Jakiś ruch nad nim! Obcy! Nie, to nie był potwór, to człowiek! Dzięki Bogu!

Wtedy spostrzegł, że stoi nad nim Spears.

- Karą za zdradę jest śmierć - powiedział generał.

Uśmiechnął się.

Spears obserwował wszystko. Początek dezercji, szaleńczy rajd przez kaniony, wejście do wytwórni powietrza. Ci głupcy myśleli, że mogą bezkarnie ukraść pełzacz i uciec. Nawet nie poszukali ukrytych kamer na pokładzie. Generał bawił się widokiem każdej najmniejszej chwili tej podróży. Znał każdy szczegół, każde słowo, jakie padło w czasie tej ucieczki. Tak samo jak ostatni atak obcych, który zarejestrowały urządzenia do inwigilacji. Wprawdzie niektóre przewody zostały uszkodzone przez robotnice podczas budowy mrowiska wewnątrz



opustoszałej fabryki, ale i tak wiele fotoczułych oczu pozostało na swoich miejscach. Wszystko było nagrywane i kierowane do komputera w Trzeciej Bazie, gdzie obrazy były analizowane, by poszerzyć wiedzę na temat potworów.

Trojka dezertersów wpadła w panikę i to napełniło Spearsa niesmakiem. Prawdziwi komandosi powinni kontrolować swoje zachowanie, panować całkowicie nad polem ostrzału u przejść przez gromadę obcych do bezpiecznego miejsca. Lecz ludzie są słabi, przepełnieni strachem i tracą panowanie nad sobą. Gubią ich własne cholerne uczucia. Gdyby na miejscu dezertersów znalazła się trójka uzbrojonych potworów, całe stado dzikich obcych nie zdołałoby ich pokonać. Są takie, jacy powinni być prawdziwi żołnierze - bez uczucia strachu, bez żadnego emocjonalnego gówna, które bierze się z tego z tego, że człowieka rodzi kobieta. NA swój sposób Spears utożsamiał się z obcymi. On sam pochodził od jaja i plemnika, ale nie był uzależniony w żadnym momencie od żyjącej matki.

Komandos u jego stóp wyjęczał:

- Ge... generał! Dzie... ki Bogu...

- Spieprzyłeś to, synu. Zesrałeś się ze strachu. Bo jesteś słaby. Ale przydasz się. Twój przypadek będzie długo jeszcze oglądany i analizowany. Twoja śmierdząca ucieczka będzie nauczka, będzie lekcją, jak nie należy postępować, będzie klasycznym przykładem złej taktyki zbudowanej na jeszcze gorszej strategii.

Odwrócił się. Para żołnierzy w pełnym rynsztunku bojowym stała obok. Byli zdenerwowani. Wokół nich unosił się zapach strachu. Nie byli wiele lepsi niż ten leżący na podłodze kundel, ale przynajmniej wykonywali rozkazy.

- Skończyłem z tym gównem - Spears wskazał na Magrunera. - Robotnice muszą być głodne. Dajcie im kolację.

- Nie!- krzyknął dezerters. - Nie może pan! Proszę!

Usiłował się podnieść.

Jeden z żołnierzy otworzył drzwi. Obcy i tak byli o włos od wtargnięcia przez sąsiedni pokój. Ściana zaczęła już pękać pod ich uderzeniami.

- Proszę! Proszęęę!

Dwóch komandosów pociągnęło Magrudera w kierunku drzwi. Wierzgał nogami i prężył ręce, by powstrzymać to, co nadchodziło. Chwycił jedną dłoń za futrynę. Strach dodawał mu sił. Udało mu się powstrzymać na chwilę wlecącą go dwójkę.

Spears podniósł nogę i kopnął Magrudera w rękę. Strzaskał mu palce. Żołnierz wrzasnął, puścił drzwi i natychmiast został wypchnięty z pokoju. Drzwi zamknęły się cicho.

Generał patrzył przez plastikową płytę, jak obcy wdzierają się do pomieszczenia, w którym znalazł się nieszczęsny komandos. Głos skazanego na śmierć przeniknął przez ścianę. Widać było, jak kopnął pierwszego potwora który się do niego zbliżył, lecz był to ostatni, rozpaczliwy wysiłek walczącego o życie straceńca.

Spears odwrócił się.

- Chodźmy - powiedział. - Skończone.

Dwaj komandosi rzucili się do wyjścia. Ten widok wywołał uśmiech na twarzy Spearsa. Miał przykład, jak można utrzymać żołnierza w ryzach. Tak jest panie generale! Tak właśnie powinno być.

## 12.

Powell chodziła tam i z powrotem nerwowym, szybkim krokiem.

- Było tu stu sześćdziesięciu ośmiu cywilów - powiedział.

- Mężczyźni, kobiety, dzieci. Spears dał ich obcym. Wytwórnia powietrza sjest w pełni zautomatyzowana, więc ludzie są... byli zbędni.

Wilks stwierdził nagle, że stoi i zaciska z całych sił pięści.



Major przestał krążyć, odwrócił się i popatrzył na sierżanta.

- Pozwoliłeś mu na to.
- Nie jestem mordercą - bronił się Powell. - Nie potrafię zabić nawet Spearsa.
- Widziałem, że sięgnąłeś po pistolet, kiedy wszedłeś tutaj.
- Ale go nie wyciągnąłem. Mógłbym, myślę, że mógłbym to zrobić, gdybym naprawdę uważał, że moje życie jest w niebezpieczeństwie.
- A nie pomyślałeś, że tak właśnie jest? Czego ty właściwie oczekujesz? Formalnego wypowiedzenia wojny?

Powell przez chwilę przetrwał ostatnie zdanie Wilksa.

- Słuchaj - powiedział w końcu. Przybyłem tu, by służyć mojej planecie. Studiowałem, byłem w swoim czasie by zostać księdzem. Planowałem po zakończeniu nauki, że będę kapłanem. Nie wyszło i trafiłem tutaj. To, co robi Spears, napawa mnie odrazą, ale droga do Światłości nie wiedzie przez tworzenie mroku.

Wilks przyglądał się swemu rozmówcy. Miał już wcześniej do czynienia z takimi facetami. Wojsko musi mieć w swych szeregach pewną liczbę lekarzy i typków od religii. Ich mentalność, ze względu na ich pochodzenie, jest z reguły pacyfistyczna. Jeżeli zostajesz ranny w bitwie, to potrzebujesz kogoś, kto cię poskleja, i od tego jest chirurg. Skoro jesteś emocjonalnie rozbity musisz mieć kogoś w rodzaju powiernika - Wilks nigdy tego nie potrzebował - i są psycholodzy czy ojczulkowie. Są potrzebni, ale nikt nie chce mieć ich u boku, kiedy wszystko wokół płonie, a przeciwnik zaczyna strzelać. Tym bardziej nikt nie chce mieć takiego dowódcy, kiedy siedzi na pierwszej linii. Nie znaczy to, że wszyscy są tacy sami. Wilks widział lekarzy, którzy potrafili z uśmiechem wyrwać serce, i wyznawców różnych bogów, którzy bez namysłu spaliliby stadion wypełniony małymi dziećmi, gdyby tylko tego od nich zażądać. Lecz Powell nie był jednym z nich.

Biorąc pod uwagę sytuację, była to zła wiadomość.

Czego właściwie ten człowiek chce? Dlaczego mówi Wilksowi o tym wszystkim?

Nagle zaświtało mu dlaczego. Powell był jednym z tych, którzy kupują na targu mięso w opakowaniu, i z myślą, że to sojowy substytut zjadają go ze smakiem. Nie był łowcą i był ponad ucieciami gry, jaką jest myślistwo. Lecz kiedy już mięso było zapakowane... Przecież zwierzę zostało zabite i skrwawione. Mógł jeść mięso, byle nie polować i zabijać.

Potrafił jednak rozpoznać myśliwego od jednego rzutu oka.

Wilks pokiwał głową. Fajnie, przeżyje to. Przyzwyczajony był do wykonywania za kogoś brudnej roboty.

Królowa była gigantyczna, większa niż inne władczynie.

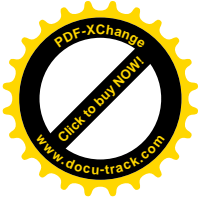
Była siłą natury, nie do powstrzymania i niewiarygodna jak coś ze starożytnych mitów. Była Niszczycielem Świata, pożeraczem dusz i głupotą było przeciwstawiać się jej. Szaleństwem było nawet myślenie o tym.

Królowa szeroko ziewnęła, jej cztery wewnętrzne czaszki otworzyły się i zamknęły jak chińska układanka. Wyglądało, że może pochłonąć wszystko, od myszy do słonia. Nie była jednak zainteresowana ani myszami, ani słoniami. Pragnęła zdobyć. Pragnęła...

Billie odwróciła się, by uciec, ale nogi wrosły jej w ziemię. Potrafiła się jedynie przesuwając powolnym, ślimaczym ruchem jak płynący lodowiec. Czuła się, jakby miała na nogach ołowiane buty albo szła po dnie basenu wypełnionego gęstym syropem.

Krzyknęła, ciągle usiłując uciec, ale jej wysiłki były daremne. Poczula zapach królowej, gdy podeszła bliżej. Był ostry, gorzki, jak palący się plastik. Stosy ciał składane od lat otoczyły Billie oceanem, w którym nie było ryb. Najeżony krwawą pianą grzywacz za chwilę załamał się nad jej głową...

- Nie obawiaj się - powiedziała królowa.



Głos miała łagodny, melodyjny jak głos matki uspokajający przestraszone dziecko.

- Kocham cię. Pragnę. Potrzebuję.

- Nie! - krzyknęła dziewczyna. Już słyszała to wcześniej. Wiedziała, że to kłamstwo. Szarpnęła się w swoim osobistym płynnym bursztynie jak prehistoryczna mucha czekająca na dotknięcie Śmierci, jak uwięziony owad czekający na Wieczność, która ma go pochłonąć.

- Kocham cię. Chodź. Pozwól mi dotknąć cię...

Zimny szpon chwycił ją za ramię.

- Nie!

- Spokojnie! - powiedział technik. Stał obok i trzymał rękę na jej ramieniu.

- Wszystko w porządku. Po prostu śniło ci się.

Billie zamrugnęła i spróbowała przejść z otchłani koszmaru do rzeczywistości.

- Wiem jak to jest - Mówił dalej technik. - Jak także o niej śnię.

Billie popatrzyła na niego niezdolna do wydania z siebie najmniejszego dźwięku.

- Powiedz lekarzom. Mają tam różności, które powinny pomóc.

- Nie pomagają - zdołała wreszcie powiedzieć kilka słów. - mam z tym do czynienia od dziesiątego roku życia. To tylko kwestia czasu, żeby sny zmieniły się w rzeczywistość.

Na zewnątrz rozległy się odgłosy, jakby, ktoś szedł korytarzem w metalowych butach. Billie dokładnie wiedziała, kto może wydawać takie dźwięki.

Do licha. Co ma zrobić z Mitchem? Nawet kiedy tak go olała ostatnio, czuła w sobie tę dziwną energię, to ciśnienie, ten napór. Do diabła, trzeba to wreszcie nazwać po imieniu.

Czuła miłość.

Cholera.

Gdy tylko opuścili tę część wytwórni, gdzie spotkali Magruderę, Spears złożył krótką wizytę w najnowszej komorze z jajami. Z grubsza było ich tam tuzin. Leżały na zrobionej przez obcych podłodze, wszystkie świeżutkie, najwyżej kilkudniowe. Wszędzie można było dostrzec sprzęt do podglądania i podsłuchiwania. Generał wiedział, że ma możliwości szybkiego wyłączenia albo zniszczenia tego systemu. Drzwi do tej komory pozostawały cały czas otwarte, tak że robotnice mogły pracować bez przeszkód. Jednak wchodząc do komory Spears zakręcił korbą i zamknął je, by mu przez chwilę nie przeszkadzano.

Lubił odwiedzać jaja. Skórzaste, błyszczące muszle zamknięte mocno, chroniły swoją ceną zawartość. Zawsze ich widok dziwnie poruszał generała. Nie był człowiekiem zdolnym do głębokich przeżyć duchowych, żadnym myślicielem rozmyślającym o niemożliwej do zmiany przeszłości, albo o nieprzewidywalnej przyszłości. Był człowiekiem czynu, nie myślicielem, jednak w tym pomieszczeniu ciągle odnajdywał jakieś bezlitosne piękno. Leżeli przed nim nie narodzeni wojownicy zrodzeni z największych i najokrutniejszych żołnierzy, jakich spotkał człowiek. A generał był człowiekiem wojny.

Wraz z dwoma śmiertelnie przerażonymi żołnierzami u boku Spears podszedł do najbliższego jaja i położył dłoń na szorstkim pojemniku kryjącym w swym wnętrzu tajemnicę życia. Można było zrzucić tę małą beczkę z wysokiego budynku w ziemskim polu grawitacyjnym, a odbiłaby się jak plastikowa piłeczka nie powodując najmniejszego uszkodzenia swej zawartości. Generał wiedział o tym, bo kiedyś już tak zrobił. W sali o zmiennej wielkości przyspieszenia grawitacyjnego, którą zbudowali uczeni, zrobiono dotychczas kilka takich eksperymentów. Jaja miały ogromną wytrzymałość. Nawet przy 3g zachowywały spistość. Można je było przeciąć - istniały narzędzia wystarczająco ostre - lecz lepiej, żeby robiący to człowiek miał błyskawiczny refleks. W przeciwnym wypadku





mógł stracić twarz, gdyż kwas który tryskał ze środka, był bardziej żrący niż krew dorosłego obcego. Natura dobrze zabezpieczyła życie nie narodzonych potworów. Zaś małe poczwarki były istnymi diabłami.

Speras uśmiechnął się szeroko i pogłaskał jajo, jakby to była głowa ulubionego psa. Królowe obcych rozmnażały się na drodze partenogenezy, a robotnice były całkowicie bezpłciowe. Istniały też samce- laboratoria bazy znalazły kilku, które jak się okazało, stanowiły obiekt czegoś w rodzaju seksualnej nagonki ze strony samic. Samce, kiedy ich liczba przekroczyła pewną granicę, walczyły ze sobą zajadle, aż pozostawał przy życiu tylko jeden osobnik. To on spółkował potem z królową. Jeżeli to przeżył, a była to okrutniejsza zabawa niż bitwa z innymi samicami, niedługo pozostawał przy życiu. Jego tryumf był krótkotrwały. W ciągu kilku sekund po wyczerpującym stosunku był zjadany przez okrutną kochankę.

Naukowcy bełkotali coś o genetyce, ale nie było to ważne. W ogóle się nie liczyło. Przecież nawet gdy nie było samców, królowa mogła się rozmnażać bez przeszkód. A gdyby zabrakło królowej, u jednej z robotnic następowało to, co badacze nazwali burzą hormonalną, po której robotnica stawała się królową.

Generał potrząsnął głową w zachwycie. Co za niesamowite skurwysyny! Obcy byli tacy, i jakich marzył każdy dowódca. Można było odbudować swoje oddziały w ciągu kilku miesięcy pod warunkiem, że przeżył przynajmniej jeden żołnierz.

Jego komandosi krążyli wokół, a Spears czuł ich strach. Ponownie wytrzeszczył zęby w uśmiechu, częściowo dlatego, że doskonale wiedział i ich przerażeniu, częściowo z powodu widoku własnej erekcji, która napinała mu spodnie. Dotąd nigdy mu się to nie zdarzyło podczas głaskania jaj obcych. Widocznie on również przeżywał burzę hormonalną. W jego życiu było to rzadkie zjawisko, dotychczas wyładowywał się w ważniejszych dziedzinach życia. Nie dlatego, że uważał seks za coś niemiłego, nie, to nie o to chodziło. Po prostu jego praca pochłaniała zbyt wiele czasu i energii. Na nic więcej nie zostawało. Oczywiście, kiedy był młodszy, myślał, że będzie żyć wiecznie i wiecznie będzie mógł pieprzyć każdą dziurę. Kiedy zrobił to pierwszy raz, nauczył się jednak czegoś ważnego, bardzo ważnego.

Za śmiał się głośno do swoich wspomnień. Ech, sierżant Instruktor Strzelania Brandywine. Co się z nią teraz dzieje?

Kadet Komandosów Kolonialnych Spears był w wieku piętnastu lat ciągle o dwa lata przed swą pierwszą walką, chociaż nosił już trzy tatuaże. „Strzelba” Brandywine miała prawdopodobnie dwa razy tyle co on, była potężnie zbudowana i potrafiła trafić z dwudziestu kroków w szczurze oko zarówno z karabinu, jak i z pistoletu. Mogłeś sobie zażyczyć, które to ma być oko. Swe czarne włosy nosiła krótko obcięte, miała twardą, zaciętą twarz i żadnych widocznych oznak kobiecych piersi. Spears dałby się zabić, byle ją zdobyć. „Strzelba” była śmiercionośną maszyną do zabijania i to podniecało młodego kadeta. Kilka razy podglądał ją kąpiącą się pod prysznicem, starannie ukrywając przed jej wzrokiem salut swego najkrótszego ramienia. Było w takich momentach diabelnie twarde i sterczało niemal pionowo w górę.

Zawsze myślał, że Brandywine niczego nie widzi, ale pewnego popołudnia po ćwiczeniach w sali gimnastycznej znalazł się z nią pod prysznicem sam na sam. Jak zwykle, jego fiut usiłował wystartować w powietrze. Spears bez przerwy kręcił kurkami, by „Btrzelba” nie zauważyła, co się z nim dzieje.

Po chwili zakreśliła wodę w swoim natrysku i zaczęła wychodzić. Bardzo dobrze.

Lecz odgłos kroków po mokrym plastiku wydawał się dochodzić z przeciwnego kierunku. Dojrzał ją kątem oka, kiedy stanęła tuż za nim i klepnęła go w ramię.

-Chodź, kadecie. Musisz się nauczyć, jak tego używać.



Spears myślał dotychczas o sobie jak o prawdziwym komandosie. Potężnym, nieustraszonym, zimo oceniającym każdą sytuację. Teraz poczuł, że się czerwieni.

- Słucham?

- Chcesz mnie nadziać na swoją dzidę już od kilku tygodni, dzieciaku. W mojej kwaterze, za pięć minut. Będiesz mógł trochę postrzelać.

Odwróciła się i wyszła. Patrzył na jej muskularne pośladki i nie mógł złapać tchu. Był przerażony.

Jednak było całkiem fajnie. „Strzelba” miała doświadczenie, z całą pewnością rozprawczyła wielu kadetów i była cierpliwa.

Pierwsza runda trwała nie dłużej jak trzy sekundy. Potem Spears wypróżnił magazynek swej broni. Pięć strzałów, nie więcej. To było wspaniałe, ale natychmiast zorientował się, że nie zrobił właściwie nic dla Brandywine. Zaczął przepraszać.

- O, rany. Przykro mi, ja...

- Zapomnij o tym, kadecie - przerwała mu. - Znam was doskonale, młodzików. Poza tym nawet nie zaczęliśmy. Daj no tu ten twój instrumencik.

Następne trzy godziny były dla kadeta Spearsa jedną cudowną chwilą. Owszem, zaznał w życiu wiele przyjemności, ale nic nie dawało się porównać z tym, czego go nauczyła tego popołudnia. „Strzelba” Brandywine. Zdziwiająca rzecz. Najważniejszą sprawą była cierpliwość. On był napalonym kadetem, żyjącym w ciągłym pośpiechu, w biegu, w wyścigu, w którym musiał być pierwszy. Nie mógł, nie umiał czekać.

Brandywine nauczyła go tego.

Byli w jej łóżku, złączeni po raz piąty. Ona leżała na plecach, jedną nogę zgięła i odsunęła na bok, a stopę wsadziła pod pośladek. Spears, ciężko dysząc. Leżał na niej i zawzięcie poruszał się w przód i w tył.

- Zwolnij trochę, chłopczyku.

- Co?

Sięgnęła ręką i chwyciwszy go za biodro zwolniła jego ruchy.

- Kiedy jesteś na strzelnicy i cel pokazuje się tuż przed tobą, co robisz?

- Strzał na punkt, trzy kule, nie? Jedna w głowę, w serce dwie - odpowiedział znanym wierszykiem, jakby był w klasie. Potem, dużo potem, doszedł do tego, że naprawdę w niej był.

- Prawidłowo. Namysł może cię zgubić w bezpośredniej walce. Ale kiedy znajdujesz się pięćdziesiąt metrów od celu, czy postąpisz tak samo?

Kadet kontynuował swe ruchy w tempie, jakie mu narzuciła „Strzelba”.

- Nie, proszę pani. Staranni wyceluję i wpakuję dwie kule w korpus.

- Brzmi nieźle - wyszczerzyła zęby.

Podniosła nogę tak, że palce stóp celowały w sufit.

- Teraz wyjaśnij, dlaczego tak postąpisz.

- Strzał na punkt jest niedokładny na dalszy dystans. W takiej sytuacji dokładność jest ważniejsza niż szybkość. Strzelić za szybko i chybić? To oznacza, że wróg zdąży wycelować i trafić. Lepiej być wolniejszym, ale pewnym.

- Poruszaj się teraz trochę mocniej i odrobinę szybciej - uniosła kolana prawie do twarzy. - Dobrze. Teraz włóż tu palec. Potrzymaj trochę.

Był już znów bardzo blisko. Zmusił się jednak do utrzymywania tempa, jakiego chciała.



- Życie jest jak odległość, kadeciku. Czasem trzeba się śpieszyć, czasem zwolnić. Nauczenie się robienia wszystkiego we właściwym czasie i tempie jest tak samo ważne jak wszystko inne. Rozumiesz mnie?

Skinął głową. Zbliżając się do szczytu, zgodziłby się ze wszystkim, co by mu powiedziała. Jednak zrozumiał lekcję. Metoda nauczania była unikalna.

- Teraz szybko. Ruszaj się, kadecie, ruszaj się.

Wykonał rozkaz. To była naprawdę diabelnie dobra metoda nauczania.

Spears wrócił do rzeczywistości. Poklepał jajo i wstał. Jego seksualne podniecenie minęło. Człowiek mniej cierpliwy niż on straciłby szansę stworzenia niezwyciężonej armii. Jeżeli „Strzelba” Brandywine jeszcze żyje, jest staruszką dobiegającą osiemdziesiątki. Ciekawe byłoby spotkać się z nią, żeby pokazać, jakie jej lekcja wydała owoce. A może, do diabła, i wypieprzyć ją w imię dawnych czasów.

- Wychodzimy, żołnierze.

Tego rozkazu nie musiał powtarzać dwa razy.

### 13.

- Królowa nauczyła się wykonywać rozkazy generała - powiedział Powell. Głowę miał spuszczoną i patrzył pod nogi.

- Słucha go? - spytał Wilks.

Przebywali już długo we wnętrzu statku i Wilks czuł się zmęczony, ale chciał usłyszeć wszystko, co tylko miał do powiedzenia major.

- Tak. Spears tresował ją jak psa. Używał do tego swej zapalniczki do cygar. Żołnierz trzymał miotacz płomieni wycelowany w jajo, a królowa musiała na to patrzeć. Potem wpuszczał do jej komory człowieka, a kiedy sięgała po zdobycz, zapalał zapalniczkę. Bestia szybko pojęła, o co chodzi. Mogłeś zostawić kogoś razem z nią i tuzinem robotnic na całe godziny, z żadne z nich nawet go nie dotknęło. Ta królowa nie jest głupia.

- Dziwnie to brzmi - kontynuował Powell - ale ona potrafi poświęcić robotnice bez chwili zastanowienia, ale słucha Spearsa, by ochronić jaja.

- Jest obca - Wilks wzruszył ramionami. - To, co dziwne dla nas, nie musi być takie dla niej. Może jej odpowiedzialność kończy się, kiedy te cholerne potwory się już wyklują.

- Tak właśnie uważa generał. Ale królowa kontroluje robotnice. Telepatycznie, empatycznie, czy jeszcze w inny sposób. Nie mamy tak czułych przyrządów, żeby być do końca pewni. Na pewno nie jest to związane z dźwiękami ani żadnym przekazem wizualnym. Wszystko to potrafimy wykryć i zarejestrować. Robiliśmy testy z zamkniętymi w szczelnych komorach robotnicami. W żaden sposób nie mogły widzieć ani słyszeć królowej, a robiły to, czego oczekiwał od nich Spears.

- Macie więcej niż jedną królową - stwierdził nagle sierżant.

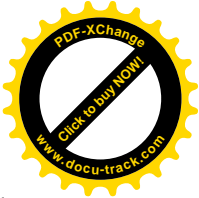
- Skąd wiesz - Powell aż zamrugał oczami ze zdziwienia.

- Skąd biorą się jaja w wytwórni powietrza. Chyba że wozicie królową tam i z powrotem.

- Nie. Włożyliśmy tam jedno jajo z tutejszej hodowli. Spears zrobił to własnoręcznie. Teraz są tam dziesiątki robotnic, które opiekują się młodą królową.

Wilks z niesmakiem potrząsnął głową.

- Spears nie zdaje sobie sprawy, do czego w rezultacie dojdzie.



- Uważa, że wie. Pracował nad tym więcej niż ktokolwiek. Miesiąc temu zabrał dwudziestkę robotnic i kazał maszerować w szyku. Kilka z nich nauczył trzymać zmodyfikowany M. - 69 i pozwolił im strzelać.

- Jezu!

- Tak, właśnie tak. Co do celności, to są jak kłown w cyrku. Nie trafiłyby w wieże kościelną z dziesięciu kroków, ale zawsze...

Wilks kiwnął głową ze zrozumieniem. Monstrum z karabinem maszynowym. Jedyną przewagą człowieka w spotkaniu z tymi potworami była broń. Gdy zostaną uzbrojone jak ludzkie oddziały, będą nie do powstrzymania.

- Robotnice są głupie - mówił Powell - ale nawet najgłupszy czubek potrafi w miarę prosto wystrzelić. Myślimy też, że zdolności królowej pozwalają widzieć jej to, co widzą jej podwładni. A ona jest sprytna co najmniej ta, jak my. Gdyby wierzyć zapewnieniom psychologów.

- Na Buddę i Chrystusa.

- Okrutne, ale prawdziwe.

Wilks wstał i zaczął przemierzać pusty luk.

- Lecz co za sens? - zastanowił się głośno. - Ziemia to historia. Kiedy wyruszyliśmy tutaj, prawie cała była już opanowana. Jeszcze kilka lat i nie będzie tam nikogo żywego. Parę bomb neutronowych może wysterylizować całą planetę. Wszyscy ci kowboje to głupcy.

- To nie chodzi o uratowanie Ziemi i ludzi, którzy tam są - powiedział major. - Chodzi tu o Spearsa i jego własną chwałę lub coś w tym rodzaju. Tak do końca to nie wiem, o co tu chodzi.

Wilks skinął głową.

- W porządku. Doszliśmy do sedna sprawy, majorze.

Powell westchnął.

- Wystarczająco dużo ludzi nie żyje, sierżancie. To się musi skończyć. Spears jest teraz w wytwórni powietrza. Na zewnątrz szleje burza magnetyczna spowodowana wzrostem aktywności słonecznej. Będzie odcięty przez kilka godzin, może nawet przez cały dzień lub dwa. Nie będzie mógł w tym czasie wrócić. Powinniśmy rozpocząć nasze przygotowania natychmiast.

- Dobrze - zgodził się Wilks.

- Mitch?

Drzwi do jego pokoju były otwarte. Był teraz na wpół maszyną, ale druga połowa była zaprogramowana na sen. Leżał na wznak, a prześcieradło okrywało go do połowy piersi.

- Wejdz, Billie.

Światło wewnątrz było przyćmione i z trudnością można było cokolwiek dostrzec. Zbliżyła się do palety zastępującej Buellerowi łóżko. Zatrzymała się ze dwa metry przed nią.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie powinnam tego powiedzieć.

Ciągle leżał na plecach, tylko ręce założył za głowę. Patrzył ciągle prosto w sufit.

- Rozumiem, że było ci smutno.

- Nikt nie dał mi prawa mówić do ciebie w ten sposób. To jest jak... - przerwała.

- Jak co?

Odwróciła się trochę. Patrzyła teraz na ścianę, a nie na niego.

- To żenujące - powiedziała. - Myślałam, że to minęło, że przestałam cię uważać za sztuczną osobę, że to się nie liczy.

- Ale ciągle ma to znaczenie, prawda?

Jej westchnienie było prawie szlochem.



- Kiedy opuściliśmy komory hipersnu, wydałeś mi się taki zimny, nieprzystępny. Taki odległy. Nie rozumiałam tego. Ciągłe nie rozumiem. Co się stało, Mitch? Zmieniłeś się. Czy to ja się zmieniłam?

Usiadł, a prześcieradło zsunęło się w dół aż do bioder. Ciągłe okrywało metalowy szkielet przypięty do dolnej części jego ciała. W tym oświetleniu Bueller wyglądał dla niej jak człowiek.

„Jest człowiekiem - upomniała się w myślach - może nie takim samym jak ja, ale człowiekiem.”

- Zrobiono nas tak podobnymi do ludzi, jak to tylko było możliwe. Odeszliśmy tak daleko od pierwszej generacji androidów, jak oni odeszli od robotów. Jesteśmy prawie ludzkimi istotami.

Zabawne, ale chodziły wieści w wytwórni, że następne pokolenie syntetyków będzie mogło powstać w macicy i od urodzenia uważać siebie za ludzi. Mieliby zaprogramowane wspomnienia dzieciństwa, rodziny, a poza tym mieliby mieć zaprojektowane ciało, całe ciało, również wnętrze, dokładnie jak u człowieka. Nie do odróżnienia dla nieuzbrojonego oka.

Mieliby nie tylko wyglądać tak samo, ale też myśleć, że są ludźmi. Mieliby mieć wbudowane Zasady Funkcjonowania, ale myśleliby, że są to ich osobiste normy etyczne. Posiadaliby te same wymagania energetyczne, możliwości przetwarzania żywności, tlenu, te same naturalne cykle biologiczne. We wszystkich normalnych zastosowaniach byłiby ludźmi. Nie mogli się jednak rozmnażać, ale byłiby silniejsi, szybsi i bardziej trwali.

- Mitch...

- Oczywiście - Bueller mówił dalej, ignorując, ignorując ją zupełnie - pojawia się pytanie: Co za sens? Skoro potrzebujesz zwykłych ludzi, czemu nie produkować ich metodami znanymi od pradziejów? Normalna para rodziców albo ostatecznie sztuczna macica. Odpowiedzią są ograniczone możliwości człowieka. Nie może lub nie potrafi on wykonywać wielu brudnych lub niebezpiecznych prac. Promieniowanie, eksploracja obcych, wrogich światów, ratownictwo w próżni, różne samobójcze misje.

Nowe androidy byłyby perfekcyjne. Akceptowane w społeczności, ale możliwe do usunięcia bez odrobiny żalu, bez podrażnienia delikatnych uczuć człowieka. Permanentni obywatele trzeciej kategorii. Nie, nawet nie obywatele, ale niewolnicy, prywatna własność, lojalni jak psy, gotowi służyć całym sobą na rozkaz.

- Jezus, Mitch...

- Jeszcze nie skończyłem. Żeby uzyskać tak doskonały model, trzeba eksperymentować. Model przechodni musi śmiać się we właściwych momentach i płakać, kiedy wypada, a nawet zakochiwać się, jeżeli to potrzebne. I w tym punkcie się znaleźliśmy, ty i ja. To działa. Moje hormony zachowują się, tak jak zaplanowano, i zakochałem się w tobie. Jedyna przeszkoda w tym, że rozumiem moje uczucia i potrafię je dokładnie rozdzielić.

Billie popatrzyła na niego.

- I obraziłeś się na mnie?

- Nie. Nie na ciebie. Słuchaj, ja naprawdę cię kocham. Ale nienawidzę ludzi za to, że mnie takim uczynili. Nie dali mi żadnej wskazówki, żadnego sposobu na to, żeby poradzić sobie z uczuciem w sposób racjonalny.

Billie uśmiechnęła się nikłym, smutnym uśmiechem. Jego oczy były lepsze niż jej. Dojrzał wyraz twarzy dziewczyny.

- Powiedziałem coś zabawnego?

Usłyszała złość w jego głosie.

- W pewien sposób, tak. Mnie też nikt nie dał najmniejszej wskazówki, jak mam postępować z „tymi rzeczami”, Mitch.



- Miłość i logika nie idą w parze. Szukasz czystej, prostej drogi. Między nami, „naturalnymi”, również nie zdarza się to często. Miłość jest zwykle szaleństwem, oszołomieniem, czasem jest bolesna, a czasem wręcz okropna.

- Ty masz co najmniej możliwość wyboru.

- I co mi to daje, jak myślisz? Nie możesz wybierać, zanim nie zrobisz pewnych rzeczy.

- Możesz odejść. Nie musisz mnie kochać.

- Mogę odejść od ciebie, ale nie ucieknę przed własnym uczuciem. Dlatego nie mogę poradzić sobie ze sobą. Mogłabym odejść, ale to, co czuję każe mi zostać z tobą.

- Jest to poza moimi możliwościami zrozumienia.

- Witamy w klubie.

Zapadła cisza. Gdybyż powiedzieli to sobie, zanim zaczął się ich romans. Gdybyż Billie wiedziała. Nie była bigoteryjna, mogłaby to pewnie zaakceptować.

„Naprawdę? Jesteś tego pewna, Billie? Jesteś pewna?” To było jej cholerne drugie „ja”. Teraz nie była już pewna.

Przynajmniej do końca.

Spears siedział w statku i czekał, żeby przeszła ta pieprzona burza. Głupiec. Powinien wiedzieć, że wzrasta aktywność magnetyczna słońca. Powinien zniszczyć zdrajców i natychmiast zbierać dupę z powrotem do bazy. Mogliby zdążyć, gdyby się pośpieszyli.

Dobra. Co jest, to jest. Nie warto płakać nad rozlanym mlekiem. Trzeba wykorzystać czas jak najlepiej. Miał zaplanowanych kilka scenariuszy walk, a symulator został już zaprogramowany do pola bitwy z oddziałami obcych w roli głównej. Jeszcze tego nie wypróbowali, ale to tylko kwestia czasu. Kiedy będą gotowi, nic w całym wszechświecie nie będzie w stanie ich powstrzymać. Słowo zaś Spearsa będzie znaczyło więcej niż słowo Boga, kiedy jego oddziały zostaną już sforsowane. Naprawdę tak będzie.

To tylko kwestia czasu.

#### 14.

Mężczyzna dźwigający strażacki topór z durastali przebiegł przez otwartą przestrzeń.

- Tutaj, szybko - zawołał.

Po sekundzie drugi mężczyzna pojawił się w polu widzenia. Tenniósł małą łopatę z rączką z zielonego plastiku. Obaj byli brudni, a ich ubrania były znoszone i w wielu miejscach podarte. Pierwszy miał na sobie skórzaną marynarkę, która kiedyś pewnie była czarna, a teraz rzucała się w oczy wyblakłą szarością. Drugi nosił wiatrówkę z kapturem z ciemnoniebieskiego nylonu czy sylonu.

- Jesteś pewny? - spytał Nylon.

- Nie, nie całkiem - odparł Skóra. - Ale jeżeli to prawdą, będziemy się pławić w tłuszczu. Dalej kopmy.

Mężczyźni stali obok zawałonego budynku. Tuż za nimi znajdowało się łukowate wejście wyglądające na wykonane ze stali - widniały na nim pomarańczowo brązowe placki rdzy. Z boku sterczało kilka powykręcanych metalowych prętów.

- Człowieku, dokopanie się tam zajmie parę godzin.

- Pewnie, ale tam jest skład wojskowej żywności. Mówi się o zapuszkowanych tonach i całych cysternach czystej wody. Możemy zabrać to do ukrytego podziemia i już nigdy nie obawiać się tych wstrętnych potworów.

Nylon podniósł łopatę wypełnioną gruzami odrzucił zawartość za siebie.

- Ukryte Podziemie. Wierzysz w te bzdury? - zapytał.



- Wierzę, że można kupić najpiękniejszą kobietę za pięć puszek, a dziesięciu uzbrojonych drabów za sto. Z ciężarówką pełną wojskowych protein jestem pewny, że można znaleźć Ukryte Podziemie. Teraz zamknij się i kom.

Skóra używał topora, jakby to był oskard, odrzucając na boki cegły i kawałki betonu.

- Dobra, dobra. Gdzie Petey?

- Na świecy, głupku. Na wieży.

Nylon popatrzył w górę na wyniosły budynek po drugiej stronie ulicy. Część konstrukcji wyrastała o trzy, może cztery kondygnacje ponad wszystkie budowle w otoczeniu i sterczała jak dziwna skała uformowana nie przez wiatr i deszcz, ale przez bomby i ogień.

- Nie widzę go.

- Nie powinieneś go widzieć. On ma widzieć ciebie i każdego, kto będzie się tutaj zbliżał. Chyba nie myślisz, że włóczyłbym się po otwartym terenie i nie pomyślał o ochronie dla mojej cennej dupy?

Nylon wzruszył ramionami, nic nie powiedział i wrócił do kopania. Obaj mężczyźni zajęli się pracą i słychać było tylko odgłosy.

- Amy, co robisz? Spytał szeptem niewidoczny głos.

- Nagrywam, Wujaszku Burt. Można usłyszeć wszystko, co mówią. Wygląda na to, że są blisko kamery.

- Nie powinnaś wychodzić, Amy. Wiesz o tym. Mama byłaby... Hej, daj mi kamerę.

Obraz drgał, pojawił się obraz gruntu i kawałek nogi dziewczynki. Potem znieruchomiał ponownie na dwóch sylwetkach kopiących zawzięcie mężczyzn. Tylko kąt widzenia zmienił się nieco.

- Nie ruszać się - dobiegł głos niewidocznego człowieka.

Sekundę później pojawił się wysoki mężczyzna z trzymanym przy biodrze karabinem na miękkie, przeciwludzkie ładunki. Żołnierz miał broń wycelowaną w dwójkę kopaczy.

- O, kurwa - rzucił Nylon. -Gdzie, do diabła, był Petey?

- Słuchaj - odezwał się Skóra - Tu jest tego dużo. Nie jesteśmy zachłanni, podzielimy się. Przybysz roześmiał się głośno.

- Nic tam nie ma, moje kotki. Rozpuściliśmy plotkę, żeby wyłapywać takich frajerów jak wy.

- Skurwysyny - powiedział cicho Skóra.

- O, rany! - krzyknął nagle Nylon. - Jesteś jednym z tych pieprzonych dokarmiaczy potworów!

Żołnierz zrobił krok do przodu i uderzył mężczyznę lufą karabinu w twarz. Uderzenie było wystarczająco silne, by powalić Nylona na kolana, ale nie na tyle potężne, by go ogłuszyć.

- Przestań warczeć, kundlu. Nigdy tak do mnie nie mów. Służymy królowej. To zaszczyt. Zaszczyt, słyszysz? Ty tego i tak nie zrozumiesz. Nie jesteś jednym z Wybrańców - odwrócił się w lewo - Simmons, King, do mnie.

Dwójka żołnierzy uzbrojona w karabiny pojawiła się w polu widzenia kamery. Przed nimi siedł trzeci mężczyzna z rękami związanymi z tyłu.

- Petey!

- Nie nakarmicie mną tych pieprzonych potworów! - krzyknął Skóra.

Rzucił toporem w pierwszego żołnierza, odwrócił się i zaczął uciekać.

Simmons i King podnieśli broń.

- Mam go! - krzyknął któryś z nich. - Pilnujcie resztę!

Padł strzał i kula trafiła biegnącego mężczyznę w kostkę. Zdołał jeszcze tylko jeden krok i zwałił się na ziemię. Zaczął rozpaczliwie krzyczeć.

Topór nie zrobił żadnej widocznej krzywdy pierwszemu z żołnierzy.



- Idźcie i weźcie go - powiedział wysoki. - Przypilnuję tych dwóch.

Dwójka żołnierzy poszła po wrzeszczącego Skórę.

- Królowa będzie zadowolona z tej trójki - odezwał się pierwszy żołnierz. - Obdarzy nas uśmiechem.

Powiódł wzrokiem po pustce wokół, pustce, która kiedyś była ruchliwą ulicą dużego miasta.

Obraz zaczął drżeć.

- Idziemy, Amy - w głosie niewidocznego Wujaszka Burta zabrzmiało zniecierpliwienia.

- Szybko!

Obraz zniknął. Skaner zaczął wyszukiwanie kolejnego przekazu.

Billie siedziała przed pustym teraz ekranem, a serce waliło jak oszalałe.

- Wielu stało się takimi - Powiedziała techniczka Annie. - Nie tylko chronią polujące na ludzi robotnice, ale sami dla nich pracują. Ciężko sobie wyobrazić, jak człowiek może to robić.

Billie westchnęła ciężko. Tak. Niezwykle trudno było to sobie wyobrazić, ale tak było. Jak człowiek mógł upaść tak nisko? Jezu!

Znajomy ciężar karabinu ucieszył Wilksa. Sierżant nie miał osłony pancerze, ale za to cztery zapasowe magazynki dyndające mu przy pasie. Pięć setek ładunków to dużo.

Powell poszedł do centrum komputerowego, żeby zrobić to, na czym się znał. Miał przejąć kontrolę. Wilks był przyzwyczajony do niebezpieczeństwa i walka była jedyną rzeczą, którą komandosi nauczyli go dobrze wykonywać

Drzwi do pokoju łączności nie były nawet zamknięte. Oczywiście, nie było żadnego powodu, żeby obawiać się czegokolwiek. Właściwie to nie było dotąd takiego powodu.

Kiedy sierżant wszedł do małego pomieszczenia, ujrzał Billie siedzącą w jednym z foteli. Wpatrywała się w pusty ekran. Obok niej siedziała techniczka.

- Odejdź od konsoli - rozkazał. Billie podniosła głowę.

- Wilks. Co tu...?

Kobieta z łączności chciała wcisnąć jakiś guzik.

- Hej, nie chcesz tego zrobić, prawda? - skierował karabin w jej stronę. - Odejdź w tył z fotelem i wstań powoli.

. Zrobiła, co jej kazał. - Wilks!

- Stań obok, Billie.

Dziewczyna potrząsnęła głową ze zdziwienia, ale zrobiła, co jej kazał.

Otworzył najpierw konsolę, a potem wycelował w monitory. Nosił w uszach specjalne tłumiki, więc strzały nie były dla niego czymś nieprzyjemnym, lecz obie kobiety zakryły uszy rękami. Techniczka krzyknęła. Trzydzieści pocisków wystarczyło. Twardy plastik rozprysnął się, niebieskawe, delikatne ogniki krótkich spieć przebiegły po powierzchni zniszczonych obwodów. Obrazy zniknęły i pozostała tylko płaska szarość martwych ekranów.

Łączność dalekiego zasięgu była już historią, przynajmniej na razie. Było jeszcze radio i Doppler w pelzaczach i statkach. Niektóre z nich mogły osiągnąć pojazdy Spearsa poniżej horyzontu, ale przy łucie szczęścia nikt nie zdążył tego zrobić. Trzeba się pośpieszyć. Gdyby stało się inaczej, to też nie ma to większego znaczenia.

- Wilks, co ty, do cholery, robisz?

- Zamach stanu. Albo rewolucję, jak wolisz. Kiedy Spears wróci, zostanie pozbawiony dowodzenia. Powell je właśnie przejmuje.

- Cholera, ten mięczak? - odezwała się techniczka. - Spears pożre go żywcem.





- Gdyby to był tylko on, to z pewnością. Ale jest paru żołnierzy, którzy nie chcą stać się karmą dla bestii generała i będą po stronie nowego dowódcy. No i jeszcze jestem ja. W której drużynie chcesz zagrać, siostrzyczko?

Kobieta oblizwała wargi. Westchnęła.

- Jestem z tobą. Wcześniej czy później każdy coś spieprzy. A wtedy idzie się do mrowiska. Wolę raczej połknąć kulę niż jajo.

Wilks kiwnął głową.

- Więc chodźmy. Opowiedz mi wszystko o systemie łączności bazy.

- Co z burzą, żołnierzu?

Mężczyzna potrząsnął głową. Wyraźnie był zdenerwowany.

- Ciągłe szaleje, panie generale. Nie ma nadziei na start przez co najmniej trzy godziny - żołnierz przelknął głośno ślinę - panie generale.

Spears skinął głową. Nie było możliwości wpłynąć na warunki atmosferyczne. Na niektórych planetach prowadzono pomiary, które pomagały przewidywać pogodę na powierzchni. Świat z kontrolowanym klimatem nie wpełznąłby żołnierzy w błoto albo nie zamroził w śniegu w nieodpowiednim momencie. Dobry dowódca musi przewidzieć wszystko, także pogodę. Wiele bitew przegrano nie z powodu przewagi wroga, ale z powodu zmiany pogody. Kamikadze - Boski Wiatr uratował kiedyś stare ziemskie imperium Nihonese od inwazji z morza. Lepsza pogoda na początku konfliktu pozwoliła na marsz na południe w czasie Wojny Secesyjnej. Australijskie Wojny, Akturiańska Akcja Policyjna, Konflikt Berringetti. We wszystkich przypadkach kaprysy natury miały decydujące znaczenie. Jak denerwujące musi być dla dowódcy uczucie przegranej w wyniku, powiedzmy, monsunu. Wie, że jest doskonałym strategiem, ma najlepsze wyposażenie i doborowe wojsko. I co z tego? W takim przypadku nawet zagorzały ateista może zacząć wierzyć w bogów.

Pokiwał głową w zamyśleniu.

- Co z łącznością? Mamy połączenie z bazą?

- Niestety, panie generale. Nawet transmitery LOS nie mogą się przedrzeć przez to diabelstwo. Przykro mi.

- Nie twoja wina, żołnierzu. Próbuj dalej.

Generał odwrócił się od łącznościowca. Ciągłe tkwili przy południowym wejściu do wytwórni powietrza w umocnionym terenie, gdzie robotnice nie mogły wejść, nawet gdyby pozwoliła im na to królowa. Podłoga wydawała metaliczne dźwięki pod grawitacyjnymi butami Spearsa, gdy szedł w kierunku interkomu. Włączył go i popatrzył na swoich ludzi. Siedzieli skupieni razem i rozmawiali przyciszonymi głosami. Tak działało na nich przerażające sąsiedztwo obcych.

- Komputer, pokazać obraz z komory królowej.

Projekcja holograficzna pojawiła się tuż przed generałem. Cztery kamery dawały obraz młodej królowej napęczniałej od jaj. Znajdowała się w komorze położonej cztery poziomy pod miejscem, gdzie stał Spears.

- Dobra dziewczynka - odezwał się z uśmiechem. - Dbaj o moich przyszłych żołnierzy. Komputer, uruchom miotacz podłogowy w komorze.

- Wylot miotacza jest zablokowany - odezwał się komputer.

Uśmiech generała nieco przygasł. Wystarczy tylko na to pozwolić, a królowa nie przestanie próbować. Jej robotnice pokryły pewnie ujście metrową warstwą przetworzonej skały, by nie można było uruchomić głównego przyrządu do tresury ich królowej. .

- Oczyścić wylot.

Po chwili jasno pomarańczowy płomień pojawił się w jednym z kątów komory. Szybko jaśniał, by w końcu stać się oślepiająco białym. Błysnęła cieniutka niebieska linia. W ciemnym pomieszczeniu wyglądała jak promień lasera.



- Wylot czysty - zakomunikował komputer.

Królowa zauważyła to również, a Spears mógłby postawić milion kredytów przeciw mysim bobkom, że wiedziała, co nadchodzi.

- Zapalić miotacz. Płomień przez pół sekundy.

Błysk płonącego gazu wystrzelił pod sufit w pojedynczym wytrysku gorąca i zgasł tak nagle, jak się pojawił.

Królowa patrzyła, jak ogień znika, potem przesunęła głowę i spojrzała wprost w obiektyw kamery.

Spears zachichotał. Wiedziała, że się jej przygląda.

- Komputer, obraz pulsującego pokoju do komory, a moją twarz na ekran. Niech mnie widzi.

W komorze zadrgało powietrze i pojawiła się projekcja. Kamery nie przekazywały zbyt dobrze jej obrazu, ale generał wiedział, że królowa widzi go dokładnie. Potwór popatrzył na to, co działo się przed nią, potem ponownie wprost w kamerę. Otworzył paszczę i sykiem potwierdził, że widzi obraz generała wewnątrz komory.

- Bardzo mądrze, mamusiu. - Spears z aprobatą kiwnął głową. Popatrzył na swych ludzkich żołnierzy.

- Gizhamme, Ceman, Kohm za mną. Idziemy do pomieszczenia znakowania.

Trójka mężczyzn wymieniła spojrzenia, ale wykonała rozkaz.

Bardzo dobrze, kiedy cię słuchają. I kiedy idą za tobą bez szemrania.

Billie szła razem z Wilksem.

- Damy ci karabin, Billie - powiedział sierżant. - Dostaniesz go, gdy tylko opanujemy sytuację na tym poziomie.

- Co my właściwie robimy?

- Szukamy sprzymierzeńców. Powell dał mi listę mężczyzn i kobiet, na których możemy polegać. Dostałem też namiary tych, którzy z całą pewnością pozostaną po stronie Spearsa. Zamierzamy ich unieszkodliwić. Kiedy generał wróci do domu, nie będziemy musieli się go zbyt obawiać. Schwytemy go, rozpieprzymy cały jego gówniany interes i będziemy żyli długo i szczęśliwie.

- Już to kiedyś mówiłeś.

- Ciągłe nad tym pracuję, dziecko. Daj mi trochę czasu. Ziemia też nie została zbudowana w ciągu jednego dnia. Wiesz o tym, co? - wyszczerzył zęby.

Billie też się uśmiechnęła. Była zmęczona i miała wiele problemów na głowie, lecz nie miała kłopotów z zaakceptowaniem tego planu. Jeżeli nie zrobią czegoś z tym szaleńcem dowodzącym bazą, wcześniej czy później ich zabije. Wygrać albo zginąć, to było najlepsze wyjście.

- Wiesz, gdzie jest Mitch?

- Jeżeli jest tam, gdzie w tej chwili powinien być, to tak. Ma przejąć kontrolę nad systemem ochrony życia.

- Dlaczego tam?

- Baza jest wojskowa, więc są tu modułowe systemy zabezpieczające powietrze, ciśnienie, ciepło i światło, ale jeżeli główny system zostanie wyłączony, zamkną się klapy bezpieczeństwa. My będziemy mieć nowe kody, nasi przeciwnicy nie. Zostaną zakorkowani, dopóki im nie pozwolimy wyjść.

- Fajna sztuczka.

- Tak myślę. To pomysł Powella. Nie jest to dobry żołnierz liniowy, ale nie jest najgorszy za konsolą.

Wilks wyciągnął mały instrument z pokrowca przy pasie i popatrzył na niego.

-Aha, jesteśmy tutaj. Przed nami piątka złych chłopców w poczekalni przed komorą królowej. Stój za mną i nie wchodź w pole ostrzału.



- Zrozumiałam.  
- Dobrze znowu być w akcji, prawda?  
- Tak. Ciężko mi to mówić, ale masz rację.  
- To nic trudnego. Powinnaś tylko częściej powtarzać i będzie ci to przychodziło z łatwością.

- Najpierw musisz mieć rację raz na zawsze, Wilks. - Lubię cię, dzieciaku. Chodźmy.

Spears trzymał pulsacyjny pistolet do malowania pięć centymetrów od czaszki robotnicy. Potwór miał zamkniętą paszczę, ale można było wyczuć jego śmierzący oddech. Bestia mogłaby go zabić w mgnieniu oka, lecz nie robiła tego. Królowa rozumiała, co by się stało z nią i jej bezcennymi jajami, gdyby któraś z jej robotnic choćby dotknęła generała pazurem. Wszystko było pod kontrolą. On miał tu władzę. Zajęło trochę czasu znalezienie pięty Achillesa obcych, ale gdy tylko została znaleziona, generał ciągle trzymał strzałę wycelowaną prosto w to słabe miejsce. Było tylko jedno, a on wiedział, jak je wykorzystać.

Generał poruszał miarowo pistoletem do znakowania. Farba była wzbogacona kapsułkami z trytem. Pistolet został zaprogramowany i umieszczał po naciśnięciu spustu właściwe numery na dowolnej powierzchni. Również kolory zostały zaprogramowane. Nieruchomy obcy miał stać się za chwilę członkiem oddziału Zielonych. Nowi Komandos Kolonialni generała byli zgrupowani w siedmiu korpusach, po jednym dla każdego koloru tęczy. Dotychczas miał w każdym z oddziałów po dwadzieścia robotnic. Nie było to wiele, ale od czegoś trzeba zacząć.

Numer 19 wgrzył się w zewnętrzny szkielet obcego wystarczająco głęboko, by zostać tam na stałe, wystarczająco płytko, by nie uszkodzić wewnętrznych organów potwora. W nocy radioaktywny tryt był widoczny z dużej odległości, natomiast w świetle dnia duży, kolorowy numer odcinał się wyraźnie od ciemnoszarej czaszki. W specjalnym oświetleniu identyfikator pulsował światłem przypominającym laserowe i dowódca mógł w ten sposób kontrolować swych żołnierzy z odległości większej, niż zasięg wzroku.

Spears umieścił numer na czaszce obcego, potem przechylił się w tył i popatrzył na swoje dzieło.

- Witaj w oddziale Komandosów Kolonialnych, synu. Potwór nie zareagował, ale generał wyobraził sobie, że słyszy głęboki pomruk zrozumienia.

Poklepał robotnicę po czaszce. Była zimna, gładka, trochę lepka w dotyku.

- Teraz nie ruszaj się z miejsca, żołnierzu, dopóki nie wyjdę stąd.

Spears dojrzał trójkę komandosów obserwujących go, jak porusza się po platformie.

- Jezu Chryste - wyszeptał jeden z nich.

Musiał przypuszczać, że Spears go nie usłyszy. Ale usłyszał. Zanotował to sobie w pamięci. Nielojalność jest wszędzie. Nawet wśród tak zwanych najlepszych.

Wyciągnął rękę i dotknął czaszki kolejnego obcego, by uspokoić się, zanim ponownie podniesie pistolet do znakowania. Z tymi żołnierzami nie będzie problemów. Będą robić to, co im rozkaże królowa, a on potrafi kontrolować królową.

Błyszcząca zieleń wtopiła się w głowę nowego rekruta. Semper fidelis. Już nigdy nie będzie to prawdą - ten komandos zawsze będzie posłuszny. Będzie perfekcyjnym żołnierzem. Doskonałym.

## ROZDZIAŁ 15

Jeden ze sprzymierzeńców Powella przyszedł tuż za Wilksem i Billie. Także był uzbrojony w karabin. We dwójkę nie mieli problemów ze schwytaniem czterech mężczyzn i jednej kobiety - zdeklarowanych zwolenników Spearsa. Tak przynajmniej myślał o nich Powell. Wilks nie do końca ufał majorowi, ale w tym przypadku wybór był prosty. Powell nie był mściwym zabójcą.

- Co to za idiotyzm, sierzancie? - spytał jeden z pojmanych żołnierzy.



- Zmiana warty - padła odpowiedź. - Najprościej mówiąc: Spears poszedł w odstawkę. Na jego stołku jest teraz Powell. Coś się nie podoba?

Piątka komandosów spojrzęła po sobie. Potem wszyscy popatrzyli na broń, którą Wilks trzymał gotową do strzału.

- Złamałeś kilka przepisów naraz, sierżancie - odezwała się kobieta - Spears wytnie ci w dupie nową dziurę.

- Tak? Jak długo zamierzasz nie przekroczyć jednego z przepisów generała i nie skończyć jako przekąska dla jego pupilów? - spytał Wilks. - Znałeś tych ludzi, którzy teraz wiszą tam, u potworów?

Machnął ręką w stronę ściany po lewej stronie. Za nią znajdowała się komora królowej.

Widać było, że to ich poruszyło. Gdyby Spears wrócił i odzyskał kontrolę nad bazą, siedzieliby głęboko w gównie. Był niezwykle pamiętliwym człowiekiem. Z drugiej strony, jeżeli Powell jest nowym honczo, to nie odda ich na pożarcie

obcym. Sprytny komandos siedziałby cicho i czekał na rozwój sytuacji.

Ale sprytny komandos pomyślałby też, że droga do komory królowej w charakterze zapasu protein dla nowego wojska Spearsa to tylko kwestia czasu. Szybko można się o tym przekonać, jak trójka dezerterów. Tylko podpadniesz i cię nie ma.

Ten naprzeciwno ma karabin. Nawet głupi komandos wie, że śmierć w nieokreślonej przyszłości jest lepsza od natychmiastowej.

- Wygląda na to, że to twoje przedstawienie, sierżancie odezwał się jeden z żołnierzy.

- No właśnie. Chodźmy już na mały spacer, co?

Światła zamrugały i rozległ się dźwięk hermetycznych kłap opadających w swoje leża. To z pewnością działanie Buellera. Oświetlenie awaryjne zaświeciło się prawie natychmiast. W ciągu pół sekundy, może nawet szybciej. Niestety ta krótka chwila wystarczyła największemu z jeńców, by spróbował wykorzystać ciemności. Skoczył na Wilksa.

W pierwszym odruchu sierżant chciał zastrzelić frajera. Był to mężczyzna potężny, ale powolny i Wilks miał dużo czasu, by go trafić. Lecz zabicie żołnierza tylko za to, że źle pojmował swe obowiązki, nie trafiało do przekonania komuś, kto całe prawie życie spędził w korpusie. Robił to już wcześniej i nienawidził tego.

Zrobił mały krok w lewo i wyrzucił w górę nogę w potężnym kopnięciu, które trafiło atakującego w żołądek. Uderzenie pozbawiło żołnierza tchu i pozwoliło sierżantowi na wyprowadzenie drugiego ciosu, tym razem w prawe kolano. Chrupnęła kość i wielki komandos zwałił się na podłogę, przeklinając z bólu.

Lojalny Powellowi żołnierz podniósł do oka karabin i wycelował w pozostałą czwórkę.

- Nie strzelać! - krzyknął Wilks. - Nie potrzeba nam trupów.

Uzbrojony mężczyzna zerknął w stronę sierżanta.

- Mój człowiek jest w kontroli życia - powiedział Wilks. Jeżeli cokolwiek stanie się ze mną, straciecie ciepło i powietrze. Jesteście tu zakorkowani bez kodów wyjścia. Kto chce się udusić, może mnie zabić.

Żeby pokazać, że nie obawia się tego, opuścił broń. Czwooro komandosów popatrzyło na siebie niepewnie. Co innego zginąć szybko w walce, a co innego leżeć na podłodze i wciągać powietrze coraz bardziej przesycone dwutlenkiem węgla. Niezbyt przyjemny sposób na umieranie.

Nikt więcej nic nie robi, sierżancie. Możesz być pewny. - To dobrze. Pomóżcie temu pajacowi i idziemy. Wspaniale. Jak dotąd szło dobrze. Wilks miał nadzieję, że dalej pójdzie równie łatwo.

Billie zauważyła, że Wilks zdaje się panować nad sytuacją. Przechodzili przez kolejne drzwi. Sierżant wyjmował magnetyczną kartę i wkładał do czytnika. Za jedną z kłap czekała trójka mężczyzn, ale Wilks wysłał naprzód jednego ze schwytych komandosów z rękami podniesionymi w górę, żeby wyjaśnił tamtym sytuację. Wybór był prosty: oddanie broni



albo zamrażanie w ciemnościach pozbawionych na dodatek powietrza. W zapale akcji musiał zapomnieć, że obiecał Billie dać karabin, bo jak dotąd nie dostała żadnej broni. Nie było tu jej zbyt wiele, parę karabinów i kilka pistoletów. Z pewnością Spears nie lubił, kiedy jego ludzie włączyli się po bazie z naładowaną bronią. Mogła przecież najść kogoś pokusa strzelenia do niego z za węgla.

Dotychczas udało im się zgromadzić około trzydziestu ludzi, z czego połowa była lojalna generałowi. Tak twierdził

Wilks. Wydawało się, że odróżnia ich za pomocą tajemniczego instrumentu, który nosił ze sobą. Interesujące.

- Dokąd idziemy? - spytała go Billie.

- Do Centralnej Montowni - odpowiedział. - Trzeba rozdzielić to bractwo na swoich i przeciwników. Powell mówi, że w bazie jest stu siedemdziesięciu pięciu komandosów, czterdziestu ośmiu naukowców, parę androidów i piętnaście robotów pomocniczych. Spears ma ze sobą pluton - dwudziestu pięciu ludzi. Nie możemy zostawić nikogo biegającego tu na wolności. Mógłby narobić kłopotów.

- Dużo ludzi do odszukania - stwierdziła zaszępiła. - Parę setek.

- Było więcej. Powell mówił, że było tu prawie pięćset komandosów. Domyślasz się, gdzie jest ponad połowa z nich? Billie nagle poczuła suchość w gardle. Przełknęła ślinę.

- Razem z kolonistami Spears dał obcym na pożarcie ponad czterystu ludzi.

- Boże!

- Powiedziałbym, że jest gorszy od diabła, gdybym w niego wierzył.

Billie zamrugnęła i pomyślała o człowieku, który posłał tylu przedstawicieli swojego gatunku na tę okropną śmierć. Musi być szalony.

- Z pewnością jest - odezwał się Wilks.

Stwierdziła ze zdumieniem, że od dłuższej chwili głośno myślała.

- Ale nie martw się. Zamierzamy to skończyć. Powell twierdzi, że medycy, którzy są po naszej stronie wiedzą, jak szybko załatwić się z obcymi. Możemy ich zgasić jak światło - strzelił palcami - o tak szybko. Gdy tylko zamkniemy wszystkich lojalistów, zamienimy tę bazę w cmentarzysko potworów. Nieco gorzej wygląda sprawa wytwórni powietrza, ale coś wy

myślimy. W najgorszym wypadku zrobimy małe nuklearne bum!

Jedna ze schwytych kobiet odwróciła się i krzyknęła:

- Nie możecie tego zrobić! Ta wytwórnia jest warta miliardy! I potrzebujemy tlenu!

- Siostrze, ta planetoida jest stracona. Nawet gdybyśmy ją całą upiekli, to i tak jakiś obcy mógłby zakopać się gdzieś głęboko. One mogą bardzo długo żyć bez pożywienia, wody, nawet bez powietrza. Mogą trwać całe lata, czekając na głupca, który tu wylądował. Najlepsze, co możemy zrobić, to zabić je wszystkie, wystartować na sterylnym statku i zniszczyć planetę.

- I pozwolić, by Ziemia została opanowana i zniszczona przez potwory? Stracić jedyną szansę na jej odzyskanie? Wilks popatrzył na kobietę.

- Kupiłaś to gówno, co? Myślisz, że Spears zamierza oczyścić naszą Ziemię z pomocą setki potworów?

- On wie, co robi. Sierżant pokręcił głową.

- Ruszaj, siostrze. Skoro w to wierzysz, jesteś tak samo stuknięta jak on.

Spears nauczył się, że sytuacja, w której się znalazł, często pozostaje poza ludzką kontrolą. Kiedy schwytała ich burza magnetyczna, nie było możliwości dostania się do bazy. Generał pogodził się z tym i nie marnotrawił czasu. Opracowywał komputerowe scenariusze walk, znaczył nowych żołnierzy, a teraz stał w nie używanym korytarzu. Na jego końcu znajdowała się miękka płyta przeznaczona na kulochwyt. Nie była to nowoczesna,



holograficzna strzelnica, ale ciągle spełniała swe zadanie. Żołnierz stał w ukryciu o dziesięć metrów od generała i ciskał w powietrze metalowe puszkę.

Generał trzymał dłoń zaciśniętą na rękojeści pistoletu tkwiącego w pochwie.

- Rzut! - krzyknął i wyciągnął broń.

Puszka pojawiła się na wysokości oczu i leniwie powędrowała łukiem w stronę sufitu. Była jaskrawo czerwona i duża jak niewielki kosz na śmieci. Poruszała się powoli w małej grawitacji planetoidy. Można było stworzyć tu sztuczne ciężenie, ale wymagało to dobrego programisty do obsługi generatora i wiele czasu.

Generał strzelił. Pocisk trafił w puszkę, kiedy osiągnęła swoje najwyższe położenie. Przy niskiej grawitacji uderzenie pocisku powinno zmieść puszkę z pola widzenia Spearsa. Generał strzelił jeszcze dwa razy, kiedy opadała w dół. Doszedł go słodki zapach, kiedy syrop i miazga owocowa wylały się z podziurawionego naczynia. Grzmot wystrzałów wypełnił korytarz, lecz Spears miał w uszach specjalne tłumiki, które przepuszczały normalne dźwięki, a powstrzymywały wszelkie odgłosy o natężeniu większym od osiemdziesięciu decybeli.

- Dobry strzał, panie generale - usłyszał głos niewidocznego komandosa.

Generał zachichotał. Gówno prawda. Na pół ślepy żołnierz trafiłby z tej odległości w cel tak duży jak ta puszkę. Następnym razem weź mniejszą żołnierz. Gotowy... rzucaj!

Strzały zadudniły w pustej przestrzeni. Wszystkie trafiły w kolejną puszkę, tym razem żółtą, wielkości głowy człowieka. No, teraz były to rzeczywiście dobre strzały.

Powell dołączył do Wilksa i Billie w Głównej Montowni. - Majorze?

- Mamy wszystkich ludzi Spearsa z wyjątkiem tych, których zabrał ze sobą - oznajmił Powell.

- Jesteście trupami, majorze - odezwał się najwyższy rangą jeniec. - Generał zgniecie was jak pluskwy, kiedy wróci.

- Może, ale zaryzykujemy. Mam zamiar dać wam szansę. Ci, którzy zostają wierni generałowi Spearsowi i jego chorym marzeniom, przejść na lewo. Ci, którzy zgadzają się słuchać moich rozkazów, zanim nie skontaktujemy się z Dowództwem Sektora, zebrać się po prawej, przy ścianie od strony rufy.

Doki i miejsca, gdzie cumowały statki, były większe, ale to pomieszczenie stanowiło normalne miejsce spotkań. Dwie setki ludzi zaszemrało, potem utworzyło kłębiący się tłum rozprawiający i gestykułujący gwałtownie. Musieli wymienić między sobą dręczące ich niepewności:

- Powell postradał zmysły i...

- Nie chcę wisieć jako żarcie dla potworów... - Co jest zgodne z prawem, sierżancie...?

- Tak czy owak jesteśmy straceni... - Ech, pieprzyć to. Idę z majorem...

Wilks przyglądał się mężczyznom, kobietom i androidom. Roboty się nie liczyły, nie miały statusu Sztucznych Osób. Androidy nie miały również wyboru bo zostały zaprogramowane do wykonywania rozkazów tego, kto dowodzi. Spears odszedł, Powell był teraz najwyższy rangą. Ludzie z wolna podzielili się na dwie grupy z grubsza o tej samej liczebności. Stanęli po przeciwnych stronach pomieszczenia. Na stronę Powella przeszła większość naukowców. Może ich częste kontakty z obcymi nauczyły ich czegoś. Również większość zwykłych żołnierzy stanęła przy ścianie od strony rufy, podczas gdy oficerowie - paru kapitanów i poruczników - a także większość podoficerów, pozostała przy Spearsie. To było typowe. Sierżanci żyli zwykle od akcji do akcji i bardziej wierzyli w wojskową dyscyplinę niż w jakiegokolwiek mrzonki. Oficerowie zwykle trzymali się razem, bo... byli oficerami.

- Nie przypuszczałem, że tak wielu będzie przy nim obstawać - stwierdził cicho Powell.



- Do diabła, ja nie wierzę własnym oczom, że tak wielu jest z nami - powiedział Wilks. - Co zrobimy z tamtymi?

- Wsadzimy ich pod klucz. Będzie im trochę ciasno, ale musieli się tego spodziewać.

- Co z niepewnymi?

- Będziemy ich pilnować - zdecydował Powell. - Z wyjątkiem ciebie i jeszcze kilku, nie wierzę żadnemu na tyle, żeby dać im broń.

Wilks skinął głową. - Zgadza się.

- W porządku. Wszyscy przy tamtej ścianie, macie wrócić do swych normalnych zajęć. Wkrótce zostaniecie zatwierdzeni. Wasze komunikatory mają być włączone bez przerwy. Dostaniecie przez komputer wiadomość, gdzie macie się zgłosić. Będzie trochę zamieszania, ale postaramy się utrzymywać wszystko w ruchu.

- Co z generałem? - odezwała się Billie.

- Hmm - mruknął Wilks - czy macie tu jakąś broń przeciwlotniczą?

- Nic z tego - odpowiedział major. - Nie spodziewaliśmy się nigdy ataku z powietrza. Niektóre pelzaczki i skoczki mają zamontowane lekkie karabiny maszynowe kalibru 20 mm.

- Wystarczy, by ściągnąć na ziemię mały transportowiec zauważył sierżant. - Lepiej pošlij kogoś zaufanego, kto potrafi strzelać. Najlepszym sposobem zatrzymania Spearsa będzie zestrzelenie go, zanim dowie się, że ma kłopoty.

- Wolałbym go schwytać żywcem - stwierdził Powell.

- Z całym szacunkiem, majorze. Spears będzie niebezpieczny tak długo, jak długo pozostanie przy życiu. Jeżeli znajdzie się tu ponownie, będzie miał armię zwolenników równie liczną jak nasza. Dodać do tego trzeba jego umiejętność kontrolowania obcych, prawda? Sam powiedziałeś, że królowa jest mu posłuszna.

Powell westchnął głośno. - To prawda.

- Nie lubię gubić dobrych komandosów. Musiałem już to kiedyś robić i wolałbym nie powtarzać. Lecz do takich celów mnie wynajęłeś, majorze. Do brudnej roboty. Mam rację?

Major przymknął na chwilę oczy i pokiwał z rezygnacją głową.

- Tak.

- No i dobrze. Ty rządysz bazą, majorze, a ja zajmę się Spearsem.

Powell znowu kiwnął głową i Wilks odwrócił się, by odejść. Major wolałby nikomu nie wydawać rozkazu zastrzelenia generała, ale mógł stać z boku i pozwolić to zrobić Wilksowi.

- Idziemy, Billie. Będę się lepiej czuł, gdy będziesz ze mną. - Co z Buellerem?

- W porządku. Będzie siedział tam, gdzie dotychczas, dopóki nie będziemy wiedzieli, co jest co.

- Dokąd idziemy?

- Przygotować powitanie dla Spearsa. Kiedy go tu nie ma, możemy uśpić wszystkie jego zwierzaki.

Billie pokręciła głową. - Dzięki Bogu.

- Nieważne dzięki komu. Idziemy.

## ROZDZIAŁ 16

- Burza minęła, panie generale. Możemy startować, kiedy pan zechce.

Spears kiwnął głową na potwierdzenie i podniósł w górę palec w czymś w rodzaju salutu.

- Ładować się.

Ludzie pobiegli do skoczka. Spieszno im było opuścić to przeklęte miejsce. Wytwórnia powietrza należała teraz do obcych, a ludzie po prostu się ich bali. A przecież dopóki byli potrzebni generałowi, nie mieli się czego obawiać. Niebawem mogło się to zmienić, ale nie w tej chwili. Dobry dowódca nie marnuje niczego co może być jeszcze potrzebne.



Spears wdrapał się na pokład transportowca i przeszedł do kabiny sterowniczej. Pilot włączył już wszystkie systemy, albo może trzymał je cały czas w gotowości. Spears uśmiechnął się.

- Startujemy - rozkazał.

Pojazd zadrzał z wysiłku i uniósł się w górę. Podmuch wyczyścił lądowisko z najmniejszego pyłku. Ruszyli powoli do przodu. Kiedy wydostali się już z hangaru, mały statek powietrzny pomknął jak strzała do dalekiego celu.

- Nie słyszę naprowadzania - odezwał się generał:

- Prawdopodobnie jakieś pola resztkowe. Zawirowania mogą powodować zakłócenia. Nie jest to niczym niezwykłym po takiej burzy.

- Nasz komunikator działa?

- Wszystkie systemy świecą na zielono, więc tak, panie

generale. - Wezwij Trzecią Bazę. Sygnał kodowany. - Tak jest.

Pilot przesunął palec po wrażliwej na ruch poprzeczce kontaktu, a potem dotknął guzika obok.

Generał przyglądał się tym czynnościom. Czekał.

- Jest odpowiedź, panie generale - odezwał się pilot. Przyjęte, potwierdzone, zielony i zielony.

Spears potarł kciukiem policzek. Natrafił na punkt, gdzie wyrwał ostatnio kilka włosków. To był tylko mały pieprzyk, ale nawet takie małe znamię może przynieść ci śmierć.

-Wywołaj ich ponownie. Podaj kod 096-9011-D jak delta. - Panie generale? Nie rozpoznaję tego kodu...

- To było do przewidzenia, synu. Zrób po prostu, co ci kazałem.

- Tak jest.

Pilot wystukał cyfry.

Skoczek miał wiele holoprojektorów. W chwilę po przesłaniu kodu powietrze nad konsolą zawirowało przez chwilę, potem pojawił się kolor bladego błękitu. Czysty sygnał.

- Patrzcie, patrzcie - powiedział generał. - Mamy w domu jakieś kłopoty.

- Panie generale, tam nic nie ma. - Dokładnie tak.

Pilot wyglądał na zakłopotanego.

- Nie znasz, synu, historii o psie, który nie szczekał? Pilot pokręcił głową.

- Dawno temu, na Ziemi, żył sobie znany badacz zbrodni. W czasie rozpatrywania jednego z przypadków powiedział: "Jest to sprawa psa szczekającego w nocy." Jego asystent, który zbierał wszelkie dane, zauważył: "Ale pies przecież nie szczekał." Detektyw odpowiedział: "No właśnie."

Pilot wyglądał, jak ktoś zbudzony po pięćdziesięcioletnim śnie. Spears potrząsnął z niezadowolaniem głową.

- Sygnał nie powinien być czysty. Taki jak ten oznacza kłopoty.

- Aha. Rozumiem.

To, czy zrozumiał rzeczywiście, nie miało najmniejszego znaczenia. Generał nie był tak głupi, by zostawiać bazę bez odpowiednich zabezpieczeń. Czas sprawdzić następne. Zawsze istniało prawdopodobieństwo, że burza uszkodziła coś w skomplikowanej elektronice urządzeń,

- Posadź tu gdzieś nasz transportowiec - powiedział do pilota.

- Panie generale?

- Mały trik. Nie obawiaj się.

Wilks nałożył hełm ubrania próżniowego. Ogrzewacze pełzacza działały tak słabo, że można było odmrozić sobie uszy. Billie siedziała w fotelu drugiego operatora i czekała na polecenia.





- W porządku. Musimy przyjąć, że ich pojazd ma taką samą siłę ognia co nasz. W takim przypadku musimy strzelić pierwsi. Broń jaką mamy jest podobna do tej, jaka była na ładowniku, kiedy byliśmy na ojczystej planecie obcych: działka kierowane przez roboty, 20-milimetrowe uranowe ładunki przeciwpancerne. Wszystko, co musimy zrobić, to wprowadzić opis celu, jako... - Wilks przycisnął kilka klawiszy podając specyfikację lekkiego skoczka wojskowego - włączyć system, o tutaj... - podniósł zabezpieczenie i przycisnął guzik. Zaświeciła się lampka kontroli ognia

- Jeszcze kod bezpieczeństwa...

Zaświecił się ekran monitora. Błysnęły na nim jaskrawe litery: UZBROJENIE. SYSTEM W GOTOWOŚCI BOJO

WEJ. - To jest to. Odtąd wszystko będzie przebiegać automatycznie. Kiedy statek pojawi się w zasięgu wykrywaczy, nasz system zestrzeli go.

- Razem z nim jest dwudziestu pięciu żołnierzy - przypomniała Billie. - Czy słyszałeś kiedyś wyrażenie: "spalić coś razem ze szczurami"?

- To zależy o jaki rodzaj szczurów chodzi, dziecko. Ci faceci są po jego stronie. Nie myśl o nich czy o ich rodzinach. Nie myśl o niczym takim.

- To zimne, wyrachowane okrucieństwo.

- Wojna jest okrutna, Billie. Ludzie umierają. Czasem trzeba dokonać wyboru: ty czy oni. Jeżeli Spears zdoła się tutaj dostać i uwolnić lojalnych sobie ludzi, reszta zostanie posłana w charakterze papu dla mamusi i małych dzieciątek. W doskonałym świecie nie byłoby miejsca dla żołnierzy i komandosów. W tym realnym są potrzebni.

Pomimo tego, co czuła, Billie potakująco skinęła głową. Miał rację. Czuła to. Sama wcześniej zabijała zarówno androidy, jak i ludzi. Pamiętała napastnika, który zaatakował ich statek. Nie do końca się zgadzała z Wilksem, ale miał cholerną rację.

- Skoro działka są automatyczne, to po co tu siedzimy? Wzruszył ramionami.

- To tak jak z pilotem na transportowym statku kosmicznym. Na wypadek, gdyby coś poszło źle. Może spaść napięcie prądu, coś może przestać działać, może działa trafią w skoczka, ale ktoś z niego ucieknie i przedostanie się tutaj. Musimy być w pogotowiu.

Billie zdusiła westchnienie. Ludzie czuwający nad działaniem maszyny niosącej śmierć. Czasem zastanawiała się, czy ludzie są lepsi od obcych. Tamci byli zabójcami, ale raczej na sposób mrówek czy pszczoł. Potwory szukały zdobyczy, pożywienia, nie rozrywki. Wątpiła, czy potrafią planować pułapki na przedstawicieli swojego gatunku.

Jednak nie chciała zostać obiadem dla jakiejś bestii. Kilka razy była już tego bliska. Ludzie, jak Spears i tamci na Ziemi, którzy łapali innych dla królowej, byli obłąkani. Trzeba zrobić wszystko, żeby ich powstrzymać. Chciałaby, tylko żeby nie musiała tego robić ona.

- Generale, przynęta jest już dziesięć kilometrów od nas. Spears spojrzął na ekran komputera i odwrócił się od pilota.

- Działaj jak zwykle.

- Tak jest.

Pojazd, w którym teraz się znajdowali, miał przytęchły zapach starego, zepsutego powietrza, ale wszystko pracowało jak należy. Generał wiedział, skąd pochodzi ten odór. Zapasowy pojazd stał w wytwórni powietrza przez dłużej niż rok, zaparkowany i zabezpieczony, czekający na taką okazję jak ta. Skoczek, którym przylecieli z bazy, znajdował się teraz daleko przed nimi. Był pusty i zdalnie kierowany przez człowieka, który zwykle go prowadził. Drugi pilot sterował pojazdem, w którym się znajdowali, i utrzymywał takie same parametry ruchu jak pierwszy. Nie było to właściwie konieczne - ten statek miał przewagę nad przynętą lecącą przed nimi. Miał zamontowane specjalne osłony, które czyniły go niewidzialnym dla radaru i Dopplera, a czarno oksydowana powłoka ukrywała go prawie całkowicie także przed ludzkim okiem i przyrządami optycznymi. Gdyby jednak czapka



niewidka miała źle funkcjonować, to i tak leniwy operator radaru zobaczyłby dwa echa zamiast jednego. Pomyślałby, że to normalne zjawisko podwójnego odbicia.

- Pięć kilometrów, panie generale.

- Teraz spokojnie, synu.

To mogła być przesada, ale generał nauczył się, że lepiej być ostrożnym niż martwym. Było jeszcze tyle rzeczy do zrobienia. Świat czekał, by go podbić, chwalała by ją zdobyć, wojna, by ją wygrać.

Uśmiechnął się do siebie. A zwycięstwo zaczyna się w domu, czyż nie?

- Nadlatują - powiedział nagle Wilks. - Tu na samym dole. Mały zielony punkcik pełził po ekranie radaru w kierunku jego środka. Po chwili zaczął pulsować, zmieniając kolory od zieleni do bursztynu.

CEL WSTĘPNIE ROZPOZNANY - zabłysło na dole ekranu.

- Zaczyna się gra - szepnął sierżant.

Punkt rozpalił się jaskrawą czerwienią.

CEL POTWIERDZONY. WPROWADŹ KOD ZAPRZESTANIA OGNI, JEŻELI CHCESZ PRZERWAĆ AKCJĘ.

Wilks zerknął na Billie. Potrząsnęła głową.

- Wszyscy są twoi - mruknął sierżant, chociaż wiedział, że komputer i tak go nie zrozumie.

Pulsujący punkt rozszerzył się i przybrał kształt oczka. Błękitna siatka pojawiła się w rogu ekranu i wkrótce pokryła sylwetkę pojazdu. Pierścień w środku siatki zlewał się z obrysem celu.

SZEŚDZIESIĄT SEKUND DO OPTYMALNEGO DYSTANSU.

Zaczęło się odliczanie od sześćdziesięciu w dół.

Wilks obserwował dziewczynę. Wzrok miała wlepiony w ekran i mrugała gwałtownie. Dyszała ciężko. Kiedy do otwarcia ognia zostało jeszcze trzydzieści sekund, odezwała się:

- Jezu, czuję się, jakbym patrzyła na egzekucję.

- Bo tak właśnie jest.

PIĘTNAŚCIE SEKUND DO OPTYMALNEGO DYSTANSU.

Wilks przycisnął jakiś guzik i wyłączył monitor zewnętrznej kamery.

Zobaczyli najeżoną gwiazdami ciemność.

- Jest tam - zamruczał Wilks bardziej do siebie niż do Billie.

Małeńki punkcik przesuwiał się powoli na granicy widoczności.

PIĘĆ SEKUND DO OPTYMALNEGO DYSTANSU.

Hydraulika działek cicho szumiała, gdy lufy wodziły powoli za celem.

OPTYMALNY DYSTANS. ROZPOCZĘCIE OGNI.

Działka były bezodrzutowe, więc siedzący w środku pełzacza ludzie nie poczuli mocnych wstrząsów. Jednak broń wibrowała i oboje czuli się, jakby dostali drgawek. Próżnia na zewnątrz nie przenosiła dźwięków, ale powietrze wewnątrz robiło to nienajgorzej. Odgłos był taki jak przy rozdzieraniu grubego betonu. Co dziesiąty pocisk był smugowy, a działka strzelały tak szybko, że widać było jedną świetlną smugę kolorowego ognia biegnącą ku nadlatującemu skoczkowi. Komputer przeliczał błyskawicznie wszystko: prędkość celu, ciężenie, prędkość ciężkich uranowych pocisków. Nie było mowy, by spudłować.

Żaden pocisk nie chybił.

Opancerzenie pojazdu nie było wystarczającym zabezpieczeniem. Nawet ogień zwykłego karabinu maszynowego mógł je przebić. Wilks widział iskry, które powstawały przy uderzeniu pocisków o powłokę i inne, tworzące się, kiedy pojawiły się pierwsze płomienie.



Smugi trafiły w skoczka, niektóre dotarły do silnika i zniszczyły go. Pojazd stracił moc i stabilność. Opadał powoli w polu niewielkiego ciężenia jak zepsuta zabawka, którą rzuciło znużone dziecko.

- Boże! - wykrztusiła Billie.

Wilks patrzył. Nie pojawił się żaden uciekinier. To wyglądało zbyt prosto. Do zobaczenia w piekle, Spears.

- Panie generale, przynęta dostała się pod ogień.

Spears pokiwał z zadowoleniem głową.

- Ustaw parametry ognia na naszą baterię.

- Będziemy musieli pozbyć się osłony.

- To nie ma już znaczenia. Niebawem będziemy ich mieli.

Obaj piloci rzucili się wykonać rozkaz.

"Musi się za tym kryć Powell - pomyślał Spears. - Powiniem się domyśleć, że jednak masz jaja, chociaż nie masz kutasa, ty skurwysynu. Ale jeżeli zdecydowałeś się grać z najlepszymi, musisz być lepszy niż oni, majorze. Mam zamiar własnymi rękami nakarmić królową twoim ścierwem."

Skoczek schodził w dół, rozsiewając podsycane tlenem płomienie, które gasły jednak szybko w prawie całkowitej próżni. Statek uderzył o grunt, podskoczył, uderzył raz jeszcze, wysyłając w górę strzępy rozerwanego metalu. Mała grawitacja pozwoliła polecieć niektórym z nich na całkiem sporą odległość. Ci cwaniacy od sztucznej grawitacji powinni jednak przyłożyć się do roboty. Zewnętrzna kamera przybliżyła obraz. Wilks nie dostrzegł żadnych ciał, ale przypuszczał, że wszyscy pasażerowie zostali w środku przypięci do swych foteli. Widok martwych ciał porzrzucanych na powierzchni planetoidy nie był czymś, co sierżant chciałby oglądać.

Adios, generale.

**POJAWIŁ SIĘ NASTĘPNY CEL - błysnął napis na monitorze - OPTYMALNY DYSTANS: MINUS TYSIĄC METRÓW. ROZPOCZĘCIE OGNIA.**

Wilks podskoczył. Wpatrzył się w monitor i w ciągu sekundy odnalazł radarowy obraz zbliżającego się celu. Musieli mieć drugi pojazd.

- Cholera! Zakładaj hełm! Ruszaj się! Uciekamy stąd, już!

Opuścił swoją osłonę twarzy, chwycił Billie za rękę i pociągnął ją za sobą. Wspieli się do wyjścia. Sierżant przycisnął guzik, zamek otworzył się.

Byli już na zewnątrz, kiedy pierwszy pocisk wyrwał dziurę w powłoce pelzacza.

17.

Spears obserwował, jak twarde zęby pocisków z jego karabinów rozrywają pelzacza na strzępy. Czuł swoistą satysfakcję z powodu wyprowadzenia przeciwnika w pole. Nie dał się schwytać w pułapkę, nie dał się oszukać.

Ostrzeliwany pojazd trząsł się od uderzeń, drżał i podskakiwał. Odległość była na tyle mała, że kamery dostrzegły dwie sylwetki żołnierzy opuszczających statek i uciekających jak najdalej od niego.

- Zabić ich - rozkazał generał.

Gdyby trochę się zastanowił, może wydałby inny rozkaz. Przecież nowe wojsko stale potrzebuje pożywienia i pojemników na swoje poczwarki. Ale komenda padła, a on nie był człowiekiem, który cofa swe rozkazy bez ważnego powodu. Unieważnienie rozkazu zawsze źle świadczy o dowódcy, czyni go niezdecydowanym w oczach innych. Nie ma znaczenia, że



jego ludzie i tak szybko zapomnieliby o tym - Spears sam nie chciał się czuć człowiekiem niepewnym.

Pełzacz kontynuował swój konwulsyjny taniec pod kulami, a dwójka uciekinierów ciągle biegła.

- Czy nie wyraziłem się jasno? - powiedział generał zimnym spokojnym głosem.

- N... nie, pa.. panie generale. Ale komputer jest ustawiony na pełzacz. Muszę go przestawić na człowieka.

- Więc zrób to.

- Tak jest.

Palce pilota pobiegły po klawiaturze.

Karabiny maszynowe zaszumiły i zaczęły celować w biegnące sylwetki.

Za późno. Para ludzi dotarła bezpiecznie do bazy i zniknęła z pola widzenia.

- Przykro mi, panie generale.

- Nieważne. Pełzacz jest zniszczony i to było najważniejsze. Zniszczyć inne statki na lądowisku.

- Panie...

- Ostrzelaj je. Nie chcę dostać ognia w plecy i nie chcę zostawić przeciwnikowi żadnego sprawnego pojazdu.

Pilot skinął głową.

- Tak jest.

Podstawową zasadą walki jest zniszczenie przeciwnikowi takiej ilości sprzętu, by nie mógł go na czas naprawić lub odbudować. Spears kontrolował przestrzeń i zamierzał utrzymać swoją przewagę. Na razie Powell uważał, że jest bezpieczny w bazie. Nie wiedział o drogach wiodących do wnętrza. Mądry oficer nie pozwolił sobie na zablokowanie wszystkich wejść czy wyjść. Powell nie był mądry. Spears był.

Billie dyszała ciężko. Ubranie próżniowe nie było przeznaczone do biegania i tak szybkiego zużycia tlenu. Lecz wreszcie byli w środku. Bezpieczni.

Wilks zdążył już do połowy rozebrać się ze skafandra. Po chwili podszedł do komunikatora wiszącego na ścianie luku. Uruchomił go.

- Tu Wilks. Mamy niespodziankę. Spears wysłał pustego skoczka. Sam przyleciał drugim. Nasz pełzacz zniszczony. Jesteśmy w luku południowym. Billie, co się dzieje na zewnątrz?

Dziewczyna podeszła do kłapy i uruchomiła kamerę obserwacyjną. Zaświeciła się niewielka holoprojekcja. Kurz unosił się wokół pojazdów na lądowisku. Błysnęła pojedyncza iskra na powłoce jednego z pełzaczy, a stojący obok skoczek runął nagle na bok.

Billie odwróciła się od sierżanta.

- Właśnie rozwalili nam wszystkie pełzacze i skoczki.

- Słyszałeś? - rzucił Wilks do komunikatora.

Głos Powella rozlegający się przez głośnik był wyraźnie zdenerwowany:

- Boże. Co teraz mamy robić? On może obłupić bazę jak skórkę z banana!

- Nie zrobi tego - nie zgodził się sierżant. - Nie będzie chciał ryzykować strat wśród obcych. Jednak z pewnością ma jakiś plan ataku. Źle go oceniliśmy. Skoro, zdecydował się wysłać przynętę, musi dużo wiedzieć i zna sposób dostania się do bazy. My nie wiemy co planuje. Uzbrój wszystkich, którym ufasz. Szybko. Zabezpiecz wszystkie włązy. Wszystkich, którzy mogliby pomóc Spearsowi pod klucz.

- To nie będzie łatwe, nie jesteśmy pewni...

- Słuchaj, majorze. Jesteśmy pewni czego innego. Jeżeli jakiś cholerny cwaniak otworzy drzwi i wpuści Spearsa, wpadniemy w gówno po uszy. Nie możemy dać mu najmniejszej



szamsy. Gdy istnieje jakakolwiek wątpliwość co do lojalności żołnierza, zamykaj go za grubymi drzwiami..

- W porządku. Zrozumiałem.

Spotkam się z tobą za pięć minut w Centrum Dowodzenia.

Wilks odwrócił się do Billie.

- Generał niszczy nasze możliwości walki w przestrzeni i ucieczki stąd na powierzchnię. To zajmie mu nieco czasu. Chodźmy.

- Dokąd?

- Powell może wydawać rozkazy, ale nie jest liniowym oficerem. Potrzebuje kogoś, kto potrafi powiedzieć mu, co ma robić. Kogoś, komu ufa. Jedną rzecz już spieprzyłem, nie chcę tego zrobić po raz drugi.

- Sytuacja jest taka zła?

- Może być gorsza. Spears może zgromadzić wszystkich swoich żołnierzy w jednym miejscu, a my musimy pilnować każdego wejścia, więc będziemy rozproszeni. Musi jednak przedrzeć się przez luk. Tak długo, jak ędziemy mieli żołnierzy przy wejściach, potrafimy go powstrzymać. Powell ustawił nowe kody i postawił całą bazę w stan alarmu, gdy tylko generał wylądował ze swoimi ludźmi. Przewaga jest ciągle po naszej stronie. Myślę, że możemy ją utrzymać, ale nigdy nie wiadomo. Spears jest niezwykle przebiegły. Dlatego jest generałem, a ja sierżantem. Chodźmy.

Ruszyli biegiem.

- Postępy w akcji? - spytał Spears.

Krew w nim wrzała, czuł się jak myśliwy tropiący niebezpiecznego zwierza. Istniało pewne ryzyko, ale był pewny, że to on wygra.

- Panie generale, wszystkie pojazdy lądowe i przestrzenne są unieruchomione. Wszystkie silniki zniszczone, a systemy zasilania nie działają.

- Bardzo dobrze.

Wewnątrz bazy były jeszcze statki kosmiczne, ale nikt nie może ich użyć nie pojawiając się na powierzchni planetoidy. Jeżeli Powell planuje uciec kosmicznym transportowcem, będzie miał małą niespodziankę. Generał nie dbał nigdy o kody na pełzaczach czy skoczkach - nie było gdzie na nich uciekać. Jednak statki kosmiczne nie mogły się unieść nawet na centymetr bez jego zezwolenia. Ani Powell, anie jego mała grupka buntowników nigdzie nie uciekną. Byli unieruchomieni w bazie i zapewne myśleli, że mają nad nim przewagę. Jakże się mylili.

- Wyląduj na tych współrzędnych - powiedział do pilota.

Wyrecytował kilka cyfr. Żołnierz wykonał rozkaz bez zbędnych pytań. Był to ślepy zaułek opodal Północnego Luku, skąd nie szerszy niż dwudziestometrowy korytarz wiódł do pomieszczeń reaktora bazy. Ogromne aluminiowe i ceramiczne płyty mogły być użyte jako radiatory usuwające z bazy nadmiar ciepła w przypadku awarii. Pluton mógł przejść tędy do dalszych części zupełnie niezauważony. Nie było tu kamer. Nikt nie mógł ich zobaczyć, jak zbliżają się do luku, nikt nie będzie się ich spodziewał, dopóki nie zastukają w drzwi. Powell wprawdzie zmienił kody, jeżeli był tylko wystarczająco przewidujący, ale generał i na to miał odpowiedź.

Kolejną wielką niespodziankę dla nieposłusznych. Nie ma wątpliwości, do kogo będzie należało zwycięstwo. Głównym problemem jest dokonanie tego jak najczyściej, przy jak najmniejszych stratach. Za setki lat będą uczyć taktyki na sytuacjach, które przygotował Spears.

Powell wyglądał, jakby próbował chodzić po ścianach. Ręce mu się trzęsły, był blady, pot pojawił się mu na skroniach i górnej wardze. Z tuzin karabinów leżało na stole, a skrzynki z



amunicją stały obok na podłodze. Kiedy Wilks podszedł do majora, Billie ruszyła do broni. Cokolwiek się wydarzy, nie będzie bezbronna.

Żołnierz stojący przy stole machnął karabinem, jakby chciał ją odpedzić.

- Wilks - Zawołała dziewczyna.

Sierżant odwrócił się.

- Pozwól jej wziąć jeden - powiedział do żołnierza.

Komandos nawet nie spojrział na Powella, by ten potwierdził rozkaz. Wiedział, kto tak naprawdę dowodzi niezależnie od stopnia. Kiwnął głową na znak, że rozumiał. Billie wzięła karabin, sprawdziła go. Komora nabojoya była pusta. Wyjęła ze skrzyni magazynki i wcisnęła go na właściwe miejsce. Potem zabrała jeszcze trzy, każdy po sto ładunków przeciwpancernych, i włożyła po jednym do każdej kieszeni. Trzeci wsadziła za pas. Mając czterysta strzałów mogła teoretycznie zabić wiele potworów pod warunkiem, że one nie złapią jej wcześniej. Zarzuciła broń na ramię. Poczua się trochę lepiej. Była uzbrojona.

Wilks i Powell chodzili tam i spowrotem. Łatwo było dostrzec, że z majora zrobił się mały, przerażony gówniarz. Ten człowiek był stworzony do pokoju. Wilks powiedział kiedyś Billie, że powinien być kapłanem albo lekarzem, nie żołnierzem. Cywilizowani osobnicy nigdy nie będą dobrymi wojownikami.

Billie podeszła do komunikatora. Poprosiła o połączenie z Mitchem.

- Tu Bueller.

Nie było wizji, Billie nie wiedziała, jak ją włączyć, ale on z pewnością ją widział.

- Mitch.

- Billie. Co u ciebie?

- Jestem z Wilksem w Centrum Dowodzenia - powiedziała.

- U mnie w porządku.

- Widziałem, jak uciekaliście z pełzacza. Bałem się o ciebie.

- To już przeszłość. Powiedz mi co ty tam robisz?

- Zamierzam zostać tutaj, aż sytuacja się nie wyjaśni. Jeżeli Spears albo jego ludzie dostaną się do środka, będę mógł zrobić parę pożytecznych rzeczy. Zamknąć dopływ powietrza, albo ciepła, wyłączyć światła. To spowolni ich ruchy. Mogę zrobić dużo dobrego.

Billie kiwnęła głową, kiedy dotarło do niej, o czym mówi.

- Rozumiem.

Wilks dawno temu poinformował ją, że androidy zaprojektowane do akcji na planecie obcych nie mogły w warunkach bojowych strzelać do ludzi. Problem z Mitchem polegał na tym, że Zmodyfikowane Prawo Asimova nie pozwalało mu tego robić. Jeżeli nie miał pewności, że tylko zrani człowieka i nie spowoduje to jego śmierci, nie wystrzeli, chociaż potrafi umieścić kulę tam, gdzie zechce. Człowiek mógłby się przecież wykrwawić nawet ze zranionej stopy, a androidowi nie wolno tak ryzykować. Oczywiście, z wyjątkiem tych androidów, które nie są zaprogramowane zgodnie z prawem. A to jest prawie niemożliwe, chociaż Billie wiedziała, że to nieprawda. Większość napastników, którzy zaatakowali ich podczas poprzedniej misji, była sztuczna. I zabijała ludzi.

- Słuchaj, Mitch. Kiedy to wszystko się skończy, musimy usiąść i spokojnie porozmawiać. Nie potraktowałam cię zbyt dobrze, sama nie rozumiem dlaczego, ale chcę się poprawić.

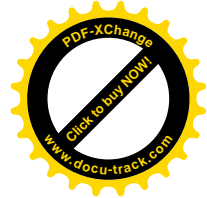
- Dziękuję, Billie. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że to powiedziałaś.

- Żadnych gwarancji. Myślę, że sama dokładnie nie wiem co z tym zrobić.

- Cokolwiek jest zawsze lepsze niż nic.

Poczua niezadowolenie. Ciągle traktowała go tak samo. Jednak myśl o swojej albo jego śmierci była okropna.

- Dobra. Posłuchaj. Muszę już iść. Porozmawiamy później.



- Bądź ostrożna - usłyszała jeszcze. - Nie chcę, żeby coś ci się przytrafiło. Ja...ja...
- Nie mów tego, Mitch. Nie teraz.

Wyłączyła się.

Za jej plecami Wilks i Powell zaczęli krzyczeć na siebie.

- Słuchaj - wrzasnął sierżant ostrym tonem. - Trzymaj te pieprzone włazy pod ciągłą strażą! Zaspawaj je, szczególnie te do rozładunku towarów! Nie wiesz przecież, jakie przyrządy ma ten pieprzony generał. Może mieć dostęp do głównego komputera, nawet będąc na zewnątrz.

- Niemożliwe. System jest zabezpieczony, wewnętrzne modemy zablokowane...

- Do cholery, Powell. Ten człowiek jest żołnierzem, zjadł na tym zęby i już raz nas oszukał. Jeżeli wejdzie się do środka i zacznie działać, umrze wielu ludzi. Nie wiedziałeś o drugim skoczku, prawda?

Szczęki majora napięły się, wargi utworzyły cieniutką kreskę, ale potrząsnął przecząco głową.

- Nie.

- Zapamiętaj sobie, że ma coś więcej niż tylko naszywki. Słuchaj, my jesteśmy samowystarczalni, a oni mają tylko połowe racje żywności i sprzętu. Jeżeli wystarczająco długo potrzymamy ich na zewnątrz, wygramy.

Powell głośno wypuścił powietrze.

- W porządku. Wydam rozkazy.

Wilks kiwnął głową i popatrzył na Billie. Dziewczyna nie wiedziała zbyt wiele o sprawach armii, ale wydawało jej się, że następny ruch należy do Spearsa. Nie podobało jej się to. Ten facet był wariatem. Nikt nie mógł przewidzieć, co zrobi. Można był tylko czekać.

Spears wiódł swój pluton w kierunku Luku Wschodniego. Zdrajcy pewnie stracili skoczka z oczu, kiedy leciał na północ, i teraz spodziewali się ataku z tamtej strony. To prawda, że teraz myślał o czymś więcej. Jeżeli dostanie się do środka bez większych strat, będzie to wyglądało lepiej na historycznych taśmach. Ktoś za sto lat powie: "Cóż to za znakomity dowódca. Jaki przewidujący."

Dotarli do ukrytego miejsca w pobliżu luku. Nikt nie wiedział, że są tutaj. Generał sam założył materiał wybuchowy na zamek. Uważał na wszystko. Używał tylko ręcznej sygnalizacji i łączności przy pomocy wzroku. Radio musiało zamilknąć.

Ładunek założony, ludzie w pogotowiu. Spears wyciągnął specjalny transponder i popatrzył na przykryty osłoną guzik. Nie spodziewał się, że będzie kiedyś w takiej sytuacji, ale teraz nikt nie może powiedzieć, że generał Thomas A. W. Spears został schwytany ze spodniami w garści, kiedy zaczęła się bitwa.

Zdjął osłonę przycisku i przycisnął guzik jednym, stanowczym ruchem. Uśmiechnął się szeroko. Powell i jego banda bohaterów będzie miała się czego bać.

Tak, panowie. Drzwi do komory królowej i krata zabezpieczająca pomieszczenie dwudziestu pięciu robotnic za chwilę staną otworem, a przed nimi pojawi się mały holograficzny obraz Spearsa trzymającego w ręce miotacz.

Generał zachichotał, wyobrażając sobie zdziwienie królowej. Powell też się zdziwił.

- Czas na obiad - powiedział. - Idźcie i weźcie go sobie.

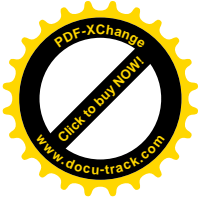
18.

- Skurwysyn! - wrzasnął jakiś człowiek. Zagrzechotały strzały.

W Centrum Dowodzenia Wilks odezwał się cichym głosem:

- Powell...?

- To strażnik przy komorze królowej - poinformował major i nacisnął kilka klawiszy.



Pojawił się kolorowy obraz, holoprojekcja z kamery w korytarzu. Widać było strażnika strzelającego do czegoś, co znajdowało się poza zasięgiem obiektywu.

Powell znów coś nacisnął. Obraz przesunął się nieco. Ukazywał teraz otwarte drzwi.

- O, kurwa! - mruknął Wilks.

Strażnik znów krzyczał. Był to ten sam mężczyzna, który kiedyś żartował sobie z Wilksa i Billie, kiedy chcieli obejrzeć komorę.

Ostro zakończony ogon pojawił się nagle w polu widzenia. Trafił wrzeszczącego żołnierza i przebił mu klatkę piersiową tak łatwo, jak igła przebija cienką tkaninę. Mężczyzna zwiotczał, broń wypadła mu z rąk i stuknęła o podłogę. Masywny ogon naprężył się i odrzucił martwe ciało.

- Słodki Jezu - powiedział cicho Powell.

- Wypuścił królową - odezwał się Wilks. - To Spears.

Zaczęły napływać kolejne raporty.

Królowa miała u boku swoją gwardię.

- Idziemy do statków kosmicznych - zdecydował sierżant.

- Baza jest skażona. Wszyscy będziemy trupami, jeżeli tu zostaniemy.

W końcu jednak plan tego sukinsyna też może spalić na panewce. Będzie miał przynajmniej sporo zabawy zaganiając do komór potwory przy pomocy ludzi, którzy mu zostaną.

Pięć minut do wypuszczenia królowej i jej orszaku na wolność i zachęcenia ich do zabijania wszystkiego na swej drodze Spears machnął ręką i jego ludzie wysadzili włącz. Ładunek wybuchowy rozerwał się bezgłośnie w pozbawionej powietrza pustce, ale metal zamka skręcił się, a tlen z wnętrza luku natychmiast zamarzył w krystaliczny pył.

- Naprzód!

Strażnicy zaczęli strzelać, przynajmniej ci, których wybuch nie pozbawił przytomności. Ludzie generała mieli przewagę zaskoczenia i tylko jeden z nich padł, zanim luk nie został zdobyty. Byli wewnątrz, wróg był w rozsypce, a ich akcja przebiegła niespodziewanie gładko. Wszystkie szczegóły walki były przekazywane do skoczka i nagrywane. Będzie je można potem zmontować, żeby zapewnić ciągłość wydarzeń i zachować dla potomnych oraz heroicznego generała. W końcu nie był jakimś fotelowym dowódcą i nagranie pokaże prawdę.

Właściwie to jeszcze tego nie dokonał. O, nie. Ten, kto stanie mu na drodze, gorzko pożałuje. Jeżeli tylko będzie miał dość czasu, by poczuć cokolwiek.

Machnął na swych żołnierzy, by podnieśli swe osłony twarzy.

- Idziemy - powiedział. - Nie zdejmować skafandrów. Będą chcieli prawdopodobnie zniszczyć nas używając systemu podtrzymywania życia. Idziemy do szóstki. Cisza radiowa nie obowiązuje. I tak wiedzą, że tu jesteśmy - opuścił osłonę i dodał przez radio: - Spróbujcie brać ich żywcem. Strzelać nisko.

Wilks biegł z karabinem gotowym do strzału. Billie i Powell podążali tuż za nim. W powietrzu wibrował dźwięk alarmu. Czerwone światła błyskały na każdym zakręcie. Wszędzie przebiegali spanikowani ludzie. Wykrzykiwali informacje, które i tak były znane większości, ale nikt z nich nie spotkał się jeszcze z najgorszym.

Wilks wiedział, że ci, którzy napotkali obcych, nie mogli już biegać. Spears wypuścił te cholerne bestie, a te szybko wpadły w szal polowania i chwyciły każdego człowieka, który znalazł się w zasięgu ich szponów.

Billie natknęła się na przenośny komunikator i zabrała go.

- Mitch! Mitch, odezwij się! Uciekaj stamtąd, spotkamy się przy statku! Obcy są na wolności! Spears jest w bazie! Mitch!





Jeżeli ją usłyszał, to nie odpowiedział. Sierżant nie miał teraz czasu na zastanawianie się dlaczego.

Obcy pojawił się w korytarzu i ruszył ku biegnącej trójce. Rozwarł swe diabelskie szczęki. Gęsta, lepka ślina ściekała długimi pasmami z ostrych zębów.

- Pieprzę cię - ryknął Wilks.

Podrzucił błyskawicznym ruchem karabin wycelowawszy bez użycia lasera - nie starczyłoby na to czasu - i wystrzelił krótką serię.

Przeciwpancerne pociski trafiły obcego w głowę i rozerwały na kawałki twardą chitynową pokrywę czaszki. Trysnął kwas. Potwór zatoczył się, uderzył o ścianę i osunął się w końcu na podłogę.

Grom wybuchów wdarł się do uszu sierżanta i uderzył w bębny jak ciężka łapa olbrzyma. Poczul ból, który szybko minął. Pozostało tylko uporczywe, głośnie dzwonienie. Powinien założyć ochraniacze. Oczywiście, jeżeli ciągle się obawiasz, że ogłuchniesz na starość, to na pewno się tak stanie.

Płyn na podłodze kipiał i wysyłał w powietrze chmury gryzącego dymu. Szybko wżerał się w gładką podłogę.

- Uważajcie na krew, nie wdepnijcie w nią!

Pobiegli dalej.

Żołnierz wyszedł zza rogu z bronią gotową do strzału. To Spears pierwszy go dostrzegł. Podniósł pistolet i oparł go na palcach drugiej dłoni. Przyjął klasyczną pozycję i wypalił trzy razy. Technika nazwana potrójnym strzałem z Mozambiku. Nazwa wzięła początek od pewnej akcji starożytnej policji w jednym z afrykańskich krajów. Była to standardowa procedura w tamtych czasach: dwa szybkie strzały w serce i jeden w głowę. Zawsze w tej kolejności. Spears podejrzewał, że takie postępowanie spowodowane było kamizelkami kuloodpornymi noszonymi pod zwykłym ubraniem. Technika miała dawać pewność, że cel zostanie zlikwidowany. Ostatni strzał był dodatkowym zabezpieczeniem.

Nieszczęsny komandos nie nosił żadnego pancerza i wszystkie trzy strzały były śmiertelne.

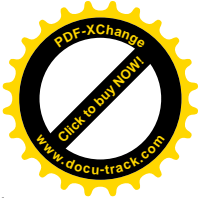
Kiedy upadł, generał poczul coś w rodzaju triumfu, ten rodzaj uniesienia kiedy wychodzisz zwycięsko z pojedynku jeden na jednego. Wróciło stare wspomnienie z czasów, kiedy był chłopcem i pokonał swego pierwszego...

Tommy ukrył się w komórce pomiędzy szczotkami i odkurzacami. Proszki do czyszczenia wywoływały kręcenie w nosie. Chciało się kichać, ale ściśnięcie nozdrzy zapobiegało temu. Na zewnątrz krążył Jerico Axe. Szukał Tommy'ego. Był błyśnięcie i wszyscy powinni jeszcze spać. I dorośli i kadeci byli jeszcze w łóżkach nie Jerico.

Axe był głupim dupkiem i Tommy wiedział o tym, ale znaczyło to tyle, że tamten był wielkim, głupim dupkiem. Tommy był na jego czarnej liście chociaż nie wiedział dlaczego. Zawsze, kiedy w pobliżu nie było nikogo z dorosłych Jerico kopał Tommy'ego gdzie popadało. Tommy bronił się, ale tamten był starszy, dziesięć kilo cięższy i o sześć miesięcy bardziej zaawansowany w sztuce walki. Tommy zawsze zadawał kilka ciosów, raz nawet złamał nos temu kutasowi, ale zapłacił za to złamaną ręką, wybitymi dwoma zębami i piętnastoma szwami nad lewym okiem.

Tommy życzył swemu dręczycielowi wycieczki przez pustynię pod palącym słońcem aż do wyczerpania sił. Życzył mu, by nikt nie znalazł jego ciała, dopóki padlinożercy nie załatwią się z jego ciałem.

Mógłby równie dobrze spodziewać się, że Jerico stanie przed komisją, w której składzie będzie Tommy Spears. Ten dupek nie był aż tak głupi.



Tommy siedział w komórce i miał nadzieję, że jego prześladowca nie zajrzy tutaj. Był zmęczony i chciał znaleźć się w łóżku, żeby nie zostać skopanym przez tego wielkiego półgłówka.

Bose stopy zaklaskały o podłogę tuż za drzwiami kryjówki. Jerico zdjął buty, ale i tak stąpał ciężko jak zepsuty robot i robił dużo hałasu. Tommy usłyszał, że otwiera drzwi do łazienki, żeby zobaczyć czy nie ukrywa się tam jego ofiara.

Cholera. Mógł zajrzeć tutaj. Właściwie nie było tu miejsca, gdzie naprawdę można by się schować z wyjątkiem ogromnego kosza na odpady. Pewnie, gdyby tak zakopał się w śmieciach i przykucnął na dnie pojemnika, Jerico nie zobaczyłby go.

Tommy wstał i zaczął przekładać nogę przez krawędź kosza, ale nagle zatrzymał się. Ogarnęła go niepowstrzymana wściekłość, gorący gniew zawrzał mu we krwi, spłynął do krocza, potem do nóg. Wypełnił mu pierś nieznanym dotąd uczuciem, wreszcie zawirował pod czaszką.

Pieprzyć to!

To nie mogło być tak. Nie powinienem się ukrywać przed tym fiutem Jerico Axem tylko dlatego, że tamten jest większy i silniejszy oraz lepiej wyszkolony niż on sam. To nie tak.

W nikłym świetle lampek kontrolnych stojącego przy drzwiach robota zdołał dojrzeć skrobaczkę do podłogi umocowaną do jego pojemnika na narzędzia. Był to po prostu aluminiowy pręt, nieco dłuższy niż pół metra i gruby prawie jak przegub Tommy'ego. Na końcu miał dołączony komplet różnego rodzaju ostrzy. Maszyna używała go do zdrapywania różnego rodzaju zanieczyszczeń przylepionych do podłogi. Narzędzie przypominało nieco kosę, którą ktoś wygiął pod dziwnym kątem.

Tommy wziął skrobaczkę. Zważył w ręce. Była przyjemnie ciężka.

Kiedy Jerico otworzył drzwi, Tommy był już gotowy.

Większy chłopiec zdążył tylko mrugnąć i otworzyć szeroko oczy ze zdumienia gdy Tommy skoczył i wbił ostrze w czaszkę znenawidzonego dręczyciela. Trafiał tuż nad prawym okiem. Usłyszał chrupnięcie!

Jerico wrzasnął - jak to wspaniale brzmiało - potem zatoczył się do tyłu. Cofał się, aż plecami oparł się o przeciwległą ścianę. Osunął się w dół i usiadł. Wyciągnął skrobaczkę z rany. Krew zalała mu całkowicie oko. Popatrzył w górę na Tommy'ego i dopiero wtedy zrozumiał, co się stało.

Tommy ruszył w jego kierunku.

- Dawaj to - powiedział cicho i sięgnął po metalowe narzędzie. Chwycił skrobaczkę, a Jerico pozwolił mu na to. Tommy nie wiedział, co tamten myśli, ale czuł strach starszego chłopca. Sam przeżywał rodzaj przerażenia zmieszany ze złością i czymś, czego nigdy wcześniej nie odczuwał. Było to poczucie wielkiej siły, potęgi i zadowolenia z pokonania wroga.

- Ja krwawię!

- Już niedługo - powiedział Tommy. Podniósł skrobaczkę i ruszył do przodu.

Tommy Spears miał dziewięć lat, kiedy zabił swego pierwszego wroga...

- Na święte gówno! - ryknął jeden z komandosów Spearsa. Generał pozbył się wspomnień w mgnieniu oka i popatrzył na zabitego żołnierza. Zadziwiające. Jego wyłączenie się trwało może pięć sekund, a ilość informacji była olbrzymia. Pamięć musiała działać jak modem.

Nad martwym ciałem stał jeden z obcych i gotował się do ataku.

Generał ruszył do przodu. Światło z sufitu oświetliło dokładnie jego twarz.

- Wiesz, kim jestem - powiedział i wyciągnął zza pasa transmiter. - A królowa wie, co to jest.

Machnął przyrządem. Podłoga w komórce z jajami naszpikowana była materiałami wybuchowymi, a transmiter mógł spowodować ich wybuch. Oczywiście, teraz królowa



mogła kazać robotnikom poprzemnieść ją w inne, bezpieczniejsze miejsce, ale nie miała czasu, by ewakuować wszystkie. Poza tym nie wiedziała, czy Spears nie zaminował całej tej pieprzonej bazy.

To, co widziała robotnica, widziała i królowa.

Potwór zasyczał, potem odwrócił się i pobiegł w przeciwnym kierunku.

- Na święte gówno - powtórzył żołnierz. - On się pana przestraszył!

- Miał powody - stwierdził generał. - Idziemy. Pluton nie zawahał się nawet przez moment.

- Powell?

- Tędy - pokazał major.

Wilks odwrócił się, by popatrzeć na dziewczynę.

- W porządku - sapnęła Billie. Zaczynało jej brakować tchu.

- Co z Mitchem...?

...kiepsko smakuje - odparł sierżant. - Jeżeli się nie będzie ruszał, przejdą obok i nie zauważą go.

- Ale nie Spears - odezwał się Powell.

- Dziękuję, majorze - sarknął Wilks, zaś do Billie powiedział:

- Słuchaj, wie dokąd idziemy i zrobi wszystko, co będzie mógł, żeby nam się udało, a potem dołączą do nas.

- Nie chce go tu zostawić - powiedziała Billie. - No i dobrze. Poczekamy na niego.

Obiecuję.

Billie skinęła głową. Tak musiało być. Nie miała wyboru. Musiała zaufać Wilksowi.

Ktoś krzyknął za nimi bulgoczącym, niesamowitym wrzaskiem.

- Czas nas goni!

Billie wydawało się, że biegnie już od nie wiadomo jak dawna. Może całe życie. Jednak nie było czasu na odpoczynek.

- Dalej - krzyknęła na Wilksa i Powella. - Jestem tuż za

wami. Przyspieszyli biegu.

## 19.

Wilks nie bał się śmierci. Biegł do miejsca, które wydawało mu się najbezpieczniejsze na tej małej planecie, ale jeżeli się to nie uda, to trudno. I tak żył na kredyt, co powtarzał sobie bez przerwy. Jak długo już? Dwanaście, czternaście standardowych lat? Billie miała dziesięć, kiedy pierwszy raz spotkała się z obcymi. Musi ją zapytać, ile ma teraz. On sam powinien zginąć z resztą swego oddziału, ale tak się nie stało. Od tamtej pory dużo czasu spędzał nad butelką i faszerował się chemikaliami, by zapomnieć. Los tak chciał, może jakaś nadprzyrodzona siła wszechświata, a może po prostu szczęście Kolonialnego Komandosa. Gdzieś na ścieżce jego życia pojawił się nowy cel: zniszczyć obcych do ostatniej robotnicy, do ostatniego jaja. Gdyby pozwolił się tutaj zabić, zniweczyłby nieodwołalnie możliwości wypełnienia swej misji, a to przerażało go bardziej niż śmierć. Tylko jeden raz w życiu naprawdę się bał, ale to było bardzo dawno temu.

Kilka lat wcześniej, podczas jednego a jego chemicznych ekscesów, Wilks został znaleziony przez cywilów na ulicy. Zastali go nagiego, a jego wszczepione identyfikatory przepadły. Ludzie, którzy go obrabowali i próbowali zabić nie chcieliby ktoś zidentyfikował ciało. Cywile nie wiedzieli, że mają do czynienia z żołnierzem i zabrali go do centrum medycznego, gdzie zaopiekowano się nim. W standardowym postępowaniu terapeutycznym była również przewidziana sesja z psychiatrą. Pech chciał, że trafił do szpitala akademickiego, gdzie wielu młodych lekarzy chciało zająć się tym dziwnym pacjentem i jego depresją. Bo czyż człowiek z tak zniekształconą twarzą może być normalny?



Nie zajęło im dużo czasu wykrzyć, że mają do czynienia z komandosem. Szybko też postawili diagnozę. Czekając na zabranie swego podopiecznego przez Żandarmerię Wojskową, chcieli wydusić z niego, ile się da. Taka gratka mogła się więcej nie powtórzyć.

W czasie jednej z takich sesji z atrakcyjną młodą lekarką, którą w innych warunkach chętnie by sprawdził w łóżku, dowiedział się o Syndromie Doca Hollidaya.

Holliday, jak się dowiedział, był kimś w rodzaju felczera w dawnych czasach na Ziemi. A może był dentystą czy kimś w tym rodzaju. zachorował na groźną i w tamtych czasach nieuleczalną chorobę.

- Więc - powiedziała mu młoda pani doktor - spakował manatki i wyjechał w miejsce o ciepłym i suchym klimacie, co miało mu przynieść ulgę przy jego dolegliwościach. Został tam zawodowym graczem w karty i szulerem. Uczestniczył w wielu pojedynkach na rewolwery, chociaż nie był szczególnie dobrym strzelcem. I zawsze potrafił pokonać przeciwnika. Na przykład mógł w publicznym miejscu strzelić do człowieka używając broni nazywanej sześć strzałowcem i za każdym razem chybić z odległości siedmiu metrów. Biorąc pod uwagę, że taka broń była we wprawnych rękach skuteczna mniej więcej na pięćdziesiąt metrów, był to żalosny wynik. Później przerzucił się na coś, co nazywano "obryzmem", i na ile dobrze mnie poinformowano, była to straszna broń na krótki dystans.

- Interesujące - zgodził się Wilks i pomyślał, że chyba ją przeleci, jeżeli nie znajdzie innego sposobu, żeby się zamknęła. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, młoda kobieta zaczęła

opowiadać dalej, w sposób oczywisty zakochana w swoim własnym głosie.

- Z tego, co nasi badacze historii medycyny potrafią nam powiedzieć, wynika, że wygrał, bo nie dbał o przegraną. Wilks zmarszczył brwi.

- Co to oznacza? - zapytał i od razu tego pożałował.

' - Pan Holliday przypuszczał, że szybko umrze. Faktycznie żył poza przewidywanym terminem śmierci. Może diagnoza była niedokładna. Ale ponieważ myślał, że jego dni są policzone, a ich liczba jest niewielka, wierzył, że nie ma nic do stracenia. Kiedy stawał do pojedynku, nie czuł strachu przed śmiercią. Był już, w swoim przekonaniu, martwy. Później regularnie zaczął spożywać ogromne ilości alkoholu, a to dodatkowo go znieczulało. Kiedy dodać to do czasu reakcji jego przeciwników i jakości broni, możemy wytłumaczyć sobie przewagę, jaką posiadał. Większość ludzi stających do takiej rywalizacji nie chce umierać. To powoduje moment zawahania albo nawet coś w rodzaju paniki. Człowiek, który nie dba o to, czy będzie żył czy umrze, ma jedyny cel: strzelić i niech to diabli. I oczywiście to wszystko razem wzięte okazywało się fatalne w skutkach dla przeciwników Pana Hollidaya.

Wilks potrząsnął głową.

- Cudownie. A teraz nie chciałabyś się rozebrać i poćwiczyć trochę z bohaterem wojennym, zanim przyjdą mnie zabrać? Uśmiechnęła się, jakby jego rubaszna odzywka wcale jej nie zaskoczyła.

- Myślę, że nie, kapralu Wilks. To nie byłoby nic profesjonalnego...

Biegając korytarzem, w którym krążyły potwory poszukujące zdobyczy, Wilks wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. "Teraz wiem, co czułeś, Doc - pomyślał. - Kiedy pożyczasz sobie trochę czasu od kostuchy i nie dbasz o to, czy umrzesz, wszystko wydaje się proste i miłe.

Billie dojrzała mężczyznę z karabinem, który usiłował się ukryć. Kiedy zorientował się, że go zobaczyła, podniósł karabin i wycelował w jej stronę.

- Wilks! - krzyknęła.

Podniosła swą broń i skierowała ją w stronę strzelca. - Nie rób tego, żołnierzu! - wrzasnął Powell. Jednak komandos nie usłuchał.

- Generał wrócił! Wszyscy jesteście już padliną!



Billie i Wilks strzelili niemal jednocześnie. Żołnierz okręcił się wokół własnej osi i upadł. Z dwóch ran w klatce piersiowej bluzgała krew.

Billie poczuła mdłości. Zabijanie ludzi nigdy nie jest łatwe. Biegła jednak dalej. Instynkt samozachowawczy zwyciężył.

Ktoś wyłączył światło i wszystkie urządzenia podtrzymania życia. Spears był na to przygotowany. Jego żołnierze byli ubrani w skafandry próżniowe i dźwigali ze sobą wszelki sprzęt potrzebny w walce.

- Włączyć duchy, żołnierze - powiedział generał.

Sam przełączył filtr w osłonie na podczerwień i zobaczył korytarz w zielonkawym, upiornym oświetleniu. Pstryknął przełącznikiem lampy na hełmie i od razu ściany zajaśniały jaskrawą zielenią. Zrobiło się jasno, prawie jak normalnie. Jednak dla kogoś, kto stał obok lampy, świeciły ledwo zauważalnym, ciemnofioletowym światłem.

- Zatrzymać się! Cofnąć się z pola ostrzału!

Ktoś pojawił się przy krańcu korytarza dwadzieścia metrów z przodu. Generał ujrzał mężczyznę wymachującego rękami i usłyszał wołanie:

- Generale! Czy to pan? Nie strzelajcie, jestem po waszej stronie!

Spears nie widział zbyt wiele, ale dostrzegł, że krzyczący człowiek nosi służbowy kombinezon i nie ma żadnej broni.

- Ognia - zakomenderował.

Dwóch komandosów wystrzeliło. Rozległ się przytłumiony, ale wyraźnie słyszalny dźwięk. Mężczyzna upadł, jakby nagle uciekły spod niego nogi. Z pewnością w bazie jest wielu sprzymierzeńców, lecz Spears nie miał czasu sprawdzać każdego. Jeden wróg z granatem mógłby wyrządzić ogromne szkody. Lepiej najpierw oczyścić pole, a dopiero potem zająć się sortowaniem jeńców.

Niespodziewanie zniknęła grawitacja. Nie było żadnego ostrzeżenia, po prostu nagle jej nie było. Biegący komandosi wyskoczyli raptownie w górę, uderzając w ściany i sufit albo sunęli niepowstrzymanym pędem po podłodze, niezdolni do kontroli swych ruchów. Przełączenie z prawie pełnego ziemskiego ciężenia do może jednej dziesiątej nigdy nie było przedmiotem treningu żołnierzy.

- Włączyć buty! - ryknął Spears.

Pod podłogą znajdowały się magnetyczne paski umieszczone tam z myślą o takich właśnie przypadkach. Buty komandosów pozwalały chodzić niewiele wolniej niż przy normalnej grawitacji.

Kiedy wszyscy żołnierze ochłonęli z zaskoczenia, okazało się, że tylko jeden został ranny zbyt ciężko, by kontynuować marsz. Sanitariusz stwierdził, że połamał sobie szyję i wymaga natychmiastowego umieszczenia w sekcji medycznej.

- Może chodzić?

- Nie, panie generale. Jest sparaliżowany.

- Zostawcie go. Ktoś później po niego przyjdzie. "Tak naprawdę to jakiś obcy" - pomyślał Spears.

Ten człowiek był teraz bezużyteczny jako żołnierz, więc może posłużyć jako jedzenie dla nowego wojska. Można na to pozwolić.

- Panie generale! - krzyknął ranny człowiek. - Proszę! Nie zostawiajcie mnie tutaj! Nie zostawiajcie mnie tym potworom!

- Służy także ten, kto leży i czeka - powiedział Spears. To wojna, synu. Spieprzyłeś sprawę i płacisz za to. Żołnierze, idziemy.

Pluton przeszedł obok, buty dudniły o podłogę. Krzyk rannego ucichł, kiedy generał włączył radio na trzeci kanał.

Powell słuchał komunikatora, który niósł ze sobą. Potrząsnął głową. On, Wilks i Billie zbliżali się do korytarza kończącego się hangarami statków kosmicznych. Ciągłe mieli



światło i energię, chociaż prawie cała baza ich nie miała. W raportach, które można było usłyszeć przez komunikator, słychać było objawy paniki. Głosy zdawały się krzyczeć tym samym, przerażonym tonem:

- Podtrzymanie życia wyłączone w D-2...
- Straciliśmy Maurego, potwory go porwały i...
- Luki powietrzne zamknięte, powtarzam, zamknięte... - ...wpadliśmy pod ogień. Ktoś tu strzela...
- Potwory, potwory! Aaaa!

Odgłosy wybuchów, karabinowe strzały, brzęk metalu o metal i inne zwiastuny gwałtownej śmierci. Wszystko można było usłyszeć w głośniku.

Wilks poczuł się przez chwilę cięższy, jakby ktoś nagle usiadł mu na ramionach. Potem to uczucie zniknęło.

- Wilks?
- Ktoś bawi się grawitacją - powiedział. - Myślę, że Bueller usiłuje opóźnić marsz Spearsa albo odrzucić obcych.

Powell sam był na granicy paniki i sierżant to widział. Twarz majora pobladła, pot wypływał wszystkimi porami skóry. Ciągłe wciskał coraz to nowe klawisze komunikatora, jakby od tego zależało jego życie.

- Baza jest zdobyta - powiedział w końcu. - Spieprzyliśmy to. Powinienem to lepiej przygotować, zanim spróbowałem. On jest zabójcą. Szaleńcem. Przegraliśmy.

- Słuchaj - odezwał się Wilks tonem, jakim mówi się do małego dziecka. - Słuchaj, możemy stąd odlecieć. Weźmiemy jeden ze statków.

Powell pokręcił głową.

- Nie możemy. Zbyt dużo czasu zajmie programowanie lotu. Dopadną nas. Dopadną!
- Uruchomimy stary program - powiedział sierżant. - Zabierze nas tam, skąd przyleciał.
- Niezbyt dobry pomysł. Przyleciały z Ziemi. Wszystkie. - Zmienimy ten cholerny program w czasie lotu! Ruszaj się, Powell!

Major popatrzył na niego uważnie. .

- W porządku. Teraz ty dowodzisz, dobra?

Żałosny frajer. Powinien zająć się inną pracą. Powiedzmy, popijając sobie herbatkę gdzieś na uniwersytecie, rozmawiać z profesorami o sztuce współczesnej albo historii starożytnej. Jest tylko jedna mała przeszkoda. Bez zabójców takich jak Spears i -ech! – jak Wilks nie będzie już takich miejsc. Może już nigdy.

Przed nimi wyszła z cienia dwójka obcych i zaczęła syczeć. Sierżant poczuł, że się uśmiecha.

"Pieprzę was - pomyślał. - Znacie mnie, co? Jesteście zgubione w pojedynku z Doc Holidayem, wy głupie skurwysyny. Stał obok Billie, która również dostrzegła potwory. Stali ramię przy ramieniu i jednocześnie podnieśli karabiny.

Korytarz wypełnił się grzmotem wystrzałów. - Idziemy, Powell. Trzymaj się nas.

Cała trójka ruszyła ku wejściu do hangaru.

Hangar był jeszcze cichym, spokojnym miejscem. Obcy nie zdołali do niego dotrzeć. Dwójka strażników wpuściła ich do środka bez problemów. Rozkaz Powella jeszcze działał.

Ogromna przestrzeń hangaru wydawała się prawie pusta. W chwili; gdy rozległ się pierwszy dźwięk alarmu, pracował tu tłum ludzi. Teraz nie było nikogo.

- Na który ze statków najłatwiej się dostać? - spytał Wilks - I który jest przygotowany do drogi?

- Tamten - wskazał Powell.



W bazie mogło znajdować się więcej statków, ale ten hangar mieścił cztery, włączając w to kierowany komputerem transportowiec, na którym przylecieli Wilks, Billie i Bueller. Sierżant był zadowolony, że to nie Amerykanina pokazał Powell. Wolałby mieć w podróży bardziej ludzkie warunki niż poprzednio. Z drugiej strony, w czasie burzy każdy port jest dobry. To miejsce ze Spearsem i gromadą obcych za plecami przypominało nie tylko burzę. To był prawdziwy huragan.

- Wszyscy na pokład - machnął karabinem w kierunku statku.

Baza była zniszczona. Spears i jego oddział poruszali się wśród chaosu, strzelając do wszystkiego, co pojawiło się w polu widzenia. W większości byli to ludzie, ale zastrzelili też kilka robotnic, które były zbyt opieszale w wykonywaniu poleceń generała. Do diabła, przecież atakowanie go było prawie samobójstwem.

Tylko kilka potworów udało się uratować. Będzie musiał ograniczyć straty. Wprawdzie zmierzał do zwycięstwa w bitwie i wojnie, ale baza była stracona. Cóż, dobry dowódca wie, kiedy zabrać swoje czołgi i wycofać się. Trzecia Baza spełniła już swoją rolę. Chciałby mieć trochę więcej czasu, ale jaki dowódca ma go w wystarczającej ilości? Próbuje osiągnąć perfekcję, ale musisz pogodzić się z tym, co masz, i ruszasz dalej. Kiedy wchodzisz do walki, musisz wykorzystywać to, co masz a nie to, co chciałbyś mieć. W doskonałej galaktyce mógłbyś zawsze mieć żołnierzy i sprzęt, jaki byłby ci potrzebny do realizacji planów. W realnym świecie rzadko tak się zdarza.

Oddział stracił jeszcze dwóch ludzi. Jeden został zastrzelony, drugi zginął na minie. Wszystko jednak szło dobrze. Miejsce, gdzie zgromadził swe najlepsze potwory, swego rodzaju śmietankę, było dobrze zabezpieczone nawet przed wybuchem jądrowym i tylko on miał klucz otwierający drzwi. Te robotnice były bezpieczne i stanowiły jedyną cenną rzecz na tej gołej skale, z której trzeba wreszcie odlecieć. To także dobrze zabezpieczył. Biedny byłby generał, który nie potrafi sobie zapewnić drogi odwrotu. A Spears nie chciał być takim generałem.

Poprowadził swój oddział w kierunku hangarów.

Billie już się nie bała, jej poziom adrenaliny we krwi obniżył się, lecz ciągle była w pogotowiu. Dziwna była myśl, że może czuć się tak jak teraz, ale tak właśnie było. A może w końcu postradała zmysły. Była jednak zbyt zmęczona, żeby się nad tym zastanawiać.

- I co? - odezwał się Wilks.

Było to skierowane do Powella, który marszczył brwi nad kontrolną płytką przy włączniku. Wpisał już całą serię liczb i popatrzył na statek.

- Klipa nie otwiera się - powiedział drżącym głosem. - Widzę. Dlaczego?

Major pokręcił głową.

- Nie wiem. To jest Rozkaz Otwarcia i powinien otwierać każdy zamek w bazie, łącznie z chłodziarką w kuchni. Spears dbał o to, kiedy tu był. Kod ustala każdy, kto dowodzi bazą. To działało. I powinno nadal działać.

- Jesteś pewny, że podałeś właściwe cyfry? - spytała Billie. - Oczywiście. Jestem pewny.

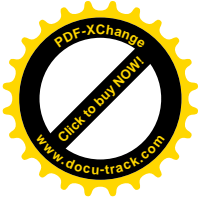
Wilks westchnął głęboko.

- Spears. Ten pieprzony czubek znowu nas okpił. Powinniśmy się domyśleć. Taki paranoik jak on nie ufa nikomu co do statków. Szczególnie, kiedy go tu nie ma. Musimy się włamać.

- To zajmie dużo czasu - stwierdził major. - Płytkę zamka  
fiest opancerzona.

- Nie widzę innej możliwości.

Spears ze swymi żołnierzami dotarł do zewnętrznego hangaru przez tunel ewakuacyjny, który dawno temu sam kazał wybudować. Dwa transportowce stały cicho w ogromnej hali. Generał zostawił pół plutonu na zewnątrz jako osłonę, ale okazało się to niepotrzebne. Byli tu



sami. Spears prawie poczuł litość nad wrogiem. Byli bez klasy. Tak naprawdę Powell nigdy nie miał szansy.

- Dobra. Reszta za mną do wewnętrznego hangaru. Powoli zbliżyli się do przejścia.

- Myślę, że gotowe - powiedział Wilks.

Płytką została stopiona, mieli jut dostęp do elektroniki zamka. Teraz łatwo było go otworzyć. Wilks zamknął dopływ zasilania do zamka i użył ręcznego podnośnika, żeby odsunąć klapę. Zrobił już piętnastocentymetrową szparę, kiedy usłyszał głos za plecami:

- Nie ruszać się!

Odwrócił głowę i zobaczył pół tuzina komandosów w skafandrach próżniowych z wycelowaną w niego bronią. Rzucił szybkie spojrzenie Billie. Zrozumiała. Lepiej zginąć w walce niż zostać oddanym potworom.

- Żegnaj, Billie - szepnął. - Przykro mi.

Schylił się po karabin oparty o powłokę statku i kątem oka dostrzegł, że dziewczyna już trzyma broń w pozycji strzeleckiej. Czekał na uderzenia pocisków, które by go zabiły, wiedząc, że nie ma sposobu uniknięcia śmierci. Pieprzyć to!

Oślepiające białe światło spłynęło na Wilksa i zabrało mu świadomość. Dziwne, nigdy nie przypuszczał, że to tak wygląda...

Kiedy Wilks odzyskał przytomność, leżał na plecach obok Powella, a Billie znajdowała się po drugiej stronie majora. Zamrugał oczami. Nic z tego nie rozumiał.

- Fajna sztuczka, sierżancie - powiedział Spears.

Wilks przetoczył się na bok i spotkał kpiący wzrok generała. Za oficerem stali komandosi, a każdy z nich trzymał w ręce pręt najeżony drutami. Powodowały przy dotknięciu utratę przytomności.

- Ładunki ogłuszające - odpowiedział generał na nieme pytanie sierżanta. - zamontowałem je we włazach wszystkich statków. Gdybyś uniósł klapę jeszcze o jakieś pięć, sześć centymetrów, nie musiałbym używać tego - pokazał mu mały przyrząd.

Wilks popatrzył na Spearsa, w głowie ciągle mu szumiało. Coś miał urobić, ale co?

- Nie ma sensu porywać się na jakieś bohaterskie gesty, sierżancie - ciągnął generał. - Po prostu znowu zostałbyś ogłuszony. Nie umrzesz. Jeszcze.

Generał popatrzył teraz na Powella, który ciągle był nieprzytomny.

- Powiniennem wiedzieć, że ten kutas jednak nie ma jaj. Czy to wy byliście w pelzaczcu, z którego zestrzelono mojego skoczka?

Wilks zmusił się do kiwnięcia głową.

Spears zrobił to samo.

- Trak myślałem. Masz punkt za próbowanie, ale wybrałaś złą stronę. Niedobrze. Podziwiam facetów z ikrą nawet, jeżeli są wrogami.

Billie zamruczała przez sen.

- Ktoś przegrywa, ktoś traci - zakończył generał. Odwrócił się do swoich żołnierzy.

- Dobra, panowie. Znacnie swoje zadania. Załadujcie statek, zbierzcie sprzęt. Posortujcie jeńców i uwolnijcie tych lojalnych. Dam wam listę.

- Co zamierza pan zrobić? - spytał Wilks.

W głowie mu szumiało i czuł, że za chwilę może wymiotować. Wciągnął powoli i głęboko powietrze.

- Cóż, nie powinno cię to zbyt obchodzić w twojej sytuacji. Ale ponieważ dostarczyłeś mi przyjemności prawdziwej walki, powiem ci. Wracam do domu, na Ziemię. Zabieram mały oddział obcych. Gdy tylko zademonstruję wartość swojego wojska, dostaniemy wsparcie na utworzenie pełnej armii złożonej z obcych. Zamierzamy skopać dupy dzikim potworom, synu. A kiedy pokażę nagrania w jaki sposób się to robi, dostaniemy wszystko co potrzebne do wygrania tej wojny.





Na Boga! On naprawdę w to wierzy! Ten facet był o kilka kilogramów lżejszy od masy krytycznej, a głupi jak rozgnieciony karaluch.

- Co z nami? - to odezwał się Powell, który wrócił do przytomności i nawet zdołał usiąść.

- Pan i pańscy sprzymierzeńcy powinniście stanąć przed sądem. wojennym, majorze. Nie mam za dużo czasu na takie głupstwa, więc zostaniecie tutaj, dopóki nie przyślę po was oddziału, żeby was zabrał.

- Nie może nas pan tu zostawić! W bazie są obcy! Zostaniemy zabici, zjedzeni!

- Powinien pan o tym pomyśleć, zanim zaczęliście działać, majorze.

Spears odwrócił się i wyszedł.

Wilks zrobił ruch, jakby chciał wstać, ale dwóch żołnierzy zrobiło krok do przodu. Znacząco podnieśli oszałamiacze. Sierżant położył się bez słowa. Próba ataku skończyłaby się tylko większym bólem głowy po przebudzeniu. Gdyby w ogóle się obudził. Teraz nie wolno mu było spać. Cokolwiek miało się im przydarzyć, chciał widzieć, jak nadchodzi.

## 21.

Mitch leżał na Billie i poruszał się powoli lecz z wielką siłą. Wypełniał ją całą. Pot perlił się na jego twarzy. Podpierał się na rękach, prężąc potężne mięśnie, złączony z nią jedynie przy jądrach, w miejscu, gdzie stykał się z jej łonem.

Nadzy i połączeni. Tańczyli.

Billie jeszcze nigdy nie czuła takiego spełnienia, tak całkowitego spełnienia się jako kobieta, jako ludzka istota. Zawsze miała nadzieję, że to ją spotka, ale nie oczekiwała tego. Miała kogoś, kto ją kocha, kogo ona kocha. Oddawała się całkowicie i czuła całkowite oddanie...

Byli czymś więcej niż dwójkiem kochanków, byli jednością. Zaczął poruszać się szybciej, zbliżając się do szczytu, a ona poruszała się razem z nim. Tak, tak. Tak, tak, tak! Krzyknął.

Billie patrzyła na jego otwarte usta i zobaczyła, że szpon rozrywa mu wargi. Nie sięgał jednak w jej kierunku. Szponiasta dłoń rozrosła się w ramię zbyt grube i długie by mogło wysunąć się z ust Mitcha. Opuściło się w kierunku jego brzucha. Rozdzierało na swej drodze skórę i mięśnie, by w końcu rozdzielić ciało na dwie części. Górna została odrzucona i na niej pozostały tylko łędwie i nogi. Biały płyn wytrysnął z rozerwanego ciała i spryskał ją obsceniczną fontanną- gorącą, słoną. W tym samym momencie poczuła w sobie wytrysk... - Nie!

Billie ciągle czuła ucisk na nogach, szarpała się pod obezwładniającym ją ciężarem...

- Billie! To ja, Wilks. Obudź się.

Zamrugnęła, wracając do przytomności. Bolała ją głowa, mdłości wypełniły jej przełyk gorącym, gorzkim smakiem. Żołnierze stali obok, obserwując wszystko uważnie. W rękach cały czas trzymali pręty oszałamiaczy.

- Wilks?

- Spears. Zostaliśmy ogłuszeni granatami.

Billie nie wiedziała, o czym on mówi. Gdzie się znajdują? Ostatnią rzeczą, którą zapamiętała, był ich szaleńczy bieg. Czuła się jakby ciągle jeszcze biegła.

- Billie. - Co?

- W porządku?

Po kawałku wracała jej świadomość. Obcy w korytarzu. Drzwi statku nie chcą się otworzyć. Mężczyźni z karabinami wycelowanymi w nich. Niema decyzja jej i Wilksa. Będą walczyć. - Już wszystko wiem. Co teraz?

Powell siedział z plecami opartymi o ścianę, kolana przyciągnął do piersi.



- Spears zamierza załadować potwory na największy transportowiec i wystartować. Mówił, że leci na Ziemię. My zostaniemy tutaj razem z komandosami i naukowcami.

- Hej, skończcie te gadki - jeden z żołnierzy stanął obok nich. - Zostaniecie tutaj ze zdrajcami. Ci, którzy byli wierni generałowi, polecają z nim.

Powell zaśmiał się histerycznie.

- Naprawdę jesteś tak głupi, żołnierzu? On już cię nie potrzebuje, jesteś zbędnym ładunkiem. Zawadzasz tylko.

- Nie masz racji, majorze - odezwał się drugi z żołnierzy - generał dba o swoją własność.

- Swoją własność? Chryste, on, generał myśli, że jest jakimś pieprzonym Bogiem, ty imbecylny! Jesteście dla niego nie więcej warty niż zużyty papier toaletowy. Wykorzystał już was i teraz zostawi razem z nami.

Strażnicy popatrzyli po sobie. Dowódca, starszy sierżant, z którym Billie zamieniła kiedyś kilka słów, pokręcił głową. - Zapomnijcie o tym, chłopaki. Major usiłuje nas podzielić i rozbroić. Jak dotąd generał dbał o was, prawda? Nie dajcie się oszukać temu pajacowi. Nie słyszeliście, jak generał kazał wam ładować sprzęt, gdy tylko zdrajcy zostaną wyłapani?

Pozostała piątka komandosów zamruczała coś niewyraźnie. Billie wydało się, że wyjaśnienie dowódcy nie zadowoliło ich do końca, ale nie miało to znaczenia. I tak nie pozwoliliby im wyjść.

- Dobra - odezwał się znowu dowódca. - Teraz, kiedy śpiąca królewna się obudziła, idziemy. Ruszać się.

Wilks wstał i pomógł Billie. Dwóch komandosów szturchnęło Powella.

Billie poczuła, jak Wilks sprężył się cały. Zamierzał nadal walczyć. Nie wiedziała, jak chce to zrobić; ale pójdzie razem z nim.

Zgasły światła.

- Co do cholery... - ktoś krzyknął:

Rozległ się trzask, jakby nastąpiło krótkie spięcie, a potem rzęzenie.

- Włączyć duchy - rozdarł się dowódca komandosów. Włączyć duchy, do cholery!

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, czas jakby zawisnął w pajęczej sieci...

- Wszyscy widzą? Meldować! Rozległ się chór głosów.

- Niech nikt się nie rusza - rozkazywał dalej dowodzący żołnierz.

- Widzimy was tak dokładnie, jakby było południe na równiku.

Światła zapaliły się ponownie, lecz trzy razy jaśniejsze niż wcześniej.

Żołnierze wrzasnęli, niemal jednym, głosem. Ręce powędrowały do opuszczonych na twarze osłon. Jeden z komandosów podniósł plastik i pocierał pięściami oczy.

- Co...?

- Bueller! - krzyknął Wilks.

Kopnął jednego z żołnierzy w żołądek, chwycił oszałamiacz, zanim ten upadł na podłogę i dotknął nim szyi drugiego strażnika. Nawet przez skafander musiało to być niezłe uderzenie. - Szybko! Tędy!

Billie pobiegła za Wilksem. Powell był tuż za nimi. - Co się stało?

- Są oślepieni. Dostali w oczy nagły impuls parę milionów razy silniejszy niż normalne światło hangaru. Zwykle skafandry nie mają w osłonach filtrów tłumiących takie błyski. Wojsko jest za biedne, by wydawać pieniądze na głupoty. To musiało być jak spojrzenie w centrum wybuchu jądrowego. Szybciej!

Wydłużyli krok.

Spears osobiście doglądał ładunku pojemników z obcymi na transportowy wózek, kiedy w komunikatorze rozległ się oszalały z przerażenia głos:

- Panie generale, Powell i tamtych dwoje uciekli!



Spears poczuł wściekłość. Trzymał ich przecież w matni. - To nieważne. Zamknijcie, czy na wolności i tak muszą tu zostać. Uważajcie. Strzelajcie, gdy tylko się pokażą, ale nie szukajcie ich. Mogą się chować gdzie chcą.

Po wydaniu poleceń dalej przyglądał się, jak kontener wędruje w górę i ostrożnie jest opuszczany na transporter. Tylko on znał kody zamków statków. Dwa z nich były przygotowane do lotu w tandemie. Na jednym będzie jego cenny ładunek, drugi będzie wioził tylko jednego pasażera - generała Spearsa. Inne statki pozostaną tutaj. Straszne marnotrawstwo sprzętu, ale nie myślał o tym. Wojna wymaga poświęceń zarówno w sprzęcie, jak i w ludziach. Człowiek, który nie potrafi podejmować takich decyzji, nie powinien dowodzić.

Silniki statków, które tu pozostaną, zostaną zniszczone w trzydzieści sekund po jego odlocie. Ktokolwiek tu zostanie, będzie musiał czekać, aż ktoś przyleci i go stąd zabierze. A biorąc pod uwagę apetyty pozostających potworów, nie będzie kogo zabierać.

Oczywiście, zabiera ze sobą królową. Tego wymaga jego plan. Kontrolując ją, może kontrolować robotnice. Niektórzy z techników sądzili, że nowa królowa może powstać z robotnicy, jeżeli nie będzie żadnej w pobliżu, ale tutaj tak się nie stanie. Ilość pożywienia na tej prawie pozbawionej powietrza planecie jest mocno ograniczona. Zapasy komandosów i naukowców szybko się skończą, a wraz z nimi nadzieja na jedzenie. Chyba że obcy mają swoją wersję cudownego rozmnożenia chleba i ryb, jakiego dokonał Jezus.

Uśmiechnął się do swych myśli. Pomysł mesjasza wśród obcych był zabawny. Właściwie, kontynuując myśl, jego mogli obwołać zbawicielem. Jest to wystarczająco prawdziwe. Zamierza poprowadzić ich do lepszego świata, do królestwa potęgi i chwały. Dlaczego nie mieliby tak o nim myśleć? Nie znaczy to, że w ogóle myślą, ale tak samo jest w przypadku ludzkiego wojska.

- Ostrożnie z tym ładunkiem - zawołał. - Nie otwierać klapy przed czasem.

Niedobrze z pozostałymi w wytwórni powietrza, ale czasem nie wszystko idzie jak po maśle. Stare przysłowie, że najlepsze plany bitwy mają krótkie życie, tu nie ma zastosowania. Ciągłe była to niewielka strata. Nic, co mogłoby powstrzymać dobrego dowódcę.

Spears ponownie uśmiechnął się szeroko. Postanowił, że gdy tylko wystartują, zapali jedno ze specjalnych cygar. Przecież właśnie wygrał pierwszą bitwę w wojnie przeciwko obcym. Ciągłe mógł zapalić następne po pierwszej wygranej na Ziemi.

Tak zrobi, na Boga.

- Co teraz? – spytał Powell.
- Wydaje mi się, że już tu byliśmy – powiedział Wilks.

Znajdowali się w nieużywanym magazynie. Wszędzie stały puste pudła piętrzące się w nierównych stosach i wyglądające jakby zaraz miały się zwalić w dół.

- Możemy uciec, ale się nie ukryjemy – mówił dalej sierżant. – Musimy opuścić planetoidę albo będziemy trupami.
- Ale jak?
- Spears weźmie największy statek. Tak przynajmniej myślę. Może jeszcze jeden do pary. Musimy znaleźć sposób, żeby dostać się na któryś, zanim generał nie przycisnie guzika.
- Ale jak? Ponownie spytał major.
- Wiesz, gdzie są obcy, których ma zabrać?
- W specjalnym magazynie. Wiem, gdzie to jest.
- Idziemy tam.
- Jeżeli nas ktoś zobaczy...
- .. to nas zastrzeli – nie dał mu skończyć Wilks. – Pieprzyć to, majorze. Idziemy.



Spears poszedł za pierwszym załadowanym kontenerem, a jego ludzie zaczęli wciągać następny. Nic nie mogło pójść źle, skoro osobiście wszystkiego doglądał. Łatwo schwytał ponownie królową. Wszystko, co musiał zrobić, to odszukać nowe miejsce znoszenia jaj i machnąć jej przed nosem miotaczem ognia. Gdy tylko to zrobił, wszystkie potwory biegnące po bazie uspokoiły się natychmiast. Ściany kontenera, w którym zamknął królową, były nieprzezroczyste tak, że nie wiedziała, dokąd ją zabiera.

Wszystko było pod kontrolą.

Hala była mocno strzeżona, ludzie pracujący z transporterami również byli pilnowani, lecz pusty pojazd stał właśnie w korytarzu. Kierowca i dwóch żołnierzy nic nie robili. Czekali.

- To jest to – powiedział cicho Wilks.
- Co? – Powell wyraźnie nie rozumiał.
- Nasza szansa. Możemy ukryć się na transporterze, a ten zawiezie nas prosto do statku, który zabiera Spears.
- Oszalałeś. Nigdy nam się to nie uda.
- Oczekuję innych propozycji.

Powell przyglądał mu się przez chwilę, potem spojrział na Billie. Dziewczyna pokiwała głową.

- Wilks jest naprawdę dobry w te klocki – powiedziała- Uratował nas już wcześniej. Cokolwiek każe...

Wilks skinął głową.

- Dobra. Zrobimy tak...

Spears obserwował załadunek kolejnego kontenera. Wszystkie jego plany zaczynały się spełniać. Jest to historyczny dzień dla Korpusu.

Billie wyszła naga zza rogu, przy którym stała trójka mężczyzn opartych o pusty transportowiec.

- Jezu Chryste – zawołał jeden z nich. – Popatrzcie.

Billie uśmiechnęła się i przejechała koniuszką języka po opuszcze palca. Potem dotknęła lekko swego lewego sutka, który natychmiast stwardniał i powiększył się. Zrobiła krok w tył i zniknęła z pola widzenia.

- Hej – krzyknął żołnierz – poczekaj kochanie! – Zwariowałaś – odezwał się drugi - Spears przeżuje cię na papkę, jak się stąd ruszysz.
- To tylko minuta – upierał się pierwszy.
- Spears... – tym razem wtrącił się kierowca.
- Pieprzyć Spearsa – rozzłościł się komandos.
- Ech – zdecydował drugi – Idę z tobą. Wolę raczej wypieprzyć tę małą. Chodźmy.

Dwójka komandosów ruszyła tam, gdzie przed chwilą zniknęła Billie.

Kiedy skręcili za róg, zobaczyli, jak stoi z rozstawionymi nogami, ramionami wyciągniętymi w ich kierunku i zachęcającym uśmiechem na twarzy.

„Jak mężczyźni mogą być tak głupi? – pomyślała – Czy naprawdę wierzą, że kobieta, której nigdy przedtem nie spotkali, może być tak podniecona na ich widok, że rozbiera się do naga i idzie do nich wilgotna i gotowa?”

Widocznie tak było. Dwóch komandosów zbliżało się do niej zostawiając po drodze sprzęt i rozpinając kombinezony.

Wilks stanął bezgłośnie za nimi i wałnął ich w głowy prętem, który zabrał strażnikowi. Obaj mężczyźni upadli.

- teraz mamy broń i mundury – powiedział Wilks.



- Jezu, Wilks. Czy to są ci, którzy mieli bronić cywilizowanego świata? Nic dziwnego, że obcy nas pokonali.

Wilks wyszczerzył zęby i pokręcił głową.

- Cóż mogę powiedzieć? Jak znajdziesz przyjemniejsze miejsce niż galaktyka, powiedz. Przyłączę się. Teraz zakładaj te lachy.
- Szybko wam poszło – zauważył kierowca, kiedy ujrzał dwójkę żołnierzy idąc w kierunku transportera. Minęło zaledwie pięć minut odkąd odeszli.
- Jaka była?
- Byłam wspaniała – powiedziała Billie, podnosząc głowę i pozwalając, żeby zobaczył jej twarz.

Kierowca sięgnął po pistolet, ale Wilks wycelował świeżo zdobyty karabin w jego pierś.

- Nie rób tego – powiedział. – Zrobimy sobie mały spacer.

Trzy minuty później kierowca i dwaj komandosi leżeli związani w dole korytarza, a Powell uruchamiał transportowiec. Szef załadunku właśnie zamachał na nich, by podjeżdżali.

Szef znał Powella z widzenia, więc major ukrył swoją twarz. Wilks i Billie nie musieli tego robić. Byli po prostu dwójką komandosów.

Spears obserwował kontener z królową, jak powoli wsuwał się do wnętrza statku. Jeżeli nawet była zdenerwowana, nie okazywała tego. Siedziała cicho, zamknięta w pojemniku z czystej stali.

Kiedy była już w bezpiecznym miejscu, generał poczuł ulgę.

Kazał jednemu z poruczników nadzorować dalszy załadunek robotnic:

- Dobra, jak ostatni kontener będzie na pokładzie, chcę by wszyscy żołnierze zebrali się w hangarze Bydgoszcz wraz ze sprzętem i natychmiast zaczęli ładować się na *Granta*. Chcę mieć na pokładzie każdego wiernego mi komandosa do 16.00 Wykonać.

Twarc porucznika rozjaśniła się.

- Tak jest, panie generale!
- Staraj się, synu.

Generał poszedł do swojej kwatery. Miał parę rzeczy, które chciał sam zapakować. Kiedy tylko to zrobi, wszystko będzie zapięte na ostatni guzik. Uśmiechnął się na wspomnienie przysłowia, które poznał w swej pierwszej podróży: „Kiedy wyjeżdżasz, nie oglądaj się za siebie.” Coś w tym było. Tutaj też zostawiał wiele, ale nic, co mogłoby go ścigać. Ruszał ku pełnej chwały przyszłości. Tutaj pozostawała tylko śmierć.

Victis honor. Zostawmy to straceńcom.

22.

- Co z Mitchem?

Wilks obserwował szeroki korytarz, przez który Powell prowadził transportowiec. Szukał kogoś, kto mógłby ich rozpoznać. Jak dotąd, nie było nikogo.

- Nie wiem – odpowiedziała Billie. – Po tym ostatnim numerze ze strażnikami powinien opuścić centrum kontrolne. Spears z pewnością wysłał żołnierzy, by je zabezpieczyli. Mieliśmy szczęście, że został tam tak długo.
- Obiecałeś, że go nie zostawimy.
- Słuchaj Billie. On jest inteligentniejszy niż dziewięćdziesiąt komandosów w bazie, włączając w to mnie. Wie, że musimy opuścić planetę. Nie potrafimy przewidzieć, co robi Spears, ale kiedy już stąd odleci, wszyscy, co tu zostaną, szybko będą tylko wspomnieniem.
- Nie spotkaliśmy ostatnio żadnego obcego – powiedziała Billie. – Może wszystkie zginęły.



- Nie wierz w to.

Powell chrząknął i przemówił:

- Spears prawdopodobnie znowu je opanował przy pomocy królowej.
- Ale Mitch...
- Ma nowe metalowe nogi i wystarczającą ilość rozumu, by znaleźć się tam, gdzie powinien – dokończył Wilks. – Prawdopodobnie już schował się w którymś z hangarów.

Billie zamilkła. Nie była pewna swych uczuć, ale widziała, że nie chce zostawić Mitcha.

- Nie zamierzamy chyba wjechać tak po prostu do statku, prawda? – odezwała się po chwili.
- Niby dlaczego. Schyl głowę i nikt cię nie rozpozna. Wszyscy się spieszą, nikt nie spodziewa się nas na tym transporterze. Zaparkujemy, zrobimy hop i znikniemy gdzieś w głębinach statku.
- To brzmi nieprawdopodobnie.
- Nie znasz dobrze komandosów – zaśmiał się Wilks.
- On ma rację – wtrącił Powell. – Każdy będzie tak zdenerwowany, bojąc się zostać tutaj, że nikt niczego nie zauważy.

Billie pokręciła głową z niedowierzaniem. Nie wierzyła, że im się uda, ale nie miała żadnego lepszego pomysłu.

Spears szybko zapakował wszystkie rzeczy, które uważał za cenne, do pojedynczej skrzyni z twardego plastiku. Była to para wykonanych z nierdzewnej stali rewolwerów Smith & Wesson z rękojeściami wyłożonymi rzadkim gatunkiem drewna. Należały kiedyś do południowoamerykańskiego dyktatora, który sam siebie ustanowił Władcą Drugiego Libanu w Systemie Khadaji. Spears wyjął broń z pasa w chwilę potem, jak przestrzelił frajerowi głowę.

W skrzyni znalazło się też miejsce na paczkę cygar, z których każde skryte zostało w hermetycznym pojemniku, a te włożone w plastikowe pudełeczko. Obok cygar spoczęła mała kolekcja dysków informacyjnych, słowniki wojskowe i historyczne. Był tu także hologram z codziennymi ćwiczeniami.

Miał jeszcze oczywiście inne rzeczy, ale tych nie pozostawiłby za żadną cenę. Poza tym żołnierz wtedy podróżuje najlepiej, kiedy ma lekki bagaż.

Skończył pakowanie i opuścił swoją kwaterę. Ruszył do statku. Nie odwrócił się ani razu.

Pomimo tego, co powiedziała Billie, Wilks był zdenerwowany. Hangar był ogromny i wszędzie było mnóstwo zamieszania, ale coś mogło pójść źle. Dobra, zrobią, co muszą zrobić, i pieprzyć resztę. Przynajmniej byli teraz uzbrojeni i jeżeli zginą, to zginą w walce. Były gorsze sposoby umierania. A wyjedzenie od wewnątrz przez poczwarkę obcych było najgorsze z możliwych do wyobrażenia.

Dwójka żołnierzy zajęła się załadunkiem obcych do ładowni. Nazwę statku wypisano dużymi literami na powłoce: CMC MACARTHUR.

- Zajeź za tamten transporter – powiedział Wilks – Zatrzymaj i wysiądź na przeciwną stronę. Tam jest wjazd konserwacyjny, prawda?
- Tak.
- Co zrobimy, gdy nas ktoś rozpozna? – spytała Billie.
- Załatwimy go. Ten statek ma odlecieć. Jeżeli będzie trzeba, musimy wywalczyć sobie drogę do środka. Możemy też wdrzeć się przez górę. Majorze? Poradzisz sobie z tym?

Powell potrząsnął głową i nic nie odpowiedział.

Wilks nie był pewny majora, ale w tym momencie nie miał wyboru. Billie, ech, Billie. Jeszcze Bueller, jeżeli się zjawi. A Powell? Cóż, pożyczmy, zobaczymy.



Transporter ze swym śmiercionośnym ładunkiem potoczył się dalej na swych silikonowych kołach.

Spears zobaczył ostatni wózek transportowy zbliżający się do statku. W ciągu piętnastu minut załadunek będzie zakończony. Pierwszy krok do ostatecznego celu, do odzyskania Ziemi.

Porucznik, którego zostawił odpowiedzialnym za załadunek, podszedł szybkim krokiem.

- Panie generale, właśnie przybył ostatni transportowiec.
- Czas?
- Dziesięć minut, panie generale.
- Dobrze, bardzo dobrze. Gdy tylko skończycie, zaczynacie ładować się na *Granta*. Potem polecicie za *MacArthurem* i *Jacksonem* na orbitę i dokonacie skoku w przestrzeń E. Jakież pytania?
- Nie, panie generale.
- W porządku. Działajcie.

Spears popatrzył na ludzi pracujących przy statku. Skinął głową na jednego z nich, który właśnie spojrzał w jego stronę. Potem odszedł w stronę *Jacksona*.

Wilks i Billie byli już przy włączniku konserwacyjnym, kiedy ktoś za ich plecami krzyknął:

- Hej, wy trzej ! Co tam robicie? Przebywanie na tym terenie jest zabronione!

Wilks odwrócił się gotowy nacisnąć spust karabinu, lecz Powell wszedł mu na linię ognia.

- Spokojnie, żołnierzu – powiedział.
- Major Powell?
- Masz rację.

Przez chwilę młody komandos wyglądał na zakłopotanego. Wbijano mu do głowy od pierwszego dnia służby w Korpusie: „ Kiedy oficer każe ci skakać, skacz i bądź już w powietrzu, zanim powie ci, jak wysoko powinieneś skoczyć.” Może wody intelektu komandosów były muliste, ale jedno widzieli jasno: generał był wyższy rangą od majora, a to generał wydał mu rozkazy.

- Idź dalej, Billie – szepnął Wilks. Ponieważ Powell zasłaniał go przed wzrokiem żołnierza, powoli podniósł karabin i ostrożnie wysunął lufę.
- Lepiej będzie, jak pójdzie pan ze mną, majorze – odezwał się żołnierz
- Nie mam na to czasu, żołnierzu – odpowiedział Powell. – Generał Spears i ja przedyskutowaliśmy różnice zdań i teraz mam sprawy, które nie mogą czekać. Zadzwoń do niego, jeżeli chcesz, ale ja się spieszę.

Wilks dostrzegł, że komandos sięgnął do przełącznika przy prawym uchu. W ciągu sekundy włączy się na linię i gra będzie skończona. Sierżant miał już broń wycelowaną prosto w wartownika, tylko Powell zasłaniał mu widok. Teraz albo nigdy.

- Powell, padnij !

Major był bardzo szybki. Skoczył w prawo i padł płasko na ziemię, odsłaniając Wilksowi komandosa.

Młody żołnierz zdębiał. Nie wiedział, czy ma nawiązać łączność czy strzelać. Spróbował zrobić obie rzeczy naraz.

Wilks wystrzelił tylko raz i trafił żołnierza w środek piersi. Czysty strzał prosto w serce. Pocisk 10 mm zabijał natychmiast. Głowa czy kręgosłup były lepszym celem dla serii, ale pojedynczy strzał mógł zginać w szumie ogromnego hangaru. Ciągły ogień na pewno zwróciłby uwagę.



Komandos upadł. Na jego twarzy ciągle malowało się zdumienie. Jego karabin stuknął o podłogę i wypalił. Krótka seria zagrzmiała w hali. Pociski z niekontrolowanej, rzuconej odrzutem broni posypały się wokół.

Co najmniej jeden z nich trafił toczącego się po podłodze Powella. Wilks dojrzał, jak eksplodowała głowa majora.

Sierżant, kiedy był chłopcem, włożył pewnego razu petardę do melona. Pocisk wystrzelony z tej odległości musiał wywołać taki sam efekt jak wybuch niewielkiego przecież ładunku w arbuzie.

- O, kurwa!
- Wilks?
- Ładuj się do statku, Billie . Prędko!

Siedzący już w kabinie sterowniczej *Jacksona* Spears otrzymał nagle meldunek.

- Panie generale, jakaś mała strzelanina obok *MacArthura*.

Spears włączył komputer.

- Przyczyna? – zapytał.
- Panie generale, znaleźliśmy ciało majora Powella obok jednego z wejść.
- Rozumiem. Jakież inne odznaki wrogiej działalności?
- Nie, panie generale. *MacArthur* jest załadowany i zabezpieczony.
- Dobrze. Niech zdrajcy pochowają Powella – powiedział Spears. – Startuję w ciągu trzech minut. Oczyszczyć hangar i wyłączyć grawitację.
- Tak jest, panie generale.

Spears połączył *MacArthura* z *Jacksonem* i sprawdził jeszcze raz kody, żeby upewnić się, że w komputerach wszystko jest w porządku. Zielone światełka pokazywały mu prawidłowe funkcjonowanie wszystkich systemów. Nad głową powoli zaczął przesuwając się ostatni otwarty jeszcze wąż. Generał wyczuwał prace wielkich pomp, które wysysały powietrze z hali hangaru do pojemników statku. Ciężenie zaczęło maleć. Teraz tylko mały ciąg silników i statek podniesie się. Kiedy wysunie się z hangaru, silniki wyniosą go pełną mocą na orbitę.

- Jedna minuta do startu – obwieścił głos komputera kontrolnego.

*Jackson* miał już wolną przestrzeń nad sobą, a w ciągu trzydziestu sześciu sekund również nad *MacArthurem* rozsunie się powłoka hangaru...

Spears pokiwał głową. Doskonale.

Wewnątrz statku Billie i Wilks przyglądali się rzędom kontenerów kryjących w swoich wnętrzach obcych .

- Chryste – wyszeptała Billie.
  - Taaa... Chodźmy znaleźć kabinę sterowniczą.
- Zrobili może dziesięć kroków, gdy nagle zmałało ciśnienie.
- Wilks, co to jest?
  - Nie wiem. Może jakieś zaburzenia w bazie, albo...
  - Albo co?
  - Nic.

- No, Wilks. Nie zaczynaj drażnić się ze mną.
- Może to przygotowania do startu. Wyłączą grawitację wewnątrz hangaru, żeby łatwiej wysunąć statek na zewnątrz. W ten sposób nie usmażą hali w czasie startu.
- Nie możemy odlecieć. Mitch ...
- Wiem, wiem. Zobaczmy, czy uda nam się znaleźć sterownię i coś zrobić.

Przy naturalnym ciśnieniu planetoidy, normalne chodzenie było niemożliwe, skakaliby do sufitu przy każdym kroku. Wilks poruszał się stosując coś w rodzaju pływania pod wodą. Łapał się za coś i wypychał całe ciało do przodu. Billie szybko nauczyła się tego samego.

Z każdym ruchem byli bliżej kabiny sterowniczej.





- Początek startu – powiedział komputer.

Spears poczuł lekki wstrząs, gdy silniki podnosiły statek. Po chwili wyłączyły się i masywny pojazd zaczął dryfować jak balon wypełniony gorącym powietrzem w zimny poranek. Generał dotknął przycisku. Zewnętrzne opancerzenie odsunęło się i polaryzacyjna płyta zabezpieczająca kabinę pojaśniała. Czerń przestrzeni otaczała statek i małą planetę jak zasłona usiana punkcikami laserowego światła.

Lubił podróże kosmiczne. Świadomość pokonywania tak ogromnych przestrzeni napępiała go dumą. Czuł potęgę człowieka, wiedział, że może ruszyć na podbój galaktyki bezpieczny w swej cudownej maszynie, osłonięty przed zabójczym działaniem próżni, która potrafiła zestalić powietrze.

„Nie możesz mnie nawet dotknąć” – pomyślał. Zaśmiał się z impotencji kosmicznej pustki.

Nacisnął inny przycisk i włączył zewnętrzne kamery. Przywołał na ekran obraz z tyłu statku. Zobaczył *MacArthura* wynurzającego się z hangaru.

Kiedy drugi statek był już na górze, Spears odnalazł następny przycisk. Nie było go tutaj, kiedy budowano tę kabinę. Duży guzik świecił jaskrawą czerwienią z wierzchołka dużego transmitera. Generał własnoręcznie go tu umieścił. Teraz wcisnął kciukiem przycisk.

Poniżej, w bazie, silniki pozostałych statków zaczęły zamieniać się w płynną, bezużyteczną masę. W ciągu minuty to, co było szczytowym osiągnięciem ludzkiej techniki, stało się rozpalona do białości zupa wrzącego metalu i plastiku. Tylko Bóg potrafiłby to odbudować. I nawet on musiałby być diabelnie dobrym inżynierem.

Spears otworzył z namaszczaniem plastikowe pudełko z cygarami. Wybrał jedno ze środka skrzyneczki, wyjął i odkręcił zabezpieczenie hermetycznej rurki. Cichy syk uciekającego gazu niósł ze sobą zapach świeżego tytoniu. Stuknął w rurkę i wyjął ciemne cygaro *Jamaican Lonsdale*. Przyjrzał mu się z zachwytem. Bezczenna, warta fortunę, wysmukła piękność. Za chwilę ja zapali. Uśmiechnął się. Czy to nie normalna kolej rzeczy? Nawet to wspaniałe cygaro będzie tylko popiołem po wypaleniu. Nic nie jest wieczne. Liczą się tylko czyny. I nikt nie dokona większego niż odbicie planety z rąk wroga i przywrócenie rodzajowi ludzkiemu jego domu rodzinnego.

Obciął koniec *Lonsdale*, zwilżył liście pomiędzy wargami, potem przez chwilę lekko ssął końcówkę. Sięgnął po zapalniczkę.

Pierwsze pociągnięcie wypełniło mu nozdrza. Wydmuchiwał powoli aromatyczny dym w zimne powietrze kabiny i patrzył, jak znika w otchłaniach wentylatorów.

„Niewiele jest rzeczy wspanialszych niż to” – pomyślał zbawca ludzkości.

Niewiele, panie generale.

23.

- Wilks! – krzyknęła Billie. – Zatrzymaj statek!

Grawitacja zniknęła, statek unosił się w górę i Wilks wiedział, że z tego miejsca, gdzie siedział, nic nie potrafi zrobić. Konsola kontrolna statku była zablokowana; nic nie czego próbował, nie odpowiadało. Jednak ciągle próbował.

- Wilks, do diabła, obiecałeś...!

- Więc wytocz mi proces! Nie mogę ugryźć tego gówna! Statek leci na automatach

Billie gapiała się na niego, jakby nagle wyrosły mu rogi i ogon.

- Jest pewnie podłączony do Spearsa – powiedział już spokojniej. – polecimy, gdzie on poleci. Przykro mi.

Ciągle patrzyła na niego. Nie odezwała się ani słowem.



Wilks westchnął, odchylił się w tył i zaciągnął swój pas bezpieczeństwa. Pewnie z Buellerem nie wyszło najlepiej, ale to nie jego wina. Mógłby sprowadzić statek na dół dla tego jednego androida, gdyby tylko potrafił. Ale tak nie było. Nie lubił zostawiać komandosów ze swego oddziału na pewną śmierć. W przeszłości już mu się to zdarzało. Wielu jego kumpli zginęło w ten sposób. Do diabła, kiedy na ciebie kolej, to przepadło. Billie powinna dojść do takiego wniosku już dawno. Jeżeli tego nie zrobiła, to źle. Życie jest twarde. Powinna to wiedzieć.

Spears miał włączony komunikator i zanim upłynęło kilka minut, usłyszał to, czego się spodziewał.

- Generale Spears! Tu Pockler na *Grancie*! Mamy uszkodzone silniki. Statek nie daje się uruchomić! Nie możemy wystartować panie generale!

Komunikator nie przekazywał obrazu, ale Spears mógł sobie z tonu głosu wyobrazić jak przerażony był ten żołnierz, który tak rozpaczliwie krzyczał do mikrofonu.

- Generale Spears? Mamy meldunki z innych statków. Ktoś uszkodził wszystkie silniki! Panie generale! Generale! Proszę, niech się pan odezwie!

Spears pociągnął kolejną porcję dymu. Boże, co to był za wspaniały tytoń! Musiał oczywiście wypalić całe, chociaż mógłby połowę schować na później, nawet bez otoczki szlachetnego gazu. Nie, nie robi tego.

- Generale Spears! Jesteśmy tu w pułapce! Musi pan zawrócić *MacArthura*!

Wentylatory wessały dym. Pomyślał, że mógłby je wyłączyć i spróbować wypuścić kilka kółek. Powinny długo się utrzymywać przy tak małej grawitacji.

- Panie generale! Robotnice oszalały. Dobijają się do statku, są wszędzie. Zachowują się, jakby potraciły zmysły!

Spears obserwował żarzący się koniuszek cygara. Trzymał je pionowo. Słupek popiołu był już tak duży, że najmniejszy ruch mógł go strącić. Nie trzeba zaśmieczać kabiny odpadkami niezależnie od tego, czym były wcześniej. Ciekawe, że obcy już wiedzą, że królowa odleciała. Naprawdę interesujące. Ciekawy był zawsze, czy empatyczna łączność działa na duże odległości. Wygląda na to, że tak. Mama odeszła i dzieci są smutne. Bardzo interesujące.

- Generale...!

Co za wspaniałe cygaro, teraz tylko ono się liczy.

Konsola statku była zablokowana, ale działał komunikator.

Wilks nie chciał nadawać, nie chciał, by ktokolwiek odkrył, gdzie się znajdują. Uważał, że nikt nie wie, gdzie są i najlepiej, gdyby tak pozostało.

Jednak ktoś wiedział, gdzie się znajdują. I połączył się z nimi kompletnym przekazem razem z wizją.

Bueller.

Cholera.

- Mitch!

Nie wyglądał gorzej niż w rzeczywistości. Billie nie potrafiła rozpoznać, gdzie jest. Było to jakieś pomieszczenie przypominające biuro. Siedział przy biurku. Jego nowe nogi nie były widoczne i gdyby nie wiedziała tego, mogłaby myśleć, że cały jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy. To było tak dawno temu i tak daleko stąd.

- Cześć Billie. Ten kanał jest bezpieczny. Nikt nie przechwyci przekazu, jeżeli coś powiesz. Jeżeli nie chcesz, zrozumieć.

Billie popatrzyła na Wilksa. Wzruszył ramionami.

- Gadaj. Nikt nawet nie domyśla się, że tu jesteśmy. Właśnie stwierdziłem, że ten statek jest jak transportowiec, a my pilnujemy Spearsowi ładunku.



- Mitch. To ja.
- Cieszę się, że znowu cię widzę. Obawiałem się, że cię trafią, gdy zaczęła się ta strzelanina.
- Widziałeś to?
- Byłem po drugiej stronie korytarza.
- Mitch, tak mi przykro...
- Nie twoja wina –przerwał jej. – Spears tak zaprogramował wasz statek. Nie zatrzymalibyście go bez poważnego uszkodzenia.
- Możesz dostać się na inny?

Uśmiechnął się nikłym smutnym uśmiechem.

- Prawdopodobnie, ale to by nic nie dało. Żołnierze zgromadzili się w jednym i nie wystartował. Na mój rozum, to Spears uszkodził silniki. Nie chciał, by ktokolwiek poleciał za nim.

Gdzieś w tyle rozległa się głucha eksplozja.

- Co to było?
- Chyba granaty. Robotnicy wyszły stąd i wpadły w amok.

Spears zabrał ich królową. Chyba to wyczuły.

- O, Boże...
- Nic nie można na to poradzić, Billie. Ja jestem tutaj, a ty tam. Jeżeli istnieje Bóg, ma nieco spacone poczucie humoru. Po tym, co widziałem..
- Mitch! Ja... ja...
- Nie, Billie. Miałem trochę czasu na myślenie i doszedłem do wniosku, że masz rację. Jesteśmy zbyt różni, by wytrwać razem przez dłuższy czas. Próbowaliśmy i pewnie w końcu zamęczilibyśmy się na śmierć. To nie dlatego, że ja pojmowałem to na swój sposób, a ty na swój. Po prostu jesteście inni.

- Udałoby nam się, gdybyś się tak cholernie nie bał – powiedziała Billie.

Potrząsnął głową. Kolejny odgłos wybuchu przepłynął kanałami telewizyjnymi i rozległ się w kabinie statku.

- Nie. Nowsze modele androidów, naprawdę doskonałe, będą może zdolne radzić sobie z problemami czysto ludzkimi. Zanim nie zostałem rozdarty przez obcego, potrafiłem oszukać czyjeś oko. To wszystko. Oszukiwałem również siebie przez krótki czas. W końcu nie jestem prawdziwym człowiekiem. Nie w taki sposób jak ty.

Billie nie mogła wykrztusić słowa.

Włączył się Wilks.

- Jesteś lepszy niż my oboje. I to jest twoim problemem, Bueller. Silniejszy, sprytniejszy, szybszy i kiedy sprawy zaczynają iść źle, bardziej ludzki, więcej wybaczący. Gdybym to ja siedział w twoich butach – jeżeli ciągle je masz – olałbym totalnie wszystko. Ty pozwoliłeś nam odlecieć człowieku. Mitch.

Billie zamrugała i popatrzyła na sierżanta. Po raz pierwszy użył imienia Buellera.

Mitch także to zauważył.

- Dzięki, Wilks.

Głos mu drżał tak, że ledwo potrafi wymówić te dwa słowa. O, Boże!

- Zaopiekuj się Billie.
- Zrobię to.
- Mitch.
- Muszę iść Billie. Tam umierają ludzie. Chociaż nauczyłem się, że nie każdego warto ratować, ciągle nie potrafię złamać tego prawa etyki, które mi wbudowano. Uważaj na siebie, Billie. Kocham cię. Teraz wiem, że zawsze cię kochałem. I przez cały czas, jaki mi pozostał, będę cię kochał. Żegnaj.

Obraz zniknął, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.



- Mich!
- Wyłączył się – powiedział Wilks.

Patrzył na puste miejsce, gdzie przed chwilą migotała holoprojektacja. Nie mógł spojrzeć na Billie.

Gdyby była na jego miejscu też nie mogłaby patrzeć na nikogo. Czuła się podle. Mitch był androidem, ale Wilks miał rację. Był lepszy niż ona. Dużo lepszy.

Płakał jeszcze przez długi czas.

- Zeszliśmy z orbity i poruszamy się już w kierunku celu – odezwał się Wilks.

Skinęła głową, ale nie odezwała się.

- Prawdopodobnie niebawem wejdziemy w przestrzeń Einsteina. Jest tu z pół tuzina komór. Inne zostały zdemontowane, żeby zrobić miejsce na kontenery obcych. Te, co zostały, wydają się sprawne.

Billie dalej nie odezwała się ani słowem.

- Powinniśmy zejść na dół i sprawdzić je. Nie wiadomo, jak długo będziemy lecieć. Może miesiące, może lata.

Spojrzała na niego. Jej milczenie denerwowało go.

- Słuchaj, już sprawdziłem statek ratunkowy. Usunięto go, żeby zrobić miejsce na ładunek. Gdyby został, moglibyśmy wrócić. Jest tu kilka ciężkich skafandrów próżniowych, ale to nam nic nie da. Nawet, gdybyśmy przeżyli lot w dół – co jest prawie niemożliwe – nie wydostalibyśmy się stąd. Obcy opanują bazę, wiesz o tym. Powrót bez możliwości ucieczki byłby samobójstwem. Nie możemy w żaden sposób im pomóc.

- Rozumiem – powiedziała płaskim, wypranym z emocji, cichym głosem

- Może kiedy dotrzemy do celu, uda nam się zmusić Spearsa do zapłacenia za wszystko.

- Nigdy nie będzie to wystarczającą rekompensatą – stwierdziła tym samym tonem Billie.

- Może nie, ale poczuję się lepiej.

Po tych słowach nie rozmawiali ze sobą przez dłuższy czas.

W swoim statku generał Thomas S. M. Spears spał spokojnym snem człowieka, który nie obawia się niczego, nie poczuwa się od żadnej winy i nie wstydzi się żadnego ze swoich czynów. Odpoczynek uzupełniał przyjemny, lekko seksualny sen o wojnie. Generał jechał wraz ze Stonewallem Jacksonem. Właśnie rozpoczynała się Bitwa o Chancellorsville. Jackson jeszcze nie odniósł swych ran.

- Dziś Pan da nam zwycięstwo – odezwał się do Spearsa.

Generał, który pogardzał każdą religią, uśmiechnął się i skinął głową. Pan pomaga tym, którzy mają żołnierzy i najlepszą strategię oraz taktykę. Jednak ciągle „Zwycięstwo” jest kluczowym słowem

I tak będzie zawsze.

Wilks siedział w tym, co pozostało z kabiny sterowniczej, i patrzył na obraz z kamery umieszczonej na dziobie statku. Drugi pojazd kosmiczny był może o kilometr dalej i nieco z boku. Oba statki mogłyby być jeszcze bliżej siebie, gdyż napęd grawitacyjny nie stwarzał żadnego niebezpieczeństwa uszkodzenia sąsiada. Jednak silniki manewrowe były starego typu i mogły narobić kłopotów.

Na tle czarnej zasłony czerni i srebrzystych punktów gwiazd statek generała wyglądał jak zamrożony pomnik. Nie było żadnego wrażenia ruchu. Wydawał się wisieć w pustce.



Jak we wszystkich wojskowych pojazdach zaprojektowanych dla człowieka, Jackson miał na pokładzie zapasy pewnych artykułów. Racje żywnościowe nie zadowolilyby nawet dość przeciętnego podniebienia, ale można było dzięki nim przeżyć. Ich ilość była wystarczająca, by Wilks i Billie mogli przetrwać nawet kilka lat w pełnym zdrowiu. Mieli tu zapewnioną stałą dostawę zarówno witamin, jak i soli mineralnych. Oczywiście na wypadek, gdyby cały czas pozostawali w normalnej przestrzeni.

Billie nie odzywała się zbyt wiele i Wilks to rozumiał. Była smutna i podzielał jej uczucie. Próbował ją ostrzec dawno temu, przy pierwszych oznakach niebezpieczeństwa, ale nie chciała go słuchać. Problemem było, że był starszy i mądrzejszy, lepiej znający różne galaktyczne ścieżki. Myślisz, że masz coś do zaoferowania, ale nikt nie chce cię słuchać. Billie była dzieciakiem, a on był wystarczająco stary, by być jej ojcem. Nie, nie myślał o sobie nigdy w ten sposób, ale dostrzegł związek pomiędzy Billie i Buellerem zaraz, kiedy się rozpoczęła ich znajomość. Próbował jej powiedzieć, ostrzec ją, ale ona była jak rekruci Komandosów Kolonialnych, których oglądał przez tyle lat. Zarozumiali, myśleli, że nikt nie potrafi zrobić nic lepiej niż oni, wynajdujący od nowa koło na własny użytek, wyważający otwarte drzwi. Często ich wysłuchiwał, tych napuszonych gadek i niewypowiedzianych myśli: "Stary farciarz jak ty? Co ty wiesz, dziadku? Nigdy nie byłeś młody, a jeżeli byłeś, to tak dawno temu, że już wszystko zapomniałeś. Oszczędzaj się, staruszk, stoisz nad grobem." Pieprzone dzieciaki.

Mieli rację tylko co do jednego: prawie nie pamiętał, że był kiedyś równie głupi jak oni. Potrafił sobie to przypomnieć, ale zawsze potrząsał przy tym z niedowierzaniem głową. Gdyby mógł mieć znowu dziewiętnaście lat, załatwiłby się z tymi małymi zarozumiałymi skurwysynami w pięć minut. Nawet w trzy minuty.

- Wilks? - Hmm?

- Co zamierzamy zrobić?

Wzruszył ramionami. Mógłby zrozumieć jej pytanie na sto sposobów, ale wiedział, że właściwy jest tylko jeden: Co mają zrobić ze Spearsem? Facetowi daleko było do świętego. Zostawił na śmierć swoje oddziały, wielu żołnierzy zabił, a teraz był na drodze do celu, który mógł okazać się kresem ludzkiej historii.

- Wilks?

- W tej chwili, nic. Nie mamy żadnego sprzętu, żadnej broni z wyjątkiem ręcznej. Karabin nie robi krzywdy takiemu statkowi, nawet gdybyśmy zdołali go osiągnąć. Oczywiście, moglibyśmy wyjść w próżnię, mamy kilka ubrań, ale przy

śpieszamy i nie ma szans na osiągnięcie większej prędkości względnej. Pistolety odrzutowe w skafandrach są za słabe.

Nie mówię nawet o tym, co by się stało, gdyby Spears wpadł w takim momencie na pomysł przejścia do przestrzeni Einsteina.

Billie zamruwała. Nie wiedział, czy jest rzeczywiście zainteresowana tym, co mówi do niej, ale takie sprawiała wrażenie.

- Słuchaj, pola napędowe prawie w całości podążają za statkiem, który je generuje. Gdybyśmy podnieśli kłapę Włazu, może udałoby nam się lecieć wraz z nimi. Ale cokolwiek wyszłoby poza nie, ramię, noga albo głowa, zostałyby z tyłu.

Billie znów zamruwała, ale nie powiedziała ani słowa.

- Pole jest lepsze niż najlepszy pancerz. No wiesz, nic nie może się dostać do wewnątrz, więc nie mielibyśmy szans na powrót. Nawet gdybyśmy nie zostali rozcięci, a to mogłoby się zdarzyć, musielibyśmy pozostać na zewnątrz tak długo, jak statek przebywałby wewnątrz pola. Miesiące, może rok, może dłużej.

- Może nie byłoby to najgorsze - odezwała się Billie.

- Może, gdyby ci nie zależało na tlenie i chciałybyś się udusić w swoim własnym dwutlenku węgla. Potem, gdy statek zrobiłby skok w normalną przestrzeń, nasze ciała



wytrysnęłyby do przodu i podróżowały sobie w pustce przez wieczność. Znam lepsze sposoby na odejście z tego świata.

-A ja gorsze.

- Zgoda. Są i gorsze. - Co nam pozostaje?

- Czekanie. Moglibyśmy zniszczyć ten statek. Spears nie chce tego, nie z jego armią na pokładzie. Może udałoby nam się go oszukać. Jakoś wdrzeć się do komputera, przejąć kontrolę i przygwoździć tego sukinsyna. Albo może kiedy wyjdziemy na zewnątrz moglibyśmy zacząć powoli spadać i mieć szansę.

- Na...?

- Do diabła, nie wiem, Billie. Nie znam wszystkich odpowiedzi. Wdepnął w to wszystko wtedy co i ja. Może gdybyś tak siebie cholernie nie żałowała, wymyśliłabyś coś! Przyjrzała mu się uważnie.

- Wiedziałeś, że Mitch jest androidem. Wiedziałeś, zanim go spotkałam. Nie powiedziałeś mi.

Wzrok Wilksa błędził gdzieś po suficie.

- No tak. Próbowałem ci wbić do głowy, żebyś trzymała się z daleka od niego, nie? W ogóle cię to nie obchodziło. Nie obwiniaj mnie o to, dziecko. Zrobiłem wszystko z wyjątkiem zamknięcia cię w kabinie na klucz. Nie słuchałaś, co do ciebie mówiłem, prawda? Stary lekoman od dwudziestu prawie lat w odstawce. Co on się na tym zna? Tak myślałaś, mam rację? Billie spuściła wzrok.

- Tak - szepnęła. - To nie twoja wina. Przepraszam. Czuł, jak ulatnia się gdzieś jego złość. Jezu. Potężny, niezwyciężony komandos pobity przez małą dziewczynkę.

- W porządku. Ja też cię przepraszam.

W tym momencie zostało powiedziane chyba już wszystko. Zanim na nowo zaczęli rozmawiać, rozległy się dzwonki alarmowe.

- Do licha. To sygnał oznaczający, że zostało nam dziesięć minut. Do tego czasu musimy znaleźć się w komorach. Lepiej się pośpieszmy.

- Czemu mamy się śpieszyć?

- Przechodzenie w inną przestrzeń może skończyć się bardzo brzydko dla twojej psychiki, jeżeli nie będziesz spała. Byłem w takim stanie przez pół godziny. Rodzaj testu kontrolnego. To było trzydzieści minut najokropniejszych koszmarów, jakie kiedykolwiek widziałem.

Wzdrygnęła się, a Wilks wiedział dlaczego. Oboje śnili o obcych zbyt wiele razy i wiedzieli, co znaczą koszmarnie sny. Pośpieszyli do komór hipersnu.

Spears miał trzy komory do wyboru i wszystkie funkcjonowały doskonale. Generał był człowiekiem dbałym o swoje bezpieczeństwo i dlatego wyznawał zasadę potrójnego zabezpieczenia. Nic nie mogło zostać pozostawione na pastwę ślepego losu.

Wszedł do środkowej komory. Wszystkie trzy były wyposażone w specjalny system alarmowy. Jeżeli którykolwiek z podzespołów bioelektroniki zaczęły źle funkcjonować, generał zostałby obudzony i przeniesiony do innej komory. Nawet w stanie półsnu dałby sobie radę z zaprogramowaniem swego drugiego łóża.

Nie sądził, że coś mogło się przydarzyć, ale wolał być przygotowany. We właściwym czasie musi przybyć na Ziemię. We właściwym czasie musi osiągnąć punkt, z którego rozpocznie podbój planety. Spodziewał się stoczyć szereg bitew, które przejdą do historii, jak: Gettysburg, Alamo, Waterloo, może jeszcze bitwa na Równinie Dżbanów i w ruinach El Salvador. Była jakaś tajemnicza symbolika łącząca tych dawnych żołnierzy i jego nową armię. Stojąc na barkach jakiegoś historycznego olbrzyma, mógł dodać tylko pomnik swojej chwały. Na marginesie mówiąc, na Ziemi było jeszcze trochę terenów, które nigdy nie zaznały wojny. Można by wybrać takie miejsce jako kolebkę zwycięstw generała Thomasa S. M. Spearsa.



Gdy pokrywa komory zasunęła się i medyczna maszyna podłączyła swe końcówki do jego ciała, Spears dokonywał wyboru.

Bunker Hill, Rio del Morte, Pearl Harbor, Wzgórza Golam Bagdad, 38 Równoleżnik, Sparta, Rzym...

Tak wiele miejsc, spośród których może wybierać. Jakim cudownym zjawiskiem jest wojna...

25.

Sen: Myśli trójki ludzi przetaczane chemicznie przez wilgotne obwody ich mózgow płynęły prądami przez neurony, kondensatory dendrytów, a podświadomość śpiewała swą hormonalną pieśń.

Samotne w miliardach kilometrów pustki broniły siebie ~i czuwały nad innymi, nieludzkimi istotami. Śniły.

Jedne bawiły się. Dwójka innych wiła się schwytna w szpony strachu. Z tej ostatniej pary, jedna szła na spotkanie śmierci, lecz walczyła nieustraszenie, chociaż wiedziała, że Śmierć zwycięży. Druga odkryła, że będzie żyć wiecznie, ale z potworem jako stałym towarzyszem jej dni.

Nie było wątpliwości, który ze snów był najbardziej przerażający.

26

Billie przebudziła się i przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest i jak się tu znalazła. Bolała ją głowa, ramiona i nogi miała zdrętwiałe, a usta wysuszone. W zadziwiający sposób czuła, że to najszczęśliwsza chwila w jej życiu: nie miała bagażu. Nagle przypomniała sobie.

Pokrywa komory była odsunięta, pompy wyłączone, a powiew przytęchłego powietrza statku owionął jej twarz. Usłyszała szcęk od strony komory Wilksa, odwróciła się i zobaczyła, że również się obudził.

Sierżant usiadł, przetarł oczy i oblizał wargi. Spojrzał na Billie i skinął jej głową.

- Czas wstawać i oczyścić się trochę - powiedział. Głos miał mocno zachrypnięty. - Następnego dnia ku chwale Korpusu.

Billie spojrzała pytająco.

- Tak mówił sierżant w moim starym plutonie, kiedy kończyliśmy sesję z którymś z tych frajerów.

- Co się z nim stało?

- Jedno miłe stworzonko miało inne zdanie niż on i go zjadło.

Poszli oboje pod prysznic. Billie rozebrała się i weszła pod strumień wody. Ta leciała niemrawo, ale była gorąca i dziewczyna czuła, jak spływa z niej całe odrętwienie kilkumiesięcznego snu.

Wilks patrzył na nią, na jej nagość, potem odwrócił się i pozwolił spływać wodzie po włosach, twarzy i w dół po całym

ciele. Billie ujrzała na jego skórze blizny, niektóre jeszcze gorsze niż na twarzy. Widoczne ślady jego żołnierskiego życia zarówno na polu walki, jak i w różnych spelunkach. Ciekawa była, dlaczego nie kazał sobie tych szram usunąć. Nawet tak pokancerowany, miał ciągle sprężyste, muskularne ciało jak na człowieka w wieku jej ojca. Jakie miał kształtne pośladki.

Zabawne, ale nigdy nie myślała w ten sposób o Wilksie, z wyjątkiem koszmarnych snów. Jej sny były, swoją drogą, standardowe od dzieciństwa. Potwór wychodzący z kogoś, kogo znała. Wszystkie najstraszniejsze rzeczy działy się zawsze z bliskimi jej ludźmi. Z rodzicami, z bratem.



Wilks odwrócił się i spostrzegł, że Billie mu się przygląda. Jej wzrok błędził gdzieś w okolicy łędźwi sierżanta. Gdyby myślał o niej jak o godnej pożądaną kobiecie, byłoby to łatwe do zauważenia. Mężczyźni trudno ukryć tego rodzaju reakcję. Nie znaczyło to, że miała duże doświadczenie z mężczyznami, zaledwie kilku miała w życiu, ale każdy, kto wychował się w szpitalu, ma niezłe pojęcie o anatomii. Wiedziała, co i gdzie powinno wchodzić i jak to coś wygląda na moment przedtem. Wilksa członek nie zasalutował jej i widać było wyraźnie, że nie okazuje najmniejszego zainteresowania Billie jako kobietą.

- Jak długo spaliśmy?

Wilks stał z zamkniętymi oczami i wystawiał twarz na działanie gorącej wody. Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie sprawdziłem jeszcze zapisu. Ale skoro statek nas obudził, musimy być blisko celu.

- Co teraz?

- Skończymy się kąpać i coś zjemy. Potem pomyślimy nad następnym posunięciem. Jedna rzecz naraz, to najlepsze wyjście.

Billie skinęła głową i pochyliła się nieco tak, żeby woda

spływała jej w dół po kręgosłupie. Może to jest naprawdę sposób na pokonywanie ścieżek życia bez ryzyka postradania zmysłów. Robić jedną rzecz naraz, odgryzać małe kawałeczki i żuć bez narażania się na zadławienie.

Spears dokonał odkrycia właściwie przez przypadek. Obudził się sześć godzin wcześniej, umył się, zjadł pierwszy posiłek. Potem włożył pokładowy kombinezon i poszedł sprawdzić systemy swego królestwa. Była to czynność, która bardziej miała uspokoić jego umysł, niż wykryć cokolwiek. Komputer pokładowy był wystarczającym nadzorcą całej aparatury, lecz generał był człowiekiem ostrożnym i starał się zawsze sprawdzać, czy wszystko przebiega jak należy.

W tym przypadku tak nie było. System wiążący statek transportowy, który leciał kilka kilometrów za Jacksonem, wykrył, że dwie komory do hipersnu były używane podczas podróży przez hiperprzestrzeń. Woda została pobrana ze zbiorników, a potem zwrócona do oczyszczenia. Pobór mocy był nieco wyższy, niż wymagany do zapewnienia jego wojsku odpowiednich warunków. Zużycie tlenu również przekraczało trochę oczekiwaną wartość.

Mogły być dwie tego przyczyny: pierwsza - złe funkcjonowanie albo komputera, albo systemów MacArthura, lub druga...

Ktoś bez jego zezwolenia znalazł się na statku. Spał w jego komorach, a teraz oddycha jego powietrzem, pije jego wodę i używa jego światła. Będzie także zjadał jego zapasy żywności. Poza powiązaniem ze sobą napędów, statki nie były połączone ze sobą winny sposób. Generał nie pomyślał, że będzie to konieczne. Teraz nie miał na transportowcu swych uszu i oczu ani żadnej możliwości odcięcia dopływu powietrza czy energii. Wprawdzie miał na pokładzie Jacksona wystarczającą ilość broni, by zniszczyć swego towarzysza podróży, ale oznaczałoby to stratę jego ukochanego, drogocennego ładunku.

Siedział rozparty w fotelu i ponuro przyglądał się dostarczanym przez komputer informacjom. W porządku. Więc ma tam parę pasażerów na gapę. Niewielki kłopot. Nie wiedzą, że on wie o nich. Kiedy wylądują na Ziemi, zaopiekuje się nimi troskliwie, zanim zdążą cokolwiek zrobić. Dwójka dezertów, przestraszonych ludzkich żołnierzy. Nie będzie z nimi najmniejszych problemów. Jeden granat ogłuszający do wjazdu i nikt stamtąd nie wyjdzie o własnych siłach. Po swojej stronie miał przewagę szkolonej latami taktyki. Do lądowania ciągle pozostawało kilka tygodni i będzie miał mnóstwo czasu na przemyślenie sposobu na wykurzenie tych szczurów.

W międzyczasie trzeba było jeszcze zrobić wiele rzeczy. Musiał przygotować się do nadchodzących bitew. Wojna była coraz bliżej. Już stała za drzwiami.





Wilks ćwiczył. Używał do tego części statku wcale nie przeznaczonych na przyrządy gimnastyczne. Grubych rur używał do podciągania się na nich, stolków do robienia pompek. Czegokolwiek do zaczepienia stóp i robienia skłonów. Pracował ciężko, ciężiej, niż gdyby przebywał na statku sam. Epizod pod prysznicem wywołał u niego mieszane uczucia. Z jednej strony, pamiętał ją jako małą dziesięcioletnią dziewczynkę, którą uratował od śmierci, gdy zginęli jej rodzice. Ale stojąc obok nagiej Billie spostrzegł nagle, że dziewczynka wyrosła na atrakcyjną kobietę, a jemu nigdy nie zdarzało się być obojętnym na tak pociągające wdzięki. Billie kochała się z Buellerem i on o tym wiedział.

Lecz... Jezu Chryste. Miał tyle lat, że mógłby być jej ojcem. Co więcej, przez dłuższy czas właśnie taką rolę odgrywał. Nie widział jej od dziesiątka lat, może dłużej, i tamto dziecko oraz ta kobieta niewiele miały ze sobą wspólnego. Cóż, to nieuczciwe z jego strony myśleć w ten sposób. Przynajmniej w części.

Skończył trzecią partię po pięćdziesiąt przysiadów. Brzuch mu płonął, mięśnie drżały, jakby za chwilę miały się rozlecieć. Leżał na podłodze, a por spływał mu z ciała. Ciężko ćwiczył przez całą godzinę. Teraz pod prysznicem puści zimną wodę.

Billie otworzyła pojemnik z jedzeniem. Przełożyła zawartość do plastikowego naczynia i ogrzała porcję. Miało to zapach mięsa w sosie warzywnym. Pomyślała, że musi to być jakiś sojowy substytut.

Wszedł Wilks i skinął jej głową. Otworzyła dla niego drugi pojemnik.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Minęły już trzy dni, odkąd wrócili do normalnej przestrzeni. Większość tego czasu Wilks spędził na ćwiczeniach.

- Unikasz mnie? - spytała Billie. Popatrzył na nią znad talerza.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Wydajesz się być ciągle zamyślony.

Patrzył bez słowa na brązową bryłę stojącą przed nim. -To prawda. Obmyślam plan, to wszystko. Myślę.

- Tak? - Tak.

- Powiesz mi o nim?

- Oczywiście, chociaż nie jest jeszcze doskonały: - Nigdzie się nie śpieszę.

- W porządku. Jestem pewny, że znajdujemy się już w Układzie Słonecznym: Nie mogę tego potwierdzić żadnym

gównianym instrumentem, wszystkie są zablokowane, ale czuję to. Z napędem grawitacyjnym będziemy niedługo na Ziemi. Najwyżej kilka tygodni. Musimy poruszać się z prędkością bliską prędkości światła i kilka ostatnich dni podróży będzie poświęconych na hamowanie przy użyciu silników hamujących.

- Dobra. To wszystko wiem.

- Gdy tylko Spears je włączy, wszystko zacznie zwalniać w tym samym tempie. Statki, on i my. Jeżeli ubierzemy się i wyjdziemy na zewnątrz, możemy użyć odrzutu do przyspieszenia. Będziemy poruszali się tak szybko jak kula karabinowa, ale to prędkość względna.

- Więc, ubieramy się, wyskakujemy i łapiemy Spearsa. I co?

- Ponieważ nie wie, że tu jesteśmy, może uda nam się go zaskoczyć.

- Może?

- Hmm, cóż. Ma wykrywacze masy. Plus radar i Dopplera. Gdyby się nam przytrafiło przesunąć przed jego wykrywaczami, zobaczy nas. Prawdopodobnie jest tam też zainstalowany alarm, który go ostrzeże przed niespodziewanymi gośćmi.

- I rozstrzela nas na kawałeczki, prawda?

- Może nie. Może wyłączy silniki i zostawi nas wiszących w próżni. Zakładając, że nasz statek nas nie rozniecie jak robaki, kiedy przeleci obok.

- Powiedz mi, dlaczego twój pomysł wcale mi się nie podoba?



- Możemy jeszcze poczekać i walnąć go w łeb, kiedy otworzy właz do statku, by wypuścić swoje zwierzątka.

- To już będzie na Ziemi, ale tam jest kilka milionów obcych. Nie, dziękuję.

- W porządku. Jego detektory wychwytyją każdą masę wielkości statku albo wszystko, co zbliża się z dużą prędkością. Asteroidy, złom, tego typu rzeczy.

- No i?

Gdybyśmy zbliżyli się bardzo wolno, może wykrywacze nie zobaczyłyby nas, dopóki nie byłibyśmy w statku?

- To brzmi dziecinnie.

- Mogę jeszcze zejść do komory silników i porozrabiać trochę z młotkiem. Jeżeli reaktory nie zamienią nas w nadprzewodzącą kulę, to może generał przyleci do nas zobaczyć, co się dzieje. Z pewnością nie chce stracić swego ładunku.

- Ten plan też mi się wcale nie podoba.

- Mnie również. Jeżeli nie wymyślisz niczego lepszego, poczekajmy, aż wyląduje, i wtedy zobaczymy.

Billie westchnęła.

- Zawsze coś się wydarzy, co, Wilks? Z tobą nigdy nie można się nudzić.

- Właśnie. Przecież życie to zabawa.

Spears przygotowywał swój galowy mundur. Będzie w nim podczas pierwszej na Ziemi bitwy. Wyciągnął czapkę ze złoceniami na daszku, generalskie gwiazdki, regulaminowe jedwabne baretki odznaczeń i błyszczące buty z ortoplastu. Wyjął też pas z przypiętymi do niego kaburami swych dwóch antycznych rewolwerów i kordzik mundurowy. Prawdę mówiąc, nie było zwyczaju nosić go, tak jak i odznaczeń, na polu bitwy, ale najpierw wyjdzie na scenę, a dopiero potem poprowadzi swą nową armię do boju. Nie, zostanie na tyłach. Jego osoba jest zbyt cenna, by ryzykować. Niedobrze. Nigdy nie należał do ETS - eszelonu tyłowych skurwysynów - nie był dowódcą zza biurka. Ale w tym przypadku musi poświęcić przyjemność stania ramieniem w ramię ze swymi żołnierzami, kiedy zaczyna się wymiana strzałów. Będzie przecież najcenniejszą postacią na polu walki, nie tylko dlatego, że będzie tam jedynym człowiekiem, ale gdyby jemu coś się przytrafiło wojna będzie przegrana. Tylko on i królowa mogą dowodzić żołnierzami, a jej nie ufał. Nie będzie walczyć, kiedy jego zabraknie.

Nie, tym razem musi pozostać na tyłach. Przynajmniej do chwili, gdy będzie miał więcej wojska i więcej ludzi do pomocy. Był przecież teraz, było nie było, generałem dowodzącym Kolonialnymi Komandosami. Ba, głównodowodzącym wszystkich sił militarnych. Dlaczego nie? Kiedy przypominał sobie długie pasmo swych wojskowych sukcesów, nie wątpił, że nadaje się do takiej funkcji. Gdyby ktoś zaprzeczył jego prawo to tego, gdyby ktoś okazał się tak głupi, jeden ruch ręki, i usunąłby go. Zjedzcie go, chłopcy.

Uśmiechnął się. Wszystko szło jak najlepiej. Z wyjątkiem paru ciemnych plam pozostawionych w Trzeciej Bazie. Oczywiście nie było to nic, co mogłoby zainteresować przyszlých historyków, czy spowodować zgrzyty w gładko toczącej się maszynierii. Teraz liczą się tylko nadchodzące dni. Wszystkie lata przygotowań zaczynają owocować. Odwiesił mundur i odłożył na bok kordzik i buty.

Zdecydował się na lądowanie w Południowej Afryce, w jej północnowschodniej części, którą nazywano prowincją Natal. Tam właśnie, pod koniec dziewiętnastego stulecia, tubylec o imieniu Keczwajo dowodził wielką armią wojowników znanych jako Zulusi. To byli wspaniali żołnierze, ci Zulusi. Było ich też całe mrowie, ale nie mieli szans w walce z zaawansowaną technologicznie armią brytyjską. W jednej ze słynnych bitew mały oddział brytyjskich żołnierzy stanął przeciwko ogromnej armii Zulusów i normalnie wyciął ją w pień. Po prostu, mieli lepszą broń, lepszą taktykę i byli lepiej wyszkoleni.



Spears znalazł się w podobnej sytuacji. Jego mały oddział, dobrze wyszkolony i kierowany przez znakomitego dowódcę, pokona tubylczą armię. Wszyscy obcy byli sobie równi, ale decydujące znaczenie mają dowódcy, którzy decydują o bitwie. Obcy byli okrutni, twardzi jak żelazo, ale walczyli jak mrówki. Nie znali sztuki wojennej jak ludzie, a wśród ludzi niewielu znało ją tak dobrze jak Spears.

"Dajcie mi dźwignię i punkt podparcia, a poruszę galaktykę" - pomyślał generał. Miał już punkt podparcia. Dźwignia leciała za nim drugim statkiem. Był w tym momencie tak podniecony, że ledwo mógł oddychać.

27.

- Obudziłaś się?

Billie leżała na brzuchu. Odwróciła się na plecy i popatrzyła w górę. Miała na sobie tylko bieliznę i nie nakrywała się niczym, bo w statku było gorąco. Nad nią stał Wilks w kombinezonie.

- Teraz już tak.

- Zaczynamy hamować. - O, kurczę.

- Właśnie. Czas ubierać się na przyjęcie, dziecko.

Przed Spearsem widniał obraz olbrzymiej Ziemi z każdą chwilą. Jeszcze tylko tydzień. Usiłował czytać historię Powstania Gladiatorów, ale nie mógł się skupić nad tekstem. Przez całe lata uczył się cierpliwości, czekania na właściwy moment, ale teraz trudno było nie niecierpliwic się, gdy cel był tak blisko. To było światło w jego tunelu, wstęga na mecie długiego i ciężkiego biegu. Patrzył na obraz planety przez wizjer. Nie wystarczało mu to, więc podniósł opancerzenie i bezpośrednio spojrzął na odległą kulę przez grube, hartowane szkło.

Nie obawiaj się, staruszek: Generał Spears leci cię uratować. Już się zbliża. Jeszcze kilka dni i rozpocznie się twoje wyzwolenie.

Wilks wiedział, że nie wolno mu myśleć o porażce. Nie wszystko może pójść dobrze, ale gdyby ktoś potrafił prze

widywać wszelkie potknięcia, nawet nie ruszyłby się z miejsca. Do licha, pieprzyć to. Jeżeli będziesz się trząsł przez cały czas ze strachu, nigdy niczego nie dokonasz. Masz plan i zrealizuj go, to najlepsza metoda.

Stali we dwoje w luku, prawie całkowicie ubrani do wyjścia. Mieli ze sobą wszystko, co mogłoby im się przydać. Zabrali dodatkowe butle z tlenem, karabiny i amunicję, zabrali wszystko co tylko udało im się znaleźć. Połączeni byli długą na trzy metry linką przywiązaną do pierścieni na biodrach, jego na prawym, jej na lewym. Nie było innego sposobu na utrzymanie takiej samej prędkości po wyjściu na zewnątrz. Wilks spodziewał się, że będą poruszać się około dwóch kilometrów na godzinę prędkości względnej. Na pewno nie szybciej. Powietrza mieli na około trzy godziny i w tym czasie musieli dostać się do statku Spearsa. Inaczej będzie z nimi źle. Sierżant całe skafandry obwiesił granatami do karabinowych wyrzutni. Jeżeli braknie im tlenu, to wysadzą się w powietrze. To lepsza śmierć niż powolne duszenie się. Usuwasz tylko ochronną powłoczkę i bum!, koniec świata.

- Billie?

,Mocowała się ze swoją uprzężą. Ciągle nie mogła zamknąć zatrasku w kroczu.

- Nie mogę wcisnąć tej cholernej wtyczki. Muszę tego używać?

- Jeżeli nie chcesz, żeby fruwały ci przed oczami żółte kuleczki za każdym razem, kiedy zrobisz si, to musisz.

- To nieuczciwe - stwierdziła. - Musiało to być wymyślone przez jakiegoś mężczyznę.

- Natura tak urządziła swoją hydraulikę, przykro mi. Pomóc ci?

Na chwilę zapadło milczenie.



- Raczej nie. Gdybyś to zrobił, może nie wyszlibyśmy stąd tak szybko.

Właśnie, to było to. Wilks kiwnął głową i uśmiechnął się. Więc również jej chodziły takie myśli po głowie. Poczul się nieco lepiej, chociaż nie bardzo wiedział, z jakiego powodu.

Billie odpowiedziała uśmiechem i Wilks zrozumiał, że dziewczyna wie, o czym pomyślał.

- No, udało się - powiedziała. - Jej, to jest zimny, mały diabeł.

- Szybko się ogrzeje. Gotowa? - Jeśli chodzi o wyjście, to tak.

- Dobra. Możemy zaczynać nasze przedstawienie.

Billie uśmiechnęła się do niego, kiedy otwierał zewnętrzne drzwi. On także myśli o seksie. To są chyba jedyne przyjemne rozważania.

W jej przypadku marzenia zawsze były przyjemniejsze niż sam akt. Nie w czasie robienia tego, ale potem. Pomyśl, że mogłaby obudzić się następnego ranka u boku Wilksa wydał jej się dziwny. Może jej refleksje miały związek z tym, że znowu jej życie wisi na cieniutkiej nitce. Myślisz o spółkowaniu, kiedy możesz za chwilę nie istnieć. Nauczyła się tego w szpitalu. Powiedzieli jej tam, że jest to normalna reakcja na zagrożenie życia, szczególnie w nagłej i okrutnej konfrontacji z gwałcicielem. Było też coś o zmniejszaniu stresu.

Kłapa otworzyła się powoli. Powietrze wypłynęło na zewnątrz i zaraz zmieniło się w mgiełkę białych kryształków. Wilks wyszedł na zewnątrz i używając magnetycznych butów stanął na powłoce. Wyglądał jak cień wyrastający z gałęzi. Billie wyszła za nim.

Kiedy już oboje stanęli obok siebie, Wilks obrócił się tak, by stanąć plecami do odległego o kilometr drugiego statku. - W porządku? Nie odpowiadaj, tylko kiwnij głową. Billie zrobiła to. Powiedział jej, że użyją laserowych komunikatorów o zasięgu kilkuset metrów. Rozmówcy muszą pozostawać ze sobą w kontakcie wzrokowym. Spears nie może usłyszeć ich rozmów, jednak w pobliżu jego statku nie należało w ogóle otwierać ust. Gdyby dowiedział się, że są tak blisko, szybko wymyśliłby jakiś śmiertelny trik. Kiedy będzie chciała mu coś przekazać, musi odwrócić się plecami do Jacksona.

Wilks ruszył wzdłuż statku. Bez posiadania punktu odniesienia nie można ustalić, gdzie jest góra, gdzie dół. Billie szybko przywykła do myśli, że idzie po wierzchołku powłoki, nie po jej spodzie.

Kilka minut zajęło im dotarcie do dziobu MacArthura. Kiedy już wisieli na czubku jak muchy na bananie, Wilks odwrócił się i popatrzył na nią.

- Pamiętasz wszystko? Billie skinęła głową.

- W porządku. Wyłącz zasilanie butów i na trzy włącz odrzut. Raz... dwa... trzy!

Jednocześnie wykonała te dwie czynności, o których mówił Wilks. Urządzenie działało jak domowy spryskiwacz do kwiatów. Była to cienka dysza z dźwignią i mały, pękaty pojemnik ze sprężonym gazem.

Po włączeniu usiłowało wyrwać się jej z dłoni, ale ścisnęła mocniej wyciągnęła ramię przed siebie. Oderwała się od statku. Obróciła się lekko i zobaczyła Wilksa, jak kieruje swój odrzut we właściwym kierunku. Zrobiła to samo.

Gaz tworzył migotliwe kryształki.

Wymagało to trochę wysiłku, ale już po kilku minutach sierżant i Billie płynęli w próżni obok siebie. Cienka linka, która ich łączyła, nie była w ogóle napięta. Dziewczyna uniosła trochę głowę i zobaczyła przed sobą statek. Ich własny szybko zmniejszył się do rozmiarów zabawki zawieszonyj w czarnej

otchłani. Wilks ponownie wypuścił kilka niewielkich porcji gazu i obrócił się do Billie.

- Zrelaksuj się i baw się tym lotem.



Billie kiwnęła głową. Stwierdziła, że oddycha zbyt szybko i zmusiła się do spowolnienia oddechów. To rzeczywiście było czymś niezwykłym tak lecieć pośród nicości jak magiczny ptak lecący przez otchłań wieczności. Co by nie mówić, to było coś.

Spears wiedział, że nie może sobie pozwolić na zmęczenie na tym etapie ekspedycji. Ponieważ nie mógł usnąć, zażył środek nasenny. Lekarstwo przeniknęło go chłodem i w ciągu minuty poczuł senność. Postanowił usnąć patrząc na zbliżającą się Ziemię, wyglądającą teraz jak mała półkula oświetlona na "górze". Znaczyło to, że słońce świeci ponad nią. Z tej odległości było już tak jasne, że polaryzatory przyciemniły szkło.

Lek zawładnął nim i zabrał go w objęcia Morfeusza. Wilks mógł już dostrzec niektóre szczegóły statku. Znaczyło to, że są w odległości około sześciuset, siedmiuset metrów od niego. Zwolnili trochę, ale wyglądało na to, że ciągle poruszają się zbyt szybko. Nie zastanawiał się już nad tym. Albo im się uda, albo... pieprzyć to.

Przekazał Billie, że kierują się do jednego z luków rufowych. Pomyślał, że jeżeli Spears jest w kabinie na dziobie statku, gdzie powinien być, to zajmie mu minutę lub dwie dostanie się na tyły. Nie był to duży statek, ale nie było powodu, żeby generał przesiadywał na jego rufie, jeżeli nikt nie puka do kuchennych drzwi. Może to da im trochę czasu. Dziecinne myślenie, ale co im pozostało.

Kiedy tylko wejdą do statku, jeżeli wejdą, zrzucą ubrania, chwycą karabiny i powitają Spearsa.

W tym momencie kończył się plan Wilksa. Przypuszczał, że generał jest sam, Bueller zdawał się to potwierdzać, ale nie było to pewne. Może jest tam ktoś jeszcze. Powinni uważać, jeżeli dotrą już tak daleko.

Jednak ciągle był optymistą. Czyż nie przedostali się aż tutaj? Mimo wszelkich przeciwności i niechęci nieznanymi bóstw, ciągle żyli. Może mają jakiegoś patronującego im Boga, który nie robi nic innego, tylko opiekuje się nimi. A może właśnie wszystkie zapasy szczęścia są już na wyczerpaniu. Nie da rady się dowiedzieć. Trzeba po prostu iść naprzód.

Billie zauważyła, gdy zbliżyli się do statku, że czuje strach. Nigdy się nie przyzwyczaiła do tego uczucia. Uniknęła śmierci już wielokrotnie w ciągu swego życia. Po raz pierwszy na Rim. Oczekiwała, że przywyknie do tego, jak można przywyknąć do zbyt gorącej kąpieli. Kiedy wejdiesz i nie poruszasz się, twoje ciało samo się przystosuje.

Nic takiego się nie zdarzyło. Skok adrenaliny we krwi, gwałtowne bicie serca i zbyt szybki oddech były takie same za każdym razem. Wnętrza skręcały jej się w jeden wielki supeł, a usta wysychały. I dobrze się stało, że Wilks kazał jej wcisnąć tę moczową wtyczkę. Odczuwała to tak, jakby strach wyciskał z niej wszystkie płyny. Im bardziej się zbliżali do statku generała, tym bardziej chciała zawrócić i uciec. Jej świadomość zdawała sobie sprawę, że nie wolno jej tego zrobić, ale jakieś głębokie pokłady podświadomości chciałyby znaleźć jakąś głęboką dziurę i ukryć się w niej.

- Uciekaj! - szeptała jej coś za uchem. - Odpłyn! Śpiesz się, zanim będzie za późno!

Z jednej strony zawsze miała fatalistyczne podejście do życia, z drugiej, panicznie bała się umrzeć. Właściwie to nie

bała się samej śmierci, ale sposobu, w jaki przyjdzie ją spotkać. Zapaść w wieczny sen w wieku stu dziesięciu czy dwudziestu lat, w otoczeniu rodziny i przyjaciół, którzy ją kochają, patrzeć na wnuki i prawnuki, to nie było najgorsze. Ale być zjedzoną przez bezrozumne obce potwory albo płynąć aż do śmierci przez pustkę? Nie, to nie był dobry sposób na zakończenie jej krótkiego życia.

Nic nie można było jednak zrobić. Trzeba podjąć ryzyko i wybrać pomiędzy śmiercią możliwą a pewną.

- Poczekaj! - krzyczał jej wewnętrzny głos. - Zawsze lepiej poczekać!



Spears stał w Laswari, obok nowej drogi zbudowanej przez Inżynierów Królewskich, a ciemna ziemia dymiała jeszcze po przejechaniu dział ciągniętych przez konie. SirArtur odwrócił się do niego i powiedział:

- No, stary, co o tym myślisz? Zatrzymamy tych cholernych dziadów?

Spears skinął głową. SirArtur nie był jeszcze księciem Wellington - co generał wiedział dokładnie - ale stał naprzeciw rodzin Sindhia i Bhonsle z Maranty. Wiedział też, że Hindusi przegrają.

- Zatrzymamy ich.

- Więc bierzmy się za nich, co?

Sir Artur zamachał do oficerów, którzy czujnie czekali na jego sygnał.

Ryknęły działa, odezwały się muszkiety.

Boże, jak Spears kochał ten zapach spalonego czarnego prochu.

Fale umierających Hindusów zaczęły płynąć nad terenem bitwy. Krzyk jednej z biednych dusz wzniósł się ponad inne w całej gamie rozpaczliwych okrzyków, jakby ktoś przerywał

tylko dla zaczerpnięcia oddechu i dalej ciągnął monotony jęk z regularnością maszyny. Aaachhh! Aaachhh! Aaachhh!

Spears przebudził się na dźwięk alarmu. Jeszcze otoczony oparami swego chemicznego snu, nie bardzo wiedział, co oznacza ten hałas. Wyciągnął rękę i wyłączył dźwięk. Przymknął oczy. Sądził, że jeszcze śni...

Przełamał kleszcze narkotyku. Alarm oznaczający zbliżanie się do statku jakiegoś obiektu.

Nic nie było widać przez szybę. Pomimo posiadania czulej aparatury elektronicznej, pierwszym odruchem generała było spojrzenie przez okno. Dopiero po chwili zaczął posługiwać się przyciskami konsoli.

Radar nic nie pokazywał. Na ekranie Dopplera też nie dostrzegł niczego. Ale szybko dowiedział się, o co chodzi. Dwa obiekty wielkości człowieka znajdowały się przy rucie Jacksona. Szybkie skojarzenie faktów kazało mu dojść do wniosku, że muszą to być gapowicze z MacArthura.

Tak jakby mogli przylecieć z innego miejsca.

Patrzcie, patrzcie. Oczywiście. Już wiedział, kim byli. To ten cholerny sierżant! A skoro Powell nie żyje, drugą osobą musi być ta kobieta. Zdziwiający. Jeżeli to rzeczywiście oni, muszą mieć życie twardsze niż kot.

Spears cieszył się, że się tu znaleźli. W ten sposób jego ładunek nie jest w żaden sposób zagrożony.

Wstał szybko, chwycił pasz pistoletem i ruszył na rufę. Nie wiedział, jak długo spał, zanim nie obudził go alarm, ale widocznie wystarczająco długo, by zdążyli przylecieć z drugiego statku. A zamki wjazdów nie zostały zakodowane. Któż spodziewałby się gości w głębokiej pustce? Będą mogli wejść na pokład. Będzie musiał ich zabić, zanim coś uszkodzi...

Zwolnił kroku. Zatrzymał się na chwilę. Przecież mogą być uzbrojeni. Doskonale wiedzą kto dowodzi tym statkiem. Gdy

by nie wziął tego pod uwagę, mógłby łatwo zostać zastrzelony. Tak nie może się stać. Stał ciągle w miejscu. Nie, bohaterszczyzna nie ma teraz sensu. Byli chwastami i tak musi ich potraktować.

Odwrócił się i poszedł z powrotem do kabiny sterowniczej. Miał tu wszelkie wyposażenie do kontroli statku nie tak jak na MacArthurze. Powietrze, zasilanie, nawet grawitacja. Szczury wejdą prosto w pułapkę, o której jeszcze nie wiedzą. Czas uruchomić nagrywanie. Historia wojskowości będzie miała w przyszłości niezły ubaw.



- Co teraz? - spytała Billie. - Możemy zdjąć te ubranka? Otworzyła swoją osłonę twarzy, a Wilks zrobił to samo,

żeby mogli rozmawiać swobodnie. Po sekundzie jednak sierżant gwałtownie ją zamknął.

- Nie. Spears nie przyszedł po otwarciu włazu, co oznacza, że wie o nas. Możesz zostawić niepotrzebne rzeczy, ale broń trzymaj w pogotowiu.

Wilks już zdążył sprawdzić swój karabin. Suche części broni były mniej więcej odporne na działanie niskich temperatur, ale ruchome części niekoniecznie. Strzelił kilka razy przełącznikiem ognia i wyrzucił na próbę kilka ładunków. Nie chciałby mieć niczego zaspawanego na mur przez lodowatą próżnię, kiedy Spears pojawi się z karabinem w dłoni.

- W porządku. Mój jest sprawny. - Dobrze.

- Co teraz?

- Teraz poczekamy trochę i zobaczymy, co się stanie. Jeżeli wie, że tutaj jesteśmy, zrobi coś.

-Albo wrzuci następny granat ogłuszający, jak to zrobił w bazie. Poczekaj i naciśnij spust.

- To możliwe. I to jest kolejny powód, żebyśmy zaczekali tutaj. Gdy nic nie wydarzy się w ciągu następnej godziny, wyjdziemy stąd. Bardzo ostrożnie.

Billie skinęła głową. - Ty dowodzisz.

Wilks chciałby się czuć tak wspaniale, jak usiłował jej to wmówić.

Spears skończył przygotowania. Musiał założyć, że ten sierżant - jak on się nazywa? Watts? Jenks? Jakoś tam? - jest wystarczająco dobrym żołnierzem, by sprawdzić wszystko zanim zacznie działać. Jeżeli tak, to domyśli się, że przeciwnik wie o nim i jest przygotowany na spotkanie. I jest to prawdą. Na jego miejscu Spears zakopałby się w jakiejś kryjówce, przygotował do obrony i czekał na okazję, żeby zdobyć przewagę. Wystarczyłby jeden strzał. Sierżant musi wierzyć, że generał zrobi jeden głupi krok i da mu taką szansę.

- Przykro mi, żołnierzu, nie tym razem - mruknął do siebie.

Niedobrze, że zrezygnował z dowodzenia ludzkimi oddziałami. Ten sierżant mógłby być świetnym oficerem. Był odważny, sprytny, zdolny do podjęcia ryzyka. W innych czasach Spears wywindowałby go w górę i cieszyłby się, że ma takiego zdolnego żołnierza pod swoimi rozkazami. Był pewny, że jedną z osób, które ukryły się gdzieś na rufie, był... Wilks. O właśnie, tak się nazywał: Wilks.

Spears zsalutował swemu niewidocznemu przeciwnikowi. Może w kolejnym wcieleniu będziesz miał więcej szczęścia, synu.

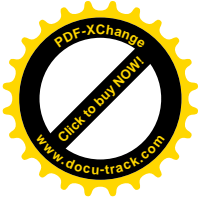
Ruszył do ataku.

Billie pochyliła się i próbowała wcisnąć w kontener. Wyglądało na to, że jest pusty i będzie w nim wystarczająco dużo miejsca. Nie była przekonana, czy jej kryjówka należy do najlepszych. Skafander próżniowy też nie był projektowany do takich wyczynów.

Znajdowali się w miejscu skąd mogli obserwować wąż wiodący do dalszych części statku. Innymi drogami, którymi można się tu było dostać, były włazy wychodzące w próżnię, ale wątpliwe było, że Spears skorzysta z tej możliwości. Wilks jednak zabezpieczył je tak, że nie dało się ich otworzyć z żadnej strony. Nikt nie mógł ich zejść od tyłu. Tak przynajmniej twierdził sierżant. Lecz nikt nie mógł także wyjść nie wkładając w to dużo wysiłku.

Czekanie, że coś się wydarzy, denerwowało Billie. Złościło ją coraz bardziej z każdą minutą. Nie mogła tego znieść.

Nagle zapadła ciemność. Kiedy rozejrzała się, by znaleźć Wilksa, wystrzeliła nagle w powietrze. Cholera...!



- Billie, zamknij osłonę! Natychmiast!

Wilks błyskawicznie zatrzasnął swoją i włączył dopływ tlenu. Usłyszał, że drzwi do korytarza otwierają się i próbował na wycucie skierować karabin w tamtym kierunku. Było to trudne zadanie przy braku ciężenia. Spears odciął światło i grawitację, prawdopodobnie też powietrze. Wilks nie sądził, że zaraz wysunie się zza drzwi lufa jego broni. Mógłby się raczej założyć, że zaleje wodą całą rufę albo wrzuci tu granat. Nie mogło to być nic wielkiego, nic, co wyrwałoby dziurę w podłodze statku.

Bomba ogłuszająca?

Skafander nie jest osłona przed czymś takim, nie mówiąc już o pocisku 10 mm. Cholera, jasna cholera!

Kiedy komputer wyłączył zasilanie, powietrze i grawitację, generał był już na pozycji. Nawet gdyby tamci uniknęli skutków zaskoczenia, to i tak ich na chwilę oszołomi. Starczy mu czasu, by wrzucić granat do dziury. Kiedy stracą przytomność, załatwienie ich będzie już dziecinnie proste.

Drzwi otworzyły się cicho. Spears pochylony prawie do podłogi wrzucił granat, cofnął się szybko i przylgnął do ściany. Blask wybuchu mógł się w części wydostać przez otwarty właz i nie chciał się znaleźć w jego zasięgu. Bez grawitacji granat mógł długo się poruszać, zanim uderzy w ścianę. W tym czasie ktoś mógłby wyskoczyć zza drzwi, ale raczej się tak nie zdarzy – granat miał ustawiony zapalnik na bardzo krótki czas. Około sekundy.

Grawitacja wróciła. Spears był na to przygotowany. Odgłos upadku poza włazem powiedział mu, że przeciwnik nie był. Uśmiechnął się...

Światła oczywiście były wyłączone, ale małe lampki kontrolne przy drzwiach zasilane były z baterii. Czerwone i zielone punkciki nie dawały zbyt wiele światła, lecz wystarczyły by Wilks dostrzegł szybki ruch przy włazie.

Ciągle wisiał z pół metra nad podłogą i strzał z karabinu wprowadziłby go w ruch z prędkością rakiety. Lecz przecież musiał coś zrobić.

Skierował lufę w kierunku drzwi. Nacisnął rękojeść, co ożywiło laserowy celownik. Czerwona plamka tańczyła dziko w okolicy drzwi. Kiedy zniknęła, wyobraził sobie, że ktoś chce wejść. Wystrzelił.

Odrzut wyrzucił go w powietrze...

Billie zobaczyła błysk wystrzału, czerwono pomarańczową główkę płomieni. Światło, jakie zabłysło, pozwoliło jej dostrzec, gdzie się znajdują, ale natychmiast całe pomieszczenie utonęło w nieprzenikniętych ciemnościach. Hełm stłumił odgłos strzału, ale usłyszała, jak pocisk uderza w coś przy drzwiach. A może jej się wydawało? Było tak ciemno.

Oślepiający błysk odrzucił ją, kiedy coś uderzyło w nią, przewracając do tyłu. Pofrunęła jak ptak z połamanymi skrzydłami.

Ciążenie wróciło i upadła na podłogę, przejechała po niej kawałek i zatrzymała się.

O, Jezu...!

Spears rozpoznał karabinowy wystrzał i usłyszał, jak pocisk uderza w ścianę tuż koło niego. Strzał i wybuch granatu zwały się prawie w jeden dźwięk. Poczekał sekundę i wszedł zobaczyć co się stało...





Wilks ciężko uderzył o podłogę, wylądował na lewym barku, przetoczył się i przyjął pozycję strzelecką. Wysunął karabin i umieścił czerwoną plamkę celownika na ścianie obok drzwi. Na wypadek, gdyby Spears rozpląszczył się tam, puścił serię. Karabin miał przełączony na ogień półautomatyczny dla lepszej kontroli. Miał nadzieję, że Billie jest na tyle przytomna, by leżeć na podłodze...

Pociski zagrzechotały o ścianę pomiędzy ciałem generała i jego ramieniem. Kilka centymetrów i byłoby po nim. Do diabła! Granat nie trafił!

Kule wyrwały spore dziury, a ściana wyglądała tak, jakby pokuł ją ostrym narzędziem.

Czas na przegrupowanie. Jego pierwszy atak nie udał się. Spears wiedział kiedy się wycofać.

Nacisnął guziki zamka przy drzwiach. Zamknęły się bezgłośnie. Odbiegł szybko w tył ku następnemu włazowi w korytarzu. Przeszedł na drugą stronę i zatrzymał się. Zamknął klapę. Ten właz był przeznaczony do odcięcia tylnej części statku na wypadek uszkodzenia powłoki. Był hermetyczny, zbudowany ze specjalnego stopu i odporny na strzały ze zwykłego karabinu.

Generał wyjął miniaturową spawarkę punktową i zaspawał drzwi u ich podstawy. Potem dodał jeszcze pół metra z prawej i lewej strony. Potem otworzył płytkę zamka i spalił całą elektronikę. W końcu przyspawał dźwignię ręcznego otwierania włazu. To wejście pozostanie zamknięte, chyba, że ktoś użyje laserowego przecinaka do wycięcia dziury. Nie przypuszczał by Wilks był na to przygotowany. Jednak na wszelki wypadek przymocował do włazu na wysokości oczu dwa granaty i przeciągnął cienki drucik. Gdyby jakimś cudem udało im się wdrzeć tutaj, nieostrożny krok i będzie po nich. Potykacz umieścił trzy metry od drzwi. Mogą rozejrzeć się za pułapką w samym wejściu, ale nie zauważą drutu, gdy już będą mieli właz za sobą.

„Nie – pomyślał- przede wszystkim tu nie wejdą.”

Nie mógł długo utrzymać małego ciężenia na tak małym statku, ale mógł wyłączyć ogrzewanie, światło, powietrze. Nawet jeżeli mają ze sobą zapasy tlenu, nie mogą go mieć więcej niż na dzień czy dwa.

Aha, lepiej wyłączyć nagrywanie. Nie wszystko poszło tak gładko jak przewidywał. Nie ma problemu. Zwycięstwo jest zwycięstwem. Może nie był to oszałamiający wyczyn, ale są przecież zakorkowani w rufie, a to ich koniec. Dał im możliwość spróbowania się z nim, ale nie skorzystali.

To nie była, swoją drogą, wygrana godna cygara.

Zaśmiał się cicho z własnego dowcipu i ruszył na przód.

Wilks i Billie zapalili swe lampy na hełmach i wreszcie mogli się spokojnie rozejrzeć. Było ciemno, a sierżantowi wydawało się, że robi się również zimno. Powietrze także stawało się coraz cięższe.

- Możemy jeszcze trochę pooddychać jego powietrzem – powiedział do dziewczyny. – co się miało stać, już się stało. Będziemy musieli znowu wykorzystać nasze butle. Cholera.

- Wilks, jesteśmy odcięci?

- Tak. Zamknął właz hermetyczny i rozwalił zamek. Musiał od dawna wiedzieć, że tu jesteśmy. Mieliśmy i tak szczęście, że bomba ogłuszająca nas nie unieszkodliwiła. Cóż, jesteśmy zamknięci. Teraz nigdzie się nie możemy wydostać.

- Nie możemy wyjść na zewnątrz?



- Może by się udało. Chyba potrafiłbym odblokować właz, ale Spears natychmiast strząsnął by nas, jak pies strząsa pchły. Nie uda nam się znaleźć wyjścia.

- Może wysadzić statek w powietrze?

Popatrzył na nią. Zrozumiał co miała na myśli. Jeżeli mieli tu umrzeć, mogli zabrać ze sobą tego skurwysyna.

- Nie sądzę. To wojskowy statek. Mogę spróbować wybuch granatów, jakie mamy, ale to zniszczy w najlepszym przypadku tylko rufę. Ten statek jest zbudowany z segmentów, z hermetycznych części. Moglibyśmy wysadzić ściany działowe, ale segmenty są mocno opancerzone. Napęd znajduje się w środkowej części i jest poza zasięgiem. Nawet gdybyśmy dokonali poważnych uszkodzeń, zawsze zdąży przenieść się na *MacArthura*.

- Co nam zostało?

- Cóż, możemy dostać się do magazynów tlenu i przejąć nad nim kontrolę. To da nam możliwość oddychania jeszcze przez parę dni.

- Ale nie do samej Ziemi?

- Nie sądzę.

- Cholera!

- Przykro mi dzieciaku. Próbowaliśmy. Nie udało się. Czasem coś nie wyjdzie.

- Nic nie możemy zrobić?

- Nic, dopóki nie przekonamy Spearsa, żeby dał nam klucz do statku ratunkowego.

- Może gdybyśmy powiedzieli grzecznie „proszę”?

Wilks myślał o tym od sekundy

- Hmm. Mam lepszy pomysł. Może jeżeli dodamy do tego słówko „albo”.

- Halo, generale Spears – rozległ się głos z komunikatora. Pochodził z kanału, na jakim znajdowały się komunikatory skafandrów próżniowych.

Generał siedział usadowiony wygodnie w fotelu. Pokiwał głową z zadowoleniem.

- Spodziewałem się ciebie, synu. Fajnie, że próbowałeś, ale przegrałeś.

- Może tak, może nie. Billie i ja przypuszczamy, że wiedział pan co robi, odcinając nam drogę.

- Co za różnica żołnierzu? Do domu daleko. Wy nigdy tam nie dojdziecie.

- Moglibyśmy, mając jeden z ratowniczych statków.

Spears roześmiał się.

- Tak, wtedy zdołalibyście tego dokonać. Ale musiałbym dać wam któryś z własnych, a nie widzę takiej możliwości. Nie macie nic do zaoferowania.

- Ale może mamy coś na sprzedaż.

- Synu, co ty mi możesz sprzedać?

- A co z tymi dziewięcioma granatami M-40, które wybuchną wszystkie naraz?

- Więc wysadzisz dupę statku i zabijesz siebie. To nawet nie zadraśnie śródokręcia. Możesz próbować, ale powinieneś wiedzieć, że to nic nie da.

- Ech, generale. Przecież nie mówiłem, że granaty wybuchną tutaj.

Generał gwałtownie pochylił się do przodu.

- O czym ty mówisz?

- No cóż, Billie i ja pomyśleliśmy, że dobrze będzie dostać na pański statek. Biorąc pod uwagę nasze wcześniejsze doświadczenia, musieliśmy zakładać, że nas pan pokona.

- Dobrze założenie.

- Tak. Pan jest przecież generałem, a ja sierżantem. Ale pomyśleliśmy, że skoro mamy umrzeć, to do diabła, warto pośmiać się na koniec.

- Mów dalej.

Spears wiedział o czym się dowie za chwilę, i przeszył go zimny dreszcz.



- Zanim opuściliśmy statek, nafaszerowałem *MacArthura* materiałami wybuchowymi. Coś w rodzaju małej niespodzianki, zna to pan, generale, prawda? Z zapalnikiem czasowym. Daliśmy sobie mnóstwo czasu, żeby móc dotrzeć tutaj i pokonać pana. Pozostało jeszcze około godziny.

- Blefujesz.

- Przewidziałem, że pan tak pomyśli. Ale nie oszukuję. Poza tym, czy potrafi pan podjąć takie ryzyko? Jeżeli rzeczywiście uzbroiliśmy ładunki, pańskie potwory dostaną bilet do wieczności w ciągu pięćdziesięciu ośmiu minut. Decyzja należy do pana, generale.

Spears wpatrywał się w komunikator. Wilks blefował, był tego pewien. A jeżeli nie...

Cholera, czy zaryzykować?

- Jeżeli decyduje się pan na ten mały handel, to warunki są następujące: odblokuje pan jeden ze statków ratowniczych w ciągu dwóch minut. W ten sposób wystarczy panu czasu, żeby polecieć i rozbroić zapalniki. Billie i ja wyjdziemy ze statku głównego i przejdziemy na ratowniczy. Przez radio podam panu, gdzie umieściłem bomby. Może pan zabrać drugą raketę i polecieć do swoich pupilów. Dwadzieścia minut powinno wystarczyć.

- Zakładając, że wierzę ci i zrobię to, co mówisz – powiedział Spears – co mnie powstrzyma przed zamienieniem was w atomowy pył zaraz po tym, jak dowiem się, gdzie są ładunki?

- Pańskie słowo mi wystarczy.

Generał uśmiechnął się.

- Moje słowo?

- Jest pan człowiekiem honoru, prawda?

- Oczywiście, synu.

Spears żuł kciuk. Nie może zaryzykować. Nie może narazić swojej armii. Poza tym, kiedy tylko znajdą się w ratowniczym statku, będą dla niego łatwym celem, a gdyby pozostali na rufie mogliby mu przygotować niejedną niespodziankę. Ten sukinsyn jest diabelnie żywotny.

- W porządku, komandosie. Układ stoi.

Billie uśmiechnęła się do Wilks.

- Kupił to!

- Jeszcze nie jesteśmy wolni – ostrzegł sierżant, ale również się uśmiechnął. – Prawdopodobnie planuje, że zestrzeli nas z działek, gdy tylko znajdziemy się na pokładzie rakiety.

- Co z jego honorem?

- Żartujesz? To typowy socjopata. Ma tyle honoru co pajak.

- Więc jak powstrzymamy go od zniszczenia nas?

- Mam pomysł. Jeżeli będziemy szybcy i będziemy mieli trochę szczęścia, to nam się uda. Jeżeli nie, nie będziemy w gorszej sytuacji niż teraz.

- Jestem z tobą – powiedziała. – Chociaż nie znaczy to, że mam inne wyjście.

Kiedy tylko znaleźli się w statku ratowniczym – mała rakietka przygotowana była do kilkutygodniowej podróży – odezwał się komunikator.

- Dobra. Teraz chcę wiedzieć, gdzie są bomby?

Wilks zajęty był uruchamianiem napędu. Odpalił małe silniki i włączył systemy podtrzymywania życia.

- Zapnij pasy – polecił Billie.

- Zrobiła co kazał, ale jednocześnie zapytała:



- Dokąd lecimy? Nie możemy się nigdzie ukryć.

- Możemy patrz uważnie.

Nacisnął guzik i mały stateczek ruszył do przodu.

- Wilks, chcę znać natychmiast położenie bomb albo unieważniam nasz układ i posyłam cię do diabła.

- Za późno – powiedział sierżant.

- Co to znaczy...?

- Pańskie działa są na górze, po bokach i na dziobie. Pole ostrzału pokrywa całą, pełną strefę, ale nie ma żadnych działek bezpośrednio pod miejscem kotwiczenia statków ratunkowych. Nie może pan ostrzelać tego miejsca bez ryzyka, że przypadkowo trafi w siebie albo w nas.

Mała rakieta oddaliła się o kilka metrów od większego statku.

- Potrafimy się utrzymać?

- Niezbyt długo. Zacznie kombinować z napędem i szybko stracimy kontakt. A przecież nie może czekać, czas nie stanął w miejscu. Trzymaj się.

Wilks włączył komunikator.

- Generale, pomieszczenia kontroli zasilania w magazynach z Obcymi, główny kabel biegnący do kabiny sterowniczej, napęd grawitacyjny obok kompleksu żyro.

- Cholera! Myślałem, że blefujesz.

- Nie, ale kłamałem. Ma pan około dziesięciu minut na unieszkodliwienie ładunków, a nie dwadzieścia. Gdyby spróbował pan pobawić się z nami za pomocą działek *Jacksona*, nie starczy panu czasu na uratowanie *MacArthura*.

Na chwilę zapadła cisza, potem w komunikatorze zabrzmiały słowa generała:

- Mógłbyś być doskonałym oficerem liniowym, synu. Masz więcej ikry niż w całej ławicy ryb.

- Dziękuję generale.

- W porządku. Możesz opowiadać swym wnukom, że stanąłeś ze mną do walki i przeżyłeś. A to coś znaczy.

- Wyłączył się – powiedział do Billie Wilks.

Wraz z tymi słowami obrócił stateczek i szybko znalazł się o dwa kilometry za większym towarzyszem. Wyglądało to tak, jakby mała rybka uciekała z paszczy rekinowi.

Przyspieszenie wcisnęło ich w fotele.

- Nie sądzę, że będzie strzelał w tym kierunku – zauważył Wilks. – Nie będzie ryzykował ostrzelania *MacArthura*. Mam nadzieję.

- Myślę... Sądzę... że masz... rację.

Tym razem okazało się, że ją miał.

Mały stateczek oderwał się od *Jacksona* i pełną mocą silników pomknął ku *MacArthurowi*.

Po wyjściu z pomieszczenia silników Spears potrząsnął głową. Nie było żadnych bomb. Nie było ich też w podanych przez Wilksa miejscach. Ten sukinsyn jednak blefował. Przez chwilę generał czuł się tak zirytowany, że mógłby udusić własnymi rękami człowieka, który go oszukał. Jednak po chwili oprzytomniał. Nic przecież się nie stało. Po prostu jeden komandos i jeden cywil uratowali swoje skóry. I co? Po tym, jak zademonstruje swój sposób na zbawienie Ziemi, nikt nie uwierzy w ich opowieści, nawet gdyby byli tak głupi, żeby je rozpowszechnić. Facet był zbyt doświadczonym komandosem i wiedział ile na dłuższą metę warte jest okpienie generała. Nie, z pewnością zakopią się w jakiejś dziurze i będą chcieć



pozostać niewidzialnymi. Gdy będą cicho siedzieć, mają szansę, że nikt ich nie odnajdzie. Kiedy tylko otworzą gęby, zostawia ślad.

Nie. To się nie może zdarzyć.

Oczywiście bomby mogły zostać ukryte gdzie indziej, ale Spears nie wierzył w to ani sekundę. Nie, po prostu został wystrychnięty na dudka. Jeszcze raz podniósł dwa palce w niemym geście salutowania.

Wilks. Naprawdę dobry komandos.

- Czy naprawdę nam się udało?

W małej kabinie statku ratunkowego Wilks wypuścił ze świstem powietrze.

- Tak. Zrobiliśmy to. Jest poza zasięgiem naszego radaru, ale musi na pewno polecieć na transportowiec, żeby wszystko sprawdzić na miejscu. Och jak chciałbym zobaczyć jego gębę, kiedy przekona się, że nie ma żadnych ładunków wybuchowych.

- Nie chcę go więcej oglądać, dziękuję za taką przyjemność.

Wilks roześmiał się głośno. Nagle zamilkł i zmarszczył brwi.

- Udało mu się uciec. Pobił nas i uciekł. Chcę spotkać go jeszcze raz. Na odległość strzału.

- Powinieneś być zadowolony, że on nie ma nas na odległość strzału. Swoją drogą, gdzie jesteśmy i dokąd lecimy?

- Za parę dni znajdziemy się wewnątrz orbity księżyca, jeżeli tylko można ufać komputerowi. Odebrałem kilka sygnałów z tego rejonu, ale zbyt słabe, by je zrozumieć. Może automatyczna stacja na Ziemi. Albo coś z kolonii na Księżycu, jeżeli taka jeszcze istnieje. Może stacja wejściowa L-5? Ustawilem szperacz na najsilniejszy sygnał. Słuchaj, możesz już zdjąć skafander, jeśli chcesz. Tam z tyłu jest chemiczna toaleta, za tym niebieskim przepierzeniem. Niestety, musimy spać w fotelach, a nasza dieta będzie trochę ograniczona. Powinniśmy jednak to wytrzymać.

- Jesteś naprawdę dobry, Wilks. Dużo sprytniejszy niż na pierwszy rzut oka.

- Tak myślisz?

- Tak. I w ogóle jesteś inny, niż wyglądasz.

Uśmiechnęła się, a on odwzajemnił uśmiech. Był strasznie niezadowolony, że Spearsowi udało się wymknąć, ale Billie miała rację. Lepiej być żywym i być może podjąć pewnego dnia walkę.

Spears rozbudził Królową z głębokiego snu. Oczywiście, cały czas musiał pozostawać zamknięta, ale mogła przyglądać mu się przez przezroczyste ściany. Mogła patrzeć, jak raz za razem zapala zapalniczkę. Mogła widzieć migotanie małego płomienia na twardej powłoce swojego więzienia.

- Tak, wiem, że mnie pamiętasz. Nadchodzi czas bitwy. Czas dla ciebie i twoich dzieci. Możesz złożyć milion jaj, jeżeli będziesz mnie słuchać, a moi żołnierze będą wykonywać rozkazy. Zrozumiałaś?

Położył dłoń na plastikowej ścianie.

Królowa lekko odwróciła głowę, ale poza tym nie wykonała żadnego ruchu.

Był pewny, że go zrozumiała. Może nie same słowa, ale była wystarczająco sprytna, by wiedzieć o co mu chodzi. Robotnice nie były zbyt błyskotliwe, ich umysły były wręcz ciemne, ale Królowa nie była głupia. Znała go i pamiętała. Spears był pewien, że jest dla niej kimś w rodzaju Boga.



- Do zbliżającego się statku – rozległ się nagle głos w komunikatorze. – Tu Stacja Wejściowa. Podaj swój identyfikator.

Wilks uśmiechnął się szeroko.

- Tu statek ratunkowy rakiety Komandosów Kolonialnych *Jacksona* – powiedział. – Na pokładzie dwoje nieskażonych, powtarzam nieskażonych pasażerów.

- Ratunkowy z *Jacksona*, otwórz modem kontrolny do przejścia komputera.

Ciągle byli jeszcze daleko od stacji, tak, że transmisja trwała kilka sekund. Wilks oddał kontrolę nad napędem komputerowi.

- Ratunkowy *Jackson*, jesteście na automatach. Będziemy was powoli ściągać, dopóki zespół dekontaminacji nie spotka waszego statku. Przybliżony czas ich przybycia: dziewięć godzin.

- Przyjąłem. Będziemy czekać.

Billie uniosła brew.

- Muszą nas sprawdzić, czy nie mamy ze sobą, a raczej w sobie, zębiastych niespodzianek – powiedział sierżant. – To znaczy, że stacja jest czysta. Wejście L-5 jest całkiem duże, mniej więcej jak połowa stacji Luna Jeden. Dwanaście, piętnaście tysięcy ludzi mieszkało tam zanim zaczęły się kłopoty na Ziemi. Pewnie dobudowali kilka modułów, żeby zrobić miejsce uciekinierom. Będziemy trzymani w kwarantannie, zanim nie upewnią się, że nie jesteśmy zainfekowani. Poza tym przepuszczą nas przez CAT skaner albo zafundują nam fluoroprojeksję. Potem już będziemy wolni.

- Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała Billie. – Dotarliśmy wreszcie do jakiegoś bezpiecznego miejsca.

„Może” – pomyślał Wilks.

Popatrzył na twarz dziewczyny i nie odezwał się. Kiwnął tylko głową.

Łądowanie transportowca wymagało zużycia większości pozostałego paliwa, ale Spears miał jeszcze w zapasie łądownik. Powodem, dla którego przesiadł się na *MacArthura* była obawa o możliwe ofiary wśród żołnierzy podczas przechodzenia statku przez atmosferę.

Kiedy statek opadał ku leżącemu w południowej Afryce obszarowi wybranemu na lądowanie, Spears wziął prysznic, ogolił się i założył mundur. Przypiął pas z rewolwerami, kordzik, włożył buty. Przyjrzał się swemu odbiciu w monitorze. Wspaniale. Tak powinien wyglądać głównodowodzący generał. Sprawnie, bojowo, imperialnie.

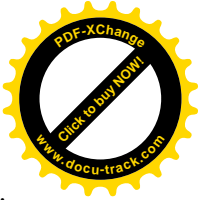
Wziął jedno z drogocennych cygar i włożył je za pas, by wyjąć i zapalić, kiedy statek znajdzie się na Ziemi. Żołnierze zostali już uwolnieni, chociaż Królowa nadal pozostawała zamknięta. Do czasu, kiedy wylądują wszystko musiało być gotowe. Spodziewał się gdzieś w pobliżu znajdzie się jakieś mrowisko Obcych. Kiedy tamte potwory przypuszczą atak na statek, spotkają się z nieprzyjemną niespodzianką.

Kamery były włączone, automatyczny reżyser będzie nagrywał najbardziej dramatyczne ujęcia zgodnie z programem wprowadzonym do komputera. Zbliżenia dowódcy i wiele plenerów. Będzie to można później odpowiednio zmontować.

W pełni ubrany podszedł do części statku, gdzie byli zgromadzeni jego żołnierze. Identyfikatory świeciły blado na ich głowach. Stali spokojnie i czekali na rozkazy. Ślina ściekała im z paszczek i słychać było szelest chitynowych pancerzy.

- Bądźcie teraz w pogotowiu – odezwał się głośno.

Pogodowy radar doniósł o burzy przesuwał się wzdłuż terenu, na którym mieli lądować. Cholera. A miał nadzieję na słoneczne popołudnie. Cóż, kamery potrafią dostosować się do każdego oświetlenia. Poza tym słabe światło i deszcz mogły dodać dramaturgii. To w końcu było tylko tło. Kiedy wylądują, musi zlecić komputerowi wysłanie



przekazu na żywo z pierwszej bitwy. Szczęśliwcy, którzy przechwycą transmisję, będą mogli widzieć to tak, jak się naprawdę wydarzy.

W Stacji Wejściowej Billie i Wilk umyli się i poszli złożyć raport miejscowym władzom. Wiele wydarzyło się, odkąd opuścili Ziemię. Prawie wszystkie wieści były złe. W skrócie opowiedział im o tym lekarz, który się nimi zajmował.

- Tak – ciągnął mężczyzna – nikt nie wie, ilu ludzi żyje jeszcze tam na dole. Ci, którzy pozostali, są dobrze ukryci.

Billie pomyślała o małej dziewczynce, którą widziała na ekranie monitora w Trzeciej Bazie. Czy jeszcze żyje?

- Hej, Henry, popatrz na to.

Lekarz zwolnił, kiedy jakaś kobieta zamachała do nich.

- O co chodzi, Brucie?

- Przekaz na żywo, z Ziemi. Spójrzcie.

Wilks i Billie poszli za swoim przewodnikiem.

- Jezu! – krzyknęła Billie. – To Spears!

Henry i kobieta spojrzeli na nią.

- Znasz tego czubka?

Dziewczyna i sierżant popatrzyli po sobie.

- Tak – odezwał się wreszcie Wilks. – Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

Rampa opadła i Spears wyszedł w deszcz. Daszek jego czapki dawał wystarczającą osłonę i cygaro, które trzymał w zębach nie gasło. Wciągał dym raz za razem.

Przez kurtynę dżdżu dojrzał zbliżające się sylwetki. Wyciągnął kordzik i zakomenderował:

- Pierwszy oddział naprzód, wyrównać. Drugi oddział, osłaniać skrzydła.

Postanowił wstrzymać się z rozdaniem broni, zanim nie przekona się, jak jego żołnierze zachowują się w polu.

Numer 15 zbliżył się do generała. Przekrzywił głowę i zaczął mu się przyglądać.

- Dołącz do oddziału żołnierzu – powiedział Spears. Machnął błyszczącą głownią kordzika.

Numer 15 stał w bezruchu. Nagle otworzył paszczę i przezroczysta ślina ściekła z rozwartych szczęk.

- Wydałem ci rozkaz! – ryknął Spears.

Z pomiędzy szczęk numeru 15 wysunęły się wewnętrzne zęby.

- Nie będę tolerował niesubordynacji!

Generał machnął kordzikiem. Nie była to tylko ozdobna zabawka. Był wystarczająco ciężki, a ostrze wykonane z chirurgicznej stali było ostre jak brzytwa. Dosięgło szyi potwora, a cios był perfekcyjnie wymierzony.

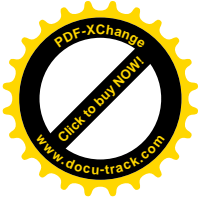
Numer 15 stracił głowę i padł jak rażony piorunem.

Kwas oblał ostrze kordzika i natychmiast uniósł się gryzący dym. Metal rozpuścił się i ściekł razem z deszczówką.

Spears popatrzył na swój zniszczony kordzik.

- Jasna cholera!

Rzucił na ziemię ocalałą rękojeść i wyciągnął swoje rewolwery marki Smith & Wesson. Wystrzelił w ciało Numeru 15.



- Na Boga – szepnęła Brucie.

Wilks i Billie nic nie powiedzieli. Patrzyli na ekran bez słowa. Sierżant zerknął w dół i spostrzegł, że dziewczyna kurczowo ściska jego dłoń.

Pół tuzina Obcych wyszło ze statku za plecami Spearsa. Dźwigały królową razem z jej kontenerem. Władczyni gestem wskazała zamek i jedna z robotnic szybko zaczęła przy nim manipulować.

- Nie dotykaj tego – wrzasnął generał.

Wystrzelił pozostałe pociski w robotnicę – żołnierza Numer 9. Nie zrobiło to na Obcym żadnego wrażenia. Miękkie ołowiane kule rozpląszczyły się o twarde pancerz.

Drzwi kontenera stanęły otworem.

Spears wyciągnął zapalniczkę. Trzymał ją wysoko podniesioną, żeby mogła ją dostrzec Królowa. Zapalił płomień. Pomimo deszczu i wiatru, mały ogień nie zgasł i tańczył w podmuchach burzy.

- Ogień, widzisz! Ogień! Spalę wszystkie twoje pieprzone jaja, jakie kiedykolwiek zniesiesz! Ogień!

- O, ludzie – jęknął ktoś cicho.

Billie nie była pewna kto. Ścisnęła rękę Wilksa. Odpowiedział jej mocnym uściskiem.

Królowa stanęła naprzeciw Spearsa i patrzyła w dół ze swej czterometrowej wysokości.

- Tak, to prawda suko! Jestem człowiekiem z ogniem! Upiekę twoje maleństwa! Zadrzyj ze mną, a zrobię z nich jajecznicę, możesz się założyć!

Tak, jak psy Obcy nie uśmiechali się. Ale w tym momencie wydawało się, że Królowa właśnie to zrobiła. Wyciągnęła jedno ze swych mniejszych ramion i jednym ruchem zgasła zapalniczkę.

- O kurwa...!

Nagle królowa chwyciła Spearsa i podniosła go, używając większych ramion. Generał szarpał się, kłął, wyciągnął z ust cygaro i usiłował rozżarzoną końcówką przypalić chitynowy pancerz. Wszystko szło źle! Nie tak miało być! On miał kontrolować Królową!

Królowa wyciągnęła łapę i chwyciła gardło Spearsa w swe potężne szpony.

- Nie rób tego! – wrzasnął generał. – Żołnierze, nie pozwólcie jej! To ja jestem waszym dowódcą! Mnie macie słuchać! Powstrzymajcie ją! powstrzymajcie!

To były jego ostatnie słowa. Ostatnią myślą było stwierdzenie, że ktoś musiał się pomylić. Miał jeszcze czas, by dojść do wniosku, że to on zrobił błąd. Nie powinien pozwolić...

Szybkim ruchem królowa oderwała Spearsowi głowę. Zrobiła to z taką łatwością, z jaką człowiek odrywa główkę kwiatu. Rzuciła ciało w bok u podnóża rampy. Głowę trzymała chwilę dłużej, potem także odrzuciła ją na bok.

Przez przypadek głowa potoczyła się dokładnie przed obiektyw jednej z kamer. Wyraz jej twarzy wyrażał jedno uczucie. Niewysłowione przerażenie.

- To by było na tyle o rewolucji – powiedział Wilks wpatrując się w martwą twarz generała.

Miejscowi Obcy zatrzymali się i przyglądali nowo przybyłym. Po chwili niedoszli żołnierze odwrócili się i odeszli w szalejącą burzę.





Królowa zabrała swe dzieci i powiodła je w dal.

Błyszczące numery na ich głowach były jeszcze przez jakiś czas widoczne, ale i one szybko zniknęły w potokach deszczu.

- O, kurwa – powiedział Henry.

30.

Po złożeniu krótkiego raportu władzom Billie i Wilks spotkali się w sali konferencyjnej, której chyba nikt nie używa. Na ścianach było wiele ekranów, ale dziewczyna nie miała ochoty patrzeć na cokolwiek.

- Dostał, na co zasłużył – odezwał się Wilks. – Wolałbym jednak, gdybyśmy to my zrobili. A byliśmy już krok od tego. Lepiej samemu rozwiązywać takie problemy, nie uważasz?

- Chyba tak.

- Wracając do rzeczy, Spears nie wiele pomógł Ziemi.

Billie pokręciła głową.

- No wiesz, może jestem szalona, jak był on, ale miałam nadzieję, że może to zrobi. To znaczy nienawidziłam go za to kim był, co robił, ale w jakiś dziwny sposób chciałam, żeby mu się udało. Może naprawdę jestem tak kopnięta jak on.

- Nie całkiem.

- Wielkie dzięki. Jesteśmy znów w tym samym punkcie. Potwory opanowały Ziemię, miliardy ludzi zginęły, reszta czeka na swoją kolejkę i nie ma możliwości żeby cokolwiek zrobić.

- To nie za dobre podejście do sprawy – powiedział ktoś od drzwi.

Billie odwróciła się i spojrzała. Przy wejściu stała kobieta. Wysoka, szczupła, z krótko ściętymi włosami. Nosiła kombinezon zwykle spotykany na statkach kosmicznych.

- Czy my się znamy? – spytał Wilks.

- Nie sędzę, żebyśmy spotkali się wcześniej.

Billie poznała tę twarz. W ciągu kilku sekund przypomniała sobie, gdzie ją wcześniej widziała – w pokoju łączności Trzeciej Bazy. Ta kobieta była w jednym ze starych nagrań.

- Ripley – odezwała się głośno – Ty jesteś Ripley.

Po ustach kobiety przebiegł nikły uśmiech.

- To prawda.

- Przypuszczano, że nie żyjesz...

- Z tego co słyszałam, wy także. Wszechświat jest pełen niespodzianek, prawda?

Znowu się uśmiechnęła, tym razem nieco szerzej.

- Cholera, jeżeli tak nie jest – mruknął Wilks.

- Myślę, że mamy ze sobą wiele wspólnego – powiedziała Ripley. –Może powinniśmy usiąść i porozmawiać.

Tym razem to Billie się uśmiechnęła.

- Myślę, że masz rację.

W jednym ta Ripley z pewnością się nie myliła:

Wszechświat jest pełen niespodzianek.

KONIEC